



Agnieszka Kowalczyk
LEKARZ
DZIECIĘCYCH DUSZ



Piotr Lisiewicz
ZUZANNA
W KĄPIELI

04/2017
NÓWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NÓWE PAŃSTWO



2010-2017
SMOLEŃSK
PAMIĘTAMY

cena 12 PLN (w tym 4 zł VAT)
www.panstwo.net
rakfak 16 420
indeks 211060
#134 04/2017



foto: Jack Turezyk/PAP



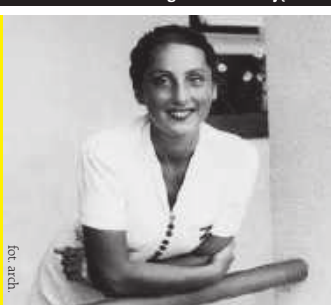
Romantyczna walka o prawdę o Smoleńsku / 4

foto: Michał Bręchawski/Flak



Igranie z destrukcją / 20

foto: arch.



Zuzanna w kąpiel / 32

foto: Janusz Korczak/PAP/ITK-APAS



Po Eurowizji życie nabrało zawrotnego tempa / 60

foto: Klimeniyev Mikhail/PAP/ITK-APAS



Dwory, folwarki, winnice, czyli Dima i jego posiadłości / 72

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz

Romantyczna walka o prawdę o Smoleńsku / 4

Grzegorz Wierchołowski
Smoleńska lista hanby / 8

Antoni Rybczyński
Czekiści pilnują smoleńskiego „śledztwa” / 14

Ryszard Czarnecki
Mój Smoleńsk / 19

IDEE

Małgorzata Matuszak
Igranie z destrukcją / 20

Tomasz Terlikowski
Nierozwiązana zagadka Medjugorie / 24

Jerzy Mostowski
Strategiczne ruchy zbrojeniówki / 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Zuzanna w kąpiel / 32

Magdalena Złotnicka
Ptaki, których już nie ma / 38

Dariusz Jarosiński
By przestali być Wyklęci / 44

Agnieszka Kowalczyk
Lekarz dziecięcych dusz / 50

Janusz Korczak
Janusz Korczak o sowieckim okrucieństwie / 56

Edward Ligocki
Czerwony obłęd / 57

KULTURA

Z Jamalą rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk
Po Eurowizji życie nabrało / 60

Sylvia Krasnodębska Polskie Radio
Hollywood w warszawskim zoo / 64

Krzysztof Karnkowski
Wiosna historii / 66

Jakub Kozłowski
Niemoc legendy / 69

Sylvia Krasnodębska Polskie Radio
Bolesny bieg przez życie / 70

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Dwory, folwarki, winnice, czyli Dima i jego posiadłości / 72

Hanna Shen
Tragedia, która trwa / 77

Rafał Brzeski
Wojna informacyjna – doktryny wielkich mocarstw / 80

Stefan Czernecki
Na Lofoty... po wiare / 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 96

Stale rubryki



Katarzyna Gojska-Hejke
Prawda dla przyszłości

NA POZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... resentyment

KATECHIZM INTELIGENTA

27



Olga Doleśniak-Harczuk
Bitwa germańsko-osmańska

Z GLOBALNEGO TYGŁA

92



Ryszard Czarnecki
Armenia i cień Kremla

CZARNECKO TO WIDZĘ

95



Marcin Wolski
Putin i Trzeci Rzym

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz
Postawa obywatelska

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLSKA WYCIĄGKA W NETO

NOWE PAŃSTWO

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gojska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbanowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Rączkarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Prawda dla przyszłości

Wiarygodne wyjaśnienie tragedii z 10.04.2010 roku to sprawa naszego honoru. Bez prawdy o przyczynach śmierci delegacji RP do Katynia nie nastąpi tak oczekiwane i potrzebne pojednanie i zbliznienie ran. Trzeba się liczyć z tym, iż instytucje Rzeczypospolitej będą musiały dokonać tego bez wsparcia ze strony sojuszników, a nawet przy ich głośnym sprzeciwie.

W 1960 r. izraelskie służby specjalne przeprowadziły brawurową akcję: odnalazły, pojmały i przewiozły do swego kraju Adolfa Eichmanna. Ukrywający się od II wojny światowej niemiecki zbrodniarz stanął przed izraelskim sądem. Zgodę na jego schwytanie wydał ówczesny premier Dawid Ben-Gurion. Przedsięwzięcie było ogromnym wyzwaniem dla młodego, otoczonego wrogami państwa. Mimo kosztów, niebezpieczeństw i komplikacji na arenie międzynarodowej (warto pamiętać, iż porwanie Eichmanna potępił niemiecki kanclerz Konrad Adenauer, a po nim niemieccy dziennikarze w specjalnym liście) izraelski szef rządu nie mógł postąpić inaczej. Był zdania, że postawienie zbrodniarza przed sądem pozwoli jego narodowi odzyskać honor. Wymierzenie sprawiedliwości zbuduje wspólnotę. A zdecydowana walka o sprawiedliwość sprawi, że prawda o Holokauście stanie się powszechna. Izrael działał wówczas przeciwko wszystkim. Pomocą w schwytaniu Eichmanna nie były zainteresowane Stany Zjednoczone i tzw. opinia międzynarodowa. Ben-Gurion i jego współpracownicy mieli rację. Warto było nie rezygnować z przywracania sprawiedliwości. Jego następcy nieraz podążali tą drogą i za każdym razem pokazywali, że ich naród nie odpuszcza spraw, które dotyczą bezpieczeństwa i godności.

Przypominam działania Izraela sprzed kilkudziesięciu lat nie po to, by porównywać zbrodnie Eichmanna z dramatem, który dotknął Polskę sie-

dem lat temu. To wydarzenia kompletnie nie do zestawienia. Jednak determinacja izraelskich instytucji państwa w ukazaniu światu i swym obywatelom pełnej prawdy o zbrodniach popełnianych na osobach narodowości żydowskiej to przykład dobroczynnych skutków dochodzenia do prawdy, nawet w kontrze do reszty świata, który niekoniecznie zainteresowany jest rezygnowaniem z własnych interesów na rzecz przywrócenia poczucia sprawiedliwości. Wiarygodne wyjaśnienie tragedii z 10.04.2010 roku to sprawa naszego honoru. Bez prawdy o przyczynach śmierci delegacji RP do Katynia nie nastąpi tak oczekiwane i potrzebne pojednanie i zbliznienie ran. Trzeba się liczyć z tym, iż instytucje Rzeczypospolitej będą musiały dokonać tego bez wsparcia ze strony sojuszników, a nawet przy ich głośnym sprzeciwie. Trudno. Państwo, które nie dochodzi prawdy o śmierci swych przywódców, które godzi się na ich pośmiertne poniżanie czy wręcz bezczeszczenie, nie będzie równorzędnym partnerem na arenie międzynarodowej, a przez to stanie się mniej bezpieczne. Z tego względu rzetelne ustalenie faktów dotyczących tragedii sprzed siedmiu lat to nie tylko wyraz szacunku dla tych, którzy zginęli, reprezentując majestat Rzeczypospolitej, lecz także nasz interes. Kraj, który przyjmuje propagandową wersję okoliczności śmierci prezydenta, generalicji, wysokich urzędników narzuconą przez obce państwo, wręcz zaprasza swych wrogów do działania. Wyjaśnienie Smoleńska to nie tylko moralny obowiązek, to budowanie bezpiecznej przyszłości. ■

Romantyczna walka o prawdę o Smoleńsku



Piotr Lisiewicz



„Kiedy przypomnę sobie nasz ówczesny stan ducha, to obok ideałów politycznych znajdę w nim na dnie zacieklą wewnętrzną ambicję; pomimo że byliśmy samotni, że była nas garstka, okazać chcieliśmy się godnymi wielkiej przeszłości żołnierza polskiego, chcieliśmy wywołać w duszy wielki oddźwięk pancernej przeszłości Polski” – tak mówił Józef Piłsudski o początkach zbrojnej walki o niepodległość. Myślę, że słowa te mogą być mottem naszej samotnej, ale zaciekle ambitnej garstki, która po 10 kwietnia 2010 r. podjęła – w imię honoru – nierówną walkę o prawdę o Smoleńsku. Przez siedem lat zmieniliśmy układ sił nie do poznania. Ale – pamiętajmy o tym – jeszcze ostatecznie nie wygraliśmy.

Józef Piłsudski wypowiedział cytowane słowa w Krakowie 29 marca 1916 r., a więc „w polowie drogi”, w chwili, gdy zwycięstwo było jeszcze odległe. W tym samym przemówieniu padły słowa, które być może nawet bardziej pasują do naszej sytuacji z 2010 r.: „Myśmy się porywali z motyką na słońce... Żyła w nas ta wściekła ambicja: własnymi siłami wytworzyć nowe wartości polskie”.

Ich imponujący arsenał

Ambitne podjęcie walki z przeciwnikiem, który wydaje się nieporównywalnie od nas silniejszy, ma tę zaletę, że o ile nie damy się mu od razu zmiażdżyć, możemy wiele się w czasie owej walki nauczyć. Słowem kluczem jest tu właśnie owa ambicja, która każe nam szukać metod takiego podejścia wroga, by zmniejszyć jego przewagę. To wymaga rzetelnej analizy wad i zalet – zarówno własnych, jak i jego.

Smoleńsk pozostaje dziś w oczach większości Polaków tematem „niemodnym”. Bo przeciwnik, którego propaganda ma malejącą, ale wciąż dużą moc rażenia, uznał, że może odpuścić wszystko, ale nie Smoleńsk.

Większość Polaków nie wierzy w to, że śledztwo w sprawie Smoleńska ustaliło prawdę? Niech im będzie, nie szkodzi, mamy już plan „B”, „C” i „D”. Robimy wszystko, by Polaków Smoleńskiem znudzić, odepchnąć od niego makabrycznymi opisami, wreszcie zrobić z domagających się prawdy świrów. Tak, by stali się niewygodni nawet dla własnego obozu politycznego.

Chciecie wygrać wybory? Opuśćcie Smoleńsk, wyrzucie Macierewicza – doradzali nam życzliwi. A po zwycięskich wyborach powtarzali – i mam tu na myśli „prywatne” opinie znaczących publicystów „prawicy”: „Przebieg Smoleńsk wyborów nie wygrał”.

▶ Odepchnąć narodowców od Smoleńska

Większość myślącej młodzieży w Polsce staje się patriotyczna? To bardzo źle, ale skoro to nieuniknione, trudno. Najważniejsze, żeby jej patriotyzm nie obejmował sprawy Smoleńska, by postrzegała ją jako cudzą, obciachową, medialną wojenkę partii politycznych, daleką od ideałów AK, NSZ i Żołnierzy Wyklętych.

Ludzie, którzy stracili bliskich, spotykają się z powszechnym współczuciem? To zrobimy z nich obrzydliwe kreatury, które na śmierci najbliższych chcą zarobić pieniądze z odszkodowań. Spójrz zwykły Polaku: tysiące ludzi gi-

na na drogach i nie dostają żadnych odszkodowań, a tamci inkasują jakieś niebotyczne sumy, czują się ważniejsi i obnoszą się ze swoim cierpieniem, żądając w zamian nie wiadomo czego.

Jeśli piszę o romantycznej walce o prawdę o Smoleńsku, o biciu się z silniejszym przeciwnikiem, mam na myśli to właśnie. Mocne starcie propagandowe. Bijemy się z wrogiem, który używa wobec nas całego arsenału swojej propagandy, wszystkich najbardziej niegodziwych i demagogicznych socjotechnik. Więcej – gotowy jest użyć nawet seryjnego samobójcy.

Ale gotowy jest też taktycznie odpuścić, pójść na kompromisy w sprawach drugorzędnych. Byle w tej pierwszorzędnej zachować *status quo*.

Wskazywanie tematów, których nie wolno dotykać, to stała rosyjska taktyka – jej jaskrawym przejawem było w czasach komunizmu podejście środowiska Jacka Kuronia i Adama Michnika do

nej, gdy podobnego Big Brothera stara się urządzać – z pomocą postkomunistycznych mediów – mała grupa manifestantów blokująca przyjazd Jarosława Kaczyńskiego na grób brata na Wawelu.

Wtedy hasło „Gdzie jest krzyż?” znane było w całej Polsce, a Andrzej Hadacz, według dokumentów IPN TW „Matka”, był medialną gwiazdą. Nie ma dziś wątpliwości, że zarówno po stronie agresorów, jak i obrońców krzyża byli wówczas ludzie reżyserujących cały spektakl służb specjalnych. Jego przekaz był jasny: jeśli domagasz się prawdy o Smoleńsku, jesteś jak starzy, groteskowo agresywni ludzie, na których pluje i oddaje moczą witalną młodzież wychodząca z knajp.

Dziś jest zupełnie inaczej. Ciamajdan pod Sejmem, który miał rozpętać kampanię nienawiści wobec Jarosława Kaczyńskiego, zakończył się wi-

JEŚLI PISZĘ O ROMANTYCZNEJ WALCE O PRAWDĘ O SMOLEŃSKU,
O BICIU SIĘ Z SILNIEJSZYM PRZECIWNIKIEM, MAM NA MYŚLI TO WŁAŚNIE.
MOCNE STARCIE PROPAGANDOWE. BIJEMY SIĘ Z WROGIEM, KTÓRY UŻYWA
WOBEK NAS CAŁEGO ARSENAŁU SVOJEJ PROPAGANDY.

zbrodni katyńskiej. Krakowski opozycjonista, pomysłodawca i założyciel w czasach PRL podziemnego Instytutu Katyńskiego Adam Macedoński w rozmowie z Anną Zechenter mówił o tym: „Poszedłem chyba najpierw do Michnika, ale właśnie byli u niego Włosi. Zrozumiałem, bo znam trochę włoski, że są to komuniści albo anarchiści. Michnik nie miał dla mnie czasu; oznajmił mi, że KOR Katyniem nie będzie się zajmować, bo Katyń to przeszłość, a KOR zajmuje się tylko przyszłością. Przypomniałem mu: »Ale piszecie o marcu 1968«. »A, to co innego« – powiedział i na tym rozmowa się zakończyła”.

► Zrewoltowany młodzieżowiec Maleńczuk

Kto wygrywa tę trudną walkę? Jaki jest na dziś układ sił? Sporo powiedzieć nam może porównanie dwóch kampanii nienawiści. Tej sprzed siedmiu lat, z czasów Big Brothera pod Krzyżem Pamięci na Krakowskim Przedmieściu. I tej obec-

dowską porażką, której symbolem stała się atealralna scenka, gdy na chodnik położył się, udając nieprzytomną ofiarę pisowskich siepaczy, Wojciech Diduszko. Wśród manifestantów pod Wawelem za zrewoltowanego młodzieżowca, grożącego użyciem przemocy robi zaś 56-letni Maciej Maleńczuk.

Fakt, że tamta strona nie ma póki co najmniejszych szans, by porwać młodzież, potwierdziła najbardziej widowiskowa porażka KOD, czyli skrajnie nieudana próba zwołania manifestacji studentów. A bez „witalnej” młodzieży podobne socjotechniki skazane są na porażkę.

► Nowe wartości polskie

„Własnymi siłami wytworzyć nowe wartości polskie” – tak definiował cel swojej „garstki”, która rzuciła wyzwanie silniejszemu wrogowi, Józef Piłsudski. Taki był też nasz szalenie ambitny cel siedem lat temu.

Antoni Macierewicz, którego „Alfabet” publikowaliśmy w „Nowym Państwie”, tak zdefiniował pojęcie „kłamstwo smoleńskie”: „istota działań, które mają uniemożliwić dojście do prawdy o przyczynach śmierci polskiej delegacji i osłabić dążenia Polaków do ujawnienia tej prawdy. Jest analogiczne do kłamstwa katyńskiego – także narodziło się w Rosji. Tyle tylko, że kłamstwo katyńskie było narzucone przez Sowietów, wprowadzone bagietami. Obowiązywało, ale tak naprawdę nikt nie dawał wiary oficjalnej wersji wydarzeń. Rozpowszechniali ją jedynie komuniści. Najbardziej upokarzające jest to, że kłamstwo smoleńskie jest propagowane w społeczeństwie przez samych Polaków, instytucje RP i znaczną część teoretycznie wolnych mediów”.

Nasza szarpanina po Smoleńsku polegała właśnie na tym, że system wartości, który elity wdrukowały w głowy większości Polaków, nie

nie zdegradowujemy ich, brutalnie nie upokorzymy ich tak, by poczuli, że są tu elementem obcym, produktem kolaboracji mniejszości narodu. Polska nie będzie niepodległa”. Słowa te spotkały się *notabene* z protestem Michała i Jacka Karnowskich, przy okazji ich wywiadu z Janem Dworakiem.

Pisałem wówczas różne inne rzeczy postrzegane przez nich jako utopia: „Nasz wybór – odmieniny od wyboru Przedpokoju – to reprezentowanie nie tylko interesów inteligencji przedwojennej, ale chłopaków z osiedla. Że to porywanie się z motyką na słońce, bo chłopaki z osiedla oglądają »Taniec z gwiazdami«? To poczytajcie, drodzy realiści, do jakich chłopaków z osiedla szedł Piłsudski”.

► **Zasypać podział między „pisowcami” a młodzieżą**

„WŁASNYMI SIŁAMI WYTWORZYĆ NOWE WARTOŚCI POLSKIE”

– TAK DEFINIOWAŁ CEL SVOJEJ „GARSTKI”, KTÓRA RZUCIŁA WYZWANIE SILNIEJszemu WROGOWI, JÓZEF PIŁSUDSKI. TAKI BYŁ TEŻ NASZ SZALENIE AMBITNY CEL SIEDEM LAT TEMU.

spowodował tego, by walczyli oni o prawdę o Smoleńsku. Zanikła w nich polskość.

Prof. Andrzej Waśko pisał w „Nowym Państwie” o tym, jak spotkał się ze znajomymi z krakowskich zadem ze studenckich czasów. Wspominał je: „W naszą stronę zomowcy strzelają gazem; wbiegamy między pobliskie bloki z dziewczętami, którym pomagamy ominąć blokady i w Czyżynach wsiąść do autobusu jadącego w stronę akademików. Tego dnia zastrzelono tu Bogdana Włosika”. Gdzie ich spotkał? Na mszy za ofiary Smoleńska: „Przyglądamy się sobie. To my; bohaterowie żartów o moherach i wydziwian o sekcje”.

Odkręcenie tego przekazu nie było łatwe z racji na siły, jakie w kłamstwo zaangażował wróg. Gdy w 2012 r. ukazał się w „Nowym Państwie” mój tekst „Salon, Przedpokój, Ulica”, pisałem w nim: „To, co nazywano polskimi elitami intelektualnymi, jest wynarodowioną elitą posowiecką. To osoby, których nic nie obchodzi losy Polski i Polaków, a tylko własne kariery. Dopóki

Ten scenariusz został zrealizowany. To w dużym stopniu bunt chłopaków z osiedla obalił rządy PO i PSL. I innych „zwykłych” Polaków, którzy stali się największą zmagą salonów, a propaganda zaczęła robić z nich Edków z Mrożka.

Przekaz salonów jest o tyle nieprawdziwy, że przekrój osób, które stanowią nasz obóz, jest o wiele bardziej zróżnicowany. Przykład? Kto chodzi do bibliotek, ten wie, jaki jest tam układ sił. Wyższa kadra naukowa oraz dyrektor biblioteki są niemal zawsze „ich”. Ale już zwykli bibliotekarze, panie z szatni i z ksero oraz studenci są przeważnie „nasi”.

Wydaje się, że do tego, by z bycia ogólnie „naszym” wynikało wsparcie dla sprawy walki o prawdę o Smoleńsku, brakuje już naprawdę niewiele. Tak naprawdę wystarczy zasypianie ideowych różnic pomiędzy starszymi patriotami „pisowskimi” a patriotyczną młodzieżą, by sprawcom i współnikom smoleńskiej zbrodni zrobiło się gorąco. ■



Grzegorz Wierchołowski



Smoleńska lista hańby

Mija siedem lat od tragedii smoleńskiej. „Nowe Państwo” publikuje nazwiska osób, które odpowiadają za tragedię 10 kwietnia 2010 r. lub odegrały w niej złowrogą rolę. Są tam zarówno ci, którzy mają zapewne krew na rękach, jak i ci, którzy zacierali ślady i propagowali wersję Rosjan, dezinformując oraz utrudniając Polakom dojście do prawdy. Oto alfabet współników Putina.

► **Tatiana ANODINA**

Przewodnicząca Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego (MAK). Odpowiedzialna za kłamliwy raport MAK, zawierający m.in. tezy o picu alkoholu przez gen. Andrzeja Blasiaka i wydawaniu przez niego komend pilotom. 13 kwietnia 2010 roku Anodina powołała tzw. Komisję Techniczną MAK składającą się z ekspertów MAK i rosyjskich wojskowych. Komisja ta odpowiada za nieudolne zabezpieczenie terenu katastrofy, niszczenie wraku samolotu, wszystkie manipulacje przy dowodach rzeczowych (stenogramy, kopie czarnych skrzynek) oraz wypowiadane na konferencjach prasowych kłamstwa.

Mało znana jest rola, jaką odegrała Anodina w załatwieniu remontu Tu-154 w zakładach kremłowskiego oligarchy Olega Deripaski w Samarze. Otóż dzień po ogłoszeniu w Polsce przetargu na naprawę samolotu (17 lutego 2009 r.), a dwa miesiące przed wyborem zwycięskiej oferty, MAK wydał zakładom „Awiakor” w Samarze dokumenty niezbędne do przeprowadzenia remontu tupolewa. Gdyby nie te kwity, Tu-154 nie mógłby trafić w ręce Deripaski.

► **Tomasz ARABSKI**

Szef kancelarii premiera Donalda Tuska w latach 2007–2013. Był koordynatorem tragicznego lotu Tu-154 do Rosji 10 kwietnia 2010 r. W czasie organizacji lotu nie wyznaczono nawet lotnisk zapasowych w przypadku, gdyby w Smoleńsku nie było warunków do lądowania.

Przed katastrofą smoleńską – w tajemnicy przed prezydentem Lechem Kaczyńskim – Arabski prowadził sekretne rozmowy w Warszawie i Moskwie z Rosjanami. Podczas jednego z nich złamał zasady dyplomacji, wyprasząc ze spotkania w moskiewskiej restauracji Justynę G., pracowniczkę Ambasady RP w Moskwie. Co więcej, Arabski zabronił jej opowiadać ambasadorowi RP Jerzemu Bahrowi o prowadzonych w Moskwie rozmowach. Według Andrzeja Melaka – brata śp. Stefana Melaka, który zginął w Smoleńsku – Arabski mówił w Moskwie bliskim ofiar, że trumny z ich ciałami nie będą mogły być otwierane. Potem okazało się, że zakazu otwierania trumien nie było.

Warto przypomnieć, że Arabski do dzisiaj nie ujawnił treści SMS-ów, jakie otrzymał od Grzegorza Michniewicza, szefa tajnej kancelarii premiera, wysłanych w dramatycznych, ostatnich godzinach przed śmiercią. Michniewicza znaleziono powieszzonego na kablu od odkurzacza, 23 września 2009 r. Był to dzień, w którym Tu-154 M 101 wrócił z remontu w Samarze. To właśnie szef kancelarii Tuska był ofi-

cialnym przełożonym Michniewicza. Do dziś nie wiemy, czego wiadomości SMS dotyczyły i co odpowiedział Arabski Michniewiczowi.

► **Gen. Siergiej BAJNIETOW**

Zaufany człowiek obecnego ministra obrony Siergieja Szojgu, wyznaczany przez Kreml do najważniejszych misji związanych z rosyjskim lotnictwem wojskowym. Przybył do Smoleńska już 10 kwietnia 2010 r., od razu stając na czele wojskowej komisji zawiadującej miejscem tragedii. Formalnie Bajnietow pojawił się tam jako szef służby bezpieczeństwa lotów rosyjskich Sił Powietrznych, choć akurat w katastrofie smoleńskiej żaden rosyjski samolot nie ucierpiał.

Z ujawnionych w 2016 r. przez resort obrony notatek, jakie sporządził tuż po tragedii płk Mirosław Grochowski, wynika, że to właśnie Bajnietow uniemożliwił Polakom swobodne poruszanie się po wrakowisku i dostęp do czarnych skrzynek. Gdy generał przebywał w Smoleńsku jako głównodowodzący na miejscu katastrofy, doszło tam do kluczowych manipulacji. 11 lipca w samolocie Tu-154 świadomie wybijano szyby, a wrak niszczone. Między 11 a 12 lipca przynajmniej siedem części maszyny zmieniło położenie, w tym statecznik, który przeniesiono o 50 m w kierunku centrum miejsca katastrofy. Wreszcie (jak wynika z ekspertyzy ABW) 11 i 12 kwietnia 2010 r. zmodyfikowano zawartość kart pamięci aparatów fotograficznych należących do ofiar.

► **gen. Władimir BENEDIKTOW**

Jako pilot-snaiper oraz jako dowódca brał udział w trzech wojnach: w Afganistanie i w obu konfliktach rosyjsko-czeczeńskich (w 1994 i 1999 r.). W Czeczenii dowodził krwawymi akcjami „antyterrorystycznymi” i powietrznymi operacjami specjalnymi.

W dniu katastrofy smoleńskiej był szefem sztabu i zastępcą dowódcy wojskowego lotnictwa transportowego (BTA). 10 kwietnia 2010 r. z Benediktowem, przebywającym wówczas w Moskwie, łączyli się kontrolerzy ze smoleńskiej wieży. „Towarzyszu generale, podchodzi do trawersu, wszystko włączone” – meldował generałowi płk Nikołaj Krasnokucki tuż przed katastrofą polskiego tupolewa. Co zostało włączone? Tego nie wiadomo.

Co ciekawe – pracownicy wieży smoleńskiej, zwłaszcza płk Krasnokucki, wyraźnie unikali wypowiadania nazwiska generała. Osobą, dzięki której przypadkowo poznaliśmy personalia dowódcy, jest telefonistka, która musiała przekazać jego nazwisko kierownikowi lotów ppłk. Pawłowi Plusninowi, bo płk Krasnokucki wyszedł akurat na płytę lotniska.

„To Benediktow był cały czas wśród nadzorujących lot tupolewa i jemu powierzono możliwość wydawania decyzji operacyjnych kontrolerom lotu. To jego rozkaz sprawił, iż nie zamknięto »Siewiernego« i nie odesłano TU-154 na inne lotnisko, o co Pliushin prosił wielokrotnie” – powiedział Antoni Macierewicz w rozmowie z „Gazetą Polską Co dziennie”.

Polska prokuratura nie tylko nigdy nie przesłuchiwała generała, lecz także nie wystosowała do Rosjan wniosku o pomoc prawną w tej sprawie. Po katastrofie smoleńskiej, 7 stycznia 2013 r., Benediktow został awansowany na dowódcę BTA.

► Jurij CZAJKA

Prokurator generalny Rosji nadzorujący śledztwo smoleńskie. Był członek Partii Komunistycznej. Karierę zawodową zaczynał jako... elektryk w stoczni. Nadzorował najważniejsze polityczne śledztwa w Rosji, m.in. sprawę otrucia Aleksandra Litwinienki. Według prywatnej amerykańskiej agencji wywiadowczej Stratfor, jest powiązany z GRU. W ręce Czajki trafiła większość materiału dowodowego zebranego przez MAK (m.in. wrak i czarne skrzynki) – to on odpowiada za blokowanie przekazywania stronie polskiej kluczowych dowodów.

► gen. Michał DMITRIEW

Był szefem Federalnej Służby Współpracy Wojskowo-Technicznej (FSWTS), która – jak ujawniono w jednym z raportów smoleńskiego zespołu parlamentarnego – kontrolowała przetarg na remont rządowych Tu-154M. To właśnie FSWTS udzieliła wyłączonej zgody na remont Tu-154 zakładom „Aviakor” z Samary, należącym wówczas do Olega Deripaski (którego prawą ręką jest Walerij Pieczenkin, były agent KGB i FSB). Poinformował o tym polski resort obrony, jasno dając do zrozumienia rządowi Tuska, że tupolewy powinny być remontowane właśnie tam. Przetarg został rozstrzygnięty zgodnie z sugestią FSWTS.

Generał dyw. Michał Dmitriew od 1971 do 2000 r. pracował w sowieckich i rosyjskich służbach specjalnych. Najpierw w KGB, jako funkcjonariusz I Zarządu Głównego, potem w rosyjskim wywiadzie zagranicznym SWR, gdzie doszedł do stanowiska dyrektora Zarządu Informacyjno-Analitycznego. Po katastrofie smoleńskiej gen. Dmitriew został doradcą ministra Siergieja Szojgu, koordynującego 10 kwietnia 2010 r. akcję „zabezpieczenia” wraku tupolewa.

► Edmund KLICH

Od 2006 do 2012 r. szef Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych (PKBWL). 3 maja 2010 r., a więc zaledwie trzy tygodnie po tragedii smoleńskiej, podpisał wraz z wiceprzewodniczącym MAK Aleksiejem Morozowem dokument sugerujący, że winę za katastrofę smoleńską ponoszą polscy piloci.

W książkowym wydaniu miesięcznika „Nowe Państwo” (kwiecień 2011 r.) Antoni Macierewicz, przewodniczący sejmowego zespołu do spraw katastrofy smoleńskiej, tak opisywał rolę Klicha w pierwszych godzinach po tragedii: „W Smoleńsku, nie mając żadnych kompetencji formalnych, nie będąc do niczego upoważnionym, jest traktowany przez stronę rosyjską jako osoba, która reprezentuje państwo polskie. To do niego przychodzi Rosjanie i pytają, czy mogą wziąć czarne skrzynki. To on wydaje zgodę na zabranie rejestratorów lotu i to on wskazuje ludzi ze strony polskiej, którzy mają z tymi czarnymi skrzynkami jechać”.

Po katastrofie smoleńskiej Klich wypowiadał się na prawo i lewo w polskich mediach, obarczając odpowiedzialnością za tragedię załogę i gen. Błasika. Czasem nawet kilka razy dziennie podawał kolejne sensacyjne informacje pochodzące rzekomo z zapisu czarnych skrzynek i pokrywające się z doniesieniami rosyjskiej prasy. Tydzień przed ogłoszeniem kłamliwego i oszczerczego raportu MAK mówił: „Ważne byłoby, aby ujawnić rozmowy między Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi i dowiedzieć się, czy rozmowa dotyczyła rzeczywście jedynie stanu zdrowia matki”.

► Paweł GRAŚ

W latach 2009–2014 sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i rzecznik prasowy rządu Donalda Tuska. Czołowa postać z otoczenia Tuska, jeśli chodzi o propagandę prorosyjską po katastrofie smoleńskiej. Gdy Antoni Macierewicz i Anna Fotyga w listopadzie 2010 r. polecieli do Stanów Zjednoczonych, by zyskać wsparcie dla sprawy międzynarodowej komisji smoleńskiej, Graś nazwał misję polityków PiS „absolutnym i totalnym skandalem, ocierającym się wręcz o zdradę”, a USA określił jako „obce mocarstwo”. 8 czerwca 2010 r. przeproszał Rosjan za wypowiedź dotyczącą kradzieży kart kredytowych Andrzeja Przewoźnika na miejscu tragedii. Graś obarczył bowiem odpowiedzialnością za ten postępek funkcjonariuszy OMON (rosyjskie siły specjalne), gdy tymczasem kradzieży dopuścili się rosyjscy żołnierze. „Funkcjonariuszom OMON smoleńskiego obwodu chcę powiedzieć: przepraszam. To był zwykły błąd. Życzę wam wszystkiego dobrego i szczęścia”

– mówił skruszony Graś. Publicznego pokajania się dokonał... po rosyjsku.

► **Piotr JUSZCZAK i Marek STĘPIEN**

Byli wiceszefowie Agencji Wywiadu. Podpisali się w 2010 r. pod decyzją o przekazaniu FSB danych osobowych rosyjskiego informatora, który zgłosił się do polskiej ambasady, twierdząc, że ma informacje o zamachu w Smoleńsku. Nie wiadomo, co później stało się z tym świadkiem.

15 września 2010 r., a więc pięć miesięcy po przekazaniu FSB danych Rosjanina, ppłk Juszczak brał udział w seminarium Biura Bezpieczeństwa Narodowego, zatytułowanym znamienne „Nowe otwarcie w stosunkach polsko-rosyjskich: szanse i zagrożenia”. Obok niego uczestniczyli w nim m.in. długoletni komunistyczny aparaczek Stanisław Ciosek, szef Służby Wywiadu Wojskowego płk Radosław Kujawa oraz znany z prorosyjskich poglądów były dyrektor w MSZ Jarosław Bratkiewicz.

► **Bronisław KOMOROWSKI**

W czasie katastrofy smoleńskiej marszałek Sejmu, w wyniku śmierci Lecha Kaczyńskiego p.o. prezydenta RP, następnie głowa państwa. Gdy w grudniu 2010 r. do Polski przyjechał prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew, Komorowski stwierdził: „Niedobra posucha w relacjach polsko-rosyjskich dobiegła końca”.

Kilkanaście dni później, w noworocznym (styczeń 2011 r.) wywiadzie dla TVP Info – kilka dni przed publikacją przez Rosjan kłamliwego raportu MAK – Komorowski wspomógł „ekspertów” z Kremla, mówiąc: „W katastrofie smoleńskiej najważniejsze było to, że podjęto próbę lądowania w warunkach klimatycznych braku widoczności, w których absolutnie ta próba lądowania nie powinna mieć miejsca. Niestety, w moim przekonaniu sprawa jest w sposób arcybolesny prosta”.

6 maja 2010 r. Komorowski nadał dwudziestu Rosjanom odznaczenia państwowe za „wybitne zasługi i zaangażowanie w działania podjęte przez stronę rosyjską po katastrofie polskiego samolotu specjalnego pod Smoleńskiem”. Wśród odznaczonych byli m.in. rosyjscy lekarze medycyny sądowej, milicjanci i strażacy.

I jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia: pod koniec grudnia 2009 r. biuro ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego rozsyłało do posłów foldery reklamowe MAW Telecom. To firma wchodząca w skład konsorcjum, które wygrało przetarg na remont polskich tupolewów, a następ-

nie skierowało je do zakładów należących do bliskich znajomych Władimira Putina. Komorowski do dziś nie zdradził, co łączy go (lub łączyło) z MAW Telecom i z jakiego powodu jego biuro rozsyłało foldery tej spółki.

Dziś mało kto też pamięta, że w lipcu 2010 r. Komorowski sam przyznał sobie nagrodę w wysokości 22 tys. złotych – za „ciężką pracę po katastrofie smoleńskiej”.

► **płk Oleg KONOPLEW**

Naczelnik FSB w Smoleńsku. Został mianowany na to stanowisko dekretem prezydenta Dmitrija Miedwiediewa tuż przed katastrofą smoleńską (prasa i portale internetowe w Smoleńsku poinformowały o jego nominacji 6 kwietnia 2010 r.). To właśnie funkcjonariusze smoleńskiego FSB pod kierownictwem Konoplewa prowadzili akcję „zabezpieczania” dowodów na wrakowisku.

Pułkownik Konoplew kończył Akademię KGB w Moskwie i jest pracownikiem tej służby od 1986 r. Przed przeniesieniem do Smoleńska pracował w FSB obwodu twerskiego – był tam pierwszym zastępcą szefa tej jednostki. Z Tweru w kwietniu 2010 r. przeniesiono także do Smoleńska płk. Nikołaja Krasnokuckiego – głównodowodzącego w smoleńskiej wieży lotów podczas katastrofy.

Po tragicznych wydarzeniach 10 kwietnia 2010 r. obaj oficerowie awansowali. 11 czerwca 2010 r. prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew podpisał dekret o nadaniu płk. Konoplewowi stopnia generała-majora. Natomiast Krasnokucki z zastępcy bazy lotniczej w Twerze awansował na dowódcę 610. centrum wdrożenia bojowego i wyszkolenia załóg wojskowego lotnictwa transportowego w Iwanowie.

► **Ewa KOPACZ**

Jako minister zdrowia przyczyniła się do przejścia przez Rosję całkowitej kontroli nad katastrofą smoleńską, a potem publicznie okłamała posłów, których pracami miała kierować.

13 kwietnia 2010 r. Kopacz na spotkaniu z Władimirem Putinem mówiła o fantastycznej współpracy między Polską i Rosją, ani słowem nie protestując przeciw odrzuceniu przez Moskwę pomocy ekspertów międzynarodowych, choć – jak stwierdziła szefowa MAK Tatiana Anodina – „organy śledcze Unii Europejskiej oraz innych państw wyraziły chęć uczestnictwa w pracach komisji technicznej, jeżeli zaistnieje taka potrzeba”.

29 kwietnia 2010 r. podczas sejmowego wystąpienia minister zdrowia Ewa Kopacz ogłosiła, że w sek-

cych zwłok ofiar katastrofy smoleńskiej brali udział polscy patomorfolodzy. W lipcu 2010 r. płk Zbigniew Rzepa z prokuratury wojskowej ujawnił, że było to kłamstwo.

► Maciej LASEK

Przewodniczący Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych (2012–2016). Jeden ze współtwórców raportu Millera, potem główny propagator zawartych w nim tez – pokrywających się w większości z ustaleniami Rosjan. Brutalnie atakował niezależnych naukowców badających katastrofę smoleńską. Sam jednak nie śmiał skonfrontować z nimi swoich ustaleń, choćby na Konferencjach Smoleńskich.

O postawie moralnej Laska i wartości jego tez świadczy zachowanie wobec polonijnego dziennikarza Adriana Wachowiaka. Chciał on dowiedzieć się – na podstawie ustawy o dostępie do informacji publicznej – kto, kiedy, gdzie i jak ustalił zupełnie niewiarygodną wartość przeciążenia 100 g, oddziałującego według raportu Millera na ofiary katastrofy smoleńskiej. Lasek przez wiele miesięcy nie chciał wykonać prawomocnego wyroku sądowego w tej sprawie. Dopiero gdy Wachowiak złożył skargę na niewykonanie wyroku, Lasek odpowiedział, że żądana informacja... nie dysponuje.

► Jerzy MILLER

Były minister spraw wewnętrznych, odpowiedzialny m.in. za kompromitującą postawę kierownictwa BOR podczas katastrofy smoleńskiej. 28 kwietnia 2010 r. objął stanowisko przewodniczącego Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego badającej przyczyny tej tragedii. Tego samego dnia zwrócił się do ekspertów lotniczych z sugestią, że polski raport powinien być... podobny do rosyjskiego. „Nasze ustalenia zostaną zderzone z raportem rosyjskim i jeżeli te dwa ustalenia będą różne, to będzie to tego cała teoria spiskowa. Ukręcimy bicz na własne plecy” – mówił. W ramach „ujednoczenia przekazu” komisja Millera samowolnie i bez żadnych podstaw przypisała jeden z głosów w kabinie pilotów gen. Blasikowi, choć inni specjaliści obecności generała w kokpicie nie stwierdzili.

W lipcu 2010 r. trzech oficerów MSW Federacji Rosyjskiej zostało nagrodzonych odznaczeniami polskiego resortu spraw wewnętrznych. Oficerowie MSW Rosji otrzymali „Medale za Zasługi dla Policji” za „skuteczną pracę i współpracę z polskimi organami wymiaru sprawiedliwości i ekspertami podczas

prowadzenia śledztwa przyczyn katastrofy lotniczej samolotu Tu-154 pod Smoleńskiem”. Nagrody wręczył dyrektor CBS Adam Maruszczak na polecenie właśnie Jerzego Millera.

► gen. Janusz NOSEK

Były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW). Dziś prokuratura zarzuca mu m.in., że w kwietniu 2010 r., tuż po katastrofie smoleńskiej, prowadził działania operacyjne wobec Marka Pasionka, który był jednym z prokuratorów badających sprawę katastrofy smoleńskiej. Powodem śledztwa przeciwko prok. Pasionkowi były jego kontakty z przedstawicielami służb amerykańskich, które prosił o pomoc w wyjaśnieniu tragedii. Generał Nosek oraz FSB uznali wówczas USA oraz NATO za... zagrożenie.

Tuż po katastrofie smoleńskiej gen. Nosek rozpoczął nieoficjalną i nielegalną współpracę SKW z rosyjskim FSB. Formalną zgodę na taką kooperację wydał dopiero w 2011 r. premier Donald Tusk. 11 listopada 2010 r. gen. Nosek został awansowany na stopień generała brygady.

► gen. Krzysztof PARULSKI

Od 2008 do 2012 r. naczelny prokurator wojskowy, odpowiedzialny za skandaliczne zaniechania w śledztwie smoleńskim. Gdy latem 2010 r. Rosjanie, tłumacząc się względami formalnymi, jeszcze raz przesłuchali pracowników więzy, a „nowe” zeznania okazały się znacznie korzystniejsze dla strony rosyjskiej, Parulski je zaakceptował. Były szef NPW odpowiada również za nieprzeprowadzenie powtórnych sekcji zwłok ofiar w Polsce.

Cieniem na osobie Parulskiego kładzie się też wspomniana już sprawa prokuratura Marka Pasionka, który zajmował się śledztwem smoleńskim. Pasionek uznał, że wysokim urzędnikom państwowym mogą zostać postawione zarzuty o zaniechania związane z przygotowaniem lotu polskiej delegacji. Po ujawnieniu tych informacji oskarżono go o kontakty z agentami obcych mocarstw oraz przekazywanie tajnych informacji dziennikarzom.

Przed wszystkim jednak w nocy z 10 na 11 kwietnia 2010 r. Parulski zaakceptował bez sprzeciwu podyktowany przez Rosjan dokument – mówiący, że podstawowymi wersjami przyczyn tragedii są ewentualny zły stan techniczny tupolewa, złe warunki pogodowe oraz ewentualne „niewłaściwe działania załogi samolotu i pracowników naziemnych lotniska”.

11 sierpnia 2010 r. prezydent Bronisław Komorowski awansował Parulskiego ze stopnia pułkownika na stopień generała brygady.

► **Radosław SIKORSKI**

Były szef MSZ. Odpowiedzialny za skierowanie (na początku 2010 r., niedługo przed tragedią) do Ambasady RP w Moskwie byłego komunistycznego szpiega Tomasza Turowskiego, który w kwietniu 2010 r. współorganizował wizytę prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku.

Sikorski brał aktywny udział w polsko-rosyjskim „pojednaniu” po katastrofie, promując jednocześnie kremłowskie tezy na temat Smoleńska. W maju 2010 r. mówił w Radiu TOK FM, że gen. Błasik mógł rozpraszać załogę swoją obecnością w kabinie, a w lutym 2011 r. – gdy już było oczywiste, że Polacy nie lądowali – twierdził w TVN: „Piloci ewidentnie popełnili błąd, nie powinni lądować we mgle, choćbyśmny nie wiem, ile zaprzeczali”.

16 listopada 2010 r. Sikorski odznaczył skompromitowanego szefa BOR, gen. Mariana Janickiego, Odznaką Honorową „Bene Merito” (Dobrej Zasługi) – zaszczytnym, honorowym wyróżnieniem przyznawanym przez MSZ za „działalność wzmacniającą pozycję Polski na arenie międzynarodowej”.

► **Tomasz TUROWSKI**

W PRL jeden z najgroźniejszych komunistycznych szpiegów, w III RP oficer Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Wywiadu. 15 lutego 2010 r. mianowany niespodziewanie na stanowisko kierownika wydziału politycznego w Ambasadzie RP w Moskwie. „Decydująca rola w organizacji i przygotowaniach do uroczystości katyńskich w kwietniu 2010 roku przypadła Wydziałowi Politycznemu Ambasady RP w Moskwie” – czytamy w uzasadnieniu umorzenia cywilnego śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej.

10 kwietnia 2010 r. przebywał na terenie lotniska Siewiernyj, jako reprezentant polskiej ambasady w Moskwie był na miejscu katastrofy. W aktach prokuratury znajduje się ciekawe zeznanie Dariusza Górczyńskiego, naczelnika Wydziału Federacji Rosyjskiej w Departamencie Wschodnim MSZ. Zeznał on: „Ambasador Turowski około godz. 12 przekazał mi, że otrzymał informację od funkcjonariusza FSO, że trzy osoby przeżyły i w ciężkim stanie zostały przewiezione do szpitala”.

Jak ujawniła „GP”, 6 maja 2010 r. Turowski uczestniczył w Rosji w specjalnym spotkaniu rosyjskich i polskich śledczych, poświęconym katastrofie smoleńskiej. Po zorganizowanej przez Rosjan rozmowie

ówczesny prokurator generalny Andrzej Seremet ogłosił niespodziewanie, że strona polska przekaze Moskwie rejestrator lotu ATM, tzw. trzecią czarną skrzynkę. O obecności Turowskiego na spotkaniu żadne polskie media ani żadna państwowa instytucja w Polsce nie poinformowały opinii publicznej.

► **Donald TUSK**

Były premier RP. Niemal przez miesiąc ukrywał przed prezydentem Lechem Kaczyńskim, że spotka się w Katyniu z Władimirem Putinem nie 10, lecz 7 kwietnia. Jak wynika z zeznań Agnieszki Wielowiejskiej, dyrektorki departamentu spraw zagranicznych kancelarii premiera, decyzja o podziale uroczystości zapadła już bowiem najwyżej kilka dni po rozmowie telefonicznej Tuska i Putina (która odbyła się 3 lutego 2010 r.). Tymczasem prezydent Kaczyński, pierwsza osoba w państwie, dowiedział się o tym dopiero na początku marca 2010 r.

Po katastrofie Tusk oddał śledztwo w ręce Putina, gdyż jako podstawę prawną badania tragedii wybrał Załącznik 13 do konwencji chicagowskiej, dotyczącej badania wypadków samolotów... cywilnych. W rezultacie śledztwo i wszystkie najważniejsze dowody przejęli Rosjanie.

Już 24 września 2010 r. Donald Tusk został powiadomiony, że Rosjanie w trumnie prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego (a także kilku innych ofiar smoleńskich) złożyli zwłoki innej osoby. O zamianie ciał dowiedziała się też wtedy komisja Millera i Naczelną Prokuraturę Wojskową. Mimo to informacji tej nie przekazano bliskim prezydenta, a ekshumację świadomie zablokowano. Co więcej, Tusk w marcu 2012 r. sugerował, że rodziny smoleńskie domagające się ekshumacji mają problemy emocjonalne: „Nie powinienem komentować determinacji niektórych rodzin na rzecz ekshumacji zwłok, nawet jeśli nie rozumiem tej determinacji, bo nie rozumiem. Ale widocznie jest jakaś potrzeba, która tkwi w zranionych uczuciach rodzin ofiar”. Do ekshumacji prezydenta Kaczorowskiego doszło ostatecznie 22 października 2012 r. Potwierdziło się, że w jego trumnie złożono ciało innej osoby.

Donald Tusk odpowiada również za wydanie ciał ofiar katastrofy smoleńskiej władzom rosyjskim. Już 10 kwietnia 2010 r. minister zdrowia Federacji Rosyjskiej Tatiana Golikowa powiadomiła go, że Rosjanie będą przeprowadzali sekcje zwłok bez polskich lekarzy i prokuratorów. Tusk nie zaprotestował. Gdy 11 kwietnia do Moskwy przybyli polscy prokuratorzy oraz Ewa Kopacz, obdukcje ofiar były już zakończone. ■

Czekiści pilnują smoleńskiego „śledztwa”

Antoni Rybczyński

*„Oczywiście do czasu
zakończenia śledztwa
przekazanie dowodów
rzeczowych nie jest
możliwe”*

SIERGIEJ ŁAWROW,
SZEFE MSZ ROSJI

Nie, to niemożliwe – ileż razy
słyszeliśmy te słowa w reakcji nawet
na hipotetyczne postawienie pytania
o możliwość przeprowadzenia przez
rosyjskie służby zamachu
10 kwietnia 2010 r. w Smoleńsku.
A przecież już wtedy znana była
historia katastrofy lotniczej, do której
doszło 9 marca 2000 r.
na moskiewskim lotnisku
Szeremietiewo...

Start wycarterowanego Jaka-40 zakończył się tragedią, o 8.41 samolot doszczętnie się rozbił. Na pokładzie był Artiom Borowik. Biznesmen i szef holdingu medialnego Sowierzenno Siekrietno, wydawca gazety i programu telewizyjnego pod tym samym tytułem. Do katastrofy doszło w samym szczycie kampanii wyborczej p.o. prezydenta Władimira Putina. Czy tragedia na lotnisku i śmierć Borowika miały związek z przyszłością polityczną Putina? Absolutnie tak. Cofnijmy się trzy miesiące: na początku stycznia 2000 r. w gruzińskiej gazecie „Alija” pojawia się wywiad z Wierą Nikołajewną, z domu Putin, od kilkudziesięciu lat żyjącą w gruzińskiej wsi Metechi. Kobieta twierdzi, że to ona jest prawdziwą matką Putina. Ujawnienie i nagłośnienie tej informacji, podważającej oficjalną wersję o petersburskim pochodzeniu następcy Jelcyna, mogłyby zagrozić wyborowi Putina. Materiały na ten temat trafiły do czeczeńskiego biznesmena Ziji Bażajewa. To on poszedł z nimi do Borowika, a ten postanowił ujawnić je w swoich mediach. W dniu 9 marca 2000 r. Nie zdążył. Tego dnia miał lecieć z Bażajewem do Kijowa. Czeczen regularnie wynajmował Jaka-40 nr 87440. Tej nocy jednak – nie wiadomo dlaczego – maszyny zamieniono. Bażajew i Borowik wsiedli na pokład Jaka-40 nr 88170. To był ich ostatni lot. Za oficjalną przyczynę katastrofy uznano oblodzenie samolotu. Tyle że wszystkie pozostałe maszyny startujące tego ranka z Szeremietiewa nie miały tego problemu. Co więcej, z wraka zniknęły telefony komórkowe pasażerów i teczka z dokumentami Borowika. Potem, w trakcie czynności śledczych, zaginęła też w niewyjaśniony sposób część lewego skrzydła Jaka-40. Później okazało się, że agenci FSB pokryli w nocy lotki lewego skrzydła podmienionego samolotu specjalną substancją, która doprowadziła do tego, że zaraz po wzniesieniu się w powietrze lotki przestały działać, a piloci utracili sterowność. Ale to już nie przebiło się do opinii publicznej, a prezydentem był już Putin. Ostatecznie materiały o jego prawdziwym pochodzeniu ukazały się dopiero 25 kwietnia 2000 r. w artykule pod tytułem „Czy w górach Gruzji znaleziono matkę prezydenta Rosji?”. Ale mało kogo już to interesowało – było już po wyborach, które Putin wygrał w pierwszej turze.

Być może także prawdę o katastrofie smoleńskiej kiedyś w końcu poznamy. Na razie rosyjskie służby specjalne pilnie strzegą wszelkich tajemnic związanych z 10 kwietnia 2010 r. Minęło siedem lat i nikt nie ma prawa zaprzeczyć, że Rosjanie robią wszystko, aby blokować dochodzenie. I będą robili to jak najdłużej, jednocześnie utrwalając w opinii publicznej (także światowej) tezy raportu MAK, który wyda-

foto: Wojciech Pawełczyk/PAF



no bardzo szybko i z jednoznaczną tezą o winie Polaków.

► Kłamstwo smoleńskie

„Rosja jest zainteresowana zbadaniem wszystkich przyczyn tragedii. Nikt nie zamierza sztucznie opóźniać śledztwa” – to słowa Siergieja Iwanowa. Padły równo dwa tygodnie po katastrofie smoleńskiej, a ich autor był wówczas wicepremierem i wiceprzewodniczącym komisji rządowej badającej przyczyny katastrofy z 10 kwietnia 2010 r. Pierwsze zdanie fałszywe, drugie również. Weteran KGB doskonale zdawał sobie z tego sprawę, bo musiał należeć do ścisłego grona prowadzącego Operację Smoleńsk. Jednym z najważniejszych kłamstw założycielskich tej historii było już na samym początku wykluczenie winy rosyjskiej. Szef Komitetu Śledczego Aleksandr Bastrykin już niecałą dobę po katastrofie oświadczył, że jej przyczyną nie mogły być ani zamach, ani awaria techniczna. Wspomniany już Iwanow dwa dni później stwierdził to samo, wypowiadając się w imieniu komisji rządowej. To nie jeden z wielu – widocznych w następnych latach – przykładów ścisłej koordynacji działań informacyjnych Moskwy w sprawie Smoleńska. Cóż z tego, że wyjaśnianiem katastrofy zajęły się trzy organy państwa: specjalna komisja rządowa, Komitet Śledczy oraz Międzypaństwowy Komitet Lotniczy MAK (wbrew nazwie, *de facto* rosyjski). Z góry wiadomo, że ostateczny wynik śledztwa prowadzonego przez Komitet Śledczy będzie zbieżny z ustaleniami MAK, którego raport w styczniu 2011 r. jednocześnie dał powód do zamknięcia prac komisji rządowej. Ale na zamknięcie śledztwa czekać możemy jeszcze długo. I nie chodzi nawet najbardziej o zwrot dowodów w sprawie (z wrakiem na czele). W politycznym interesie Moskwy bowiem jest grać tą sprawą jak najdłużej.

10 kwietnia 2010 r. prezydent Dmitrij Miedwiediew powołał dekretem nr 225 specjalną komisję rządową do spraw zbadania przyczyn katastrofy z premierem Władimirem Putinem na czele. Putin ustalił zaś sobie skład komisji – co Miedwiediew za potwierdzeniem dekretem nr 226. Zastępcami premiera w komisji byli wyłącznie ludzie służb, trójka generałów: generał lotnictwa Tatiana Anodina (szefowa MAK), wicepremier Siergiej Iwanow (generał wywiadu w stanie spoczynku), minister do spraw sytuacji nadzwyczajnych generał Siergiej Szojgu. Czekiści od pierwszych chwil po katastrofie otoczyli pieczęcią „opieką” wszystkie czynności mające jakikolwiek związek ze sprawą. Także wśród pozostałych członków komisji znaleźli się siłowicy: szef MSW gen. Raszid Nurgalijew, pierwszy zastępca pro-

kuratora generalnego (potem szef Komitetu Śledczego) gen. Aleksandr Bastrykin, dowódca Sił Powietrznych gen. Aleksandr Zielin. Był też oczywiście współodpowiedzialny za agresywną politykę Rosji szef MSZ Siergiej Lawrow. Do tego: minister transportu Igor Lewitin, minister zdrowia Tatiana Golikowa, gubernator obwodu smoleńskiego Siergiej Anufjew, szef Federalnej Agencji Transportu Lotniczego Aleksandr Nieradźko, szef Federalnej Służby Nadzoru Transportu Giennadij Kurzienkow, dyrektor Departamentu Przemysłu i Infrastruktury Rządu Maksim Sokołow i prezes koncernu Tupolew Aleksandr Bobryszew. Rzecz jasna, powołanie takiego ciała nie miało większego znaczenia – chodziło o pokazanie determinacji Rosji w wyjaśnianiu przyczyn tragedii. Charakter takiej „pokazuchy” miało posiedzenie komisji trzy dni po katastrofie, z udziałem przedstawicieli polskich władz, m.in. minister zdrowia Ewy Kopacz. To wtedy późniejsza premier usłyszała od Rosjan o rzekomym dokładnym, „na półtora metra w głąb gruntu” przeszukaniu terenu katastrofy. Wtedy także Siergiej Iwanow, informując o wynikach prac komisji technicznej, stwierdził, że „wstępna analiza rozszyfrowanych zapisów czarnych skrzynek pokazała, że wybuchu i pożaru na pokładzie samolotu nie było”. Polska strona przyjęła to bez zastrzeżeń. Na tym samym posiedzeniu, 13 kwietnia 2010 r., Putin przekazał kierowanie badaniami technicznymi i koordynację współpracy instytucji rosyjskich z zagranicznymi Anodinie. Zarządzenie premiera Rosji określało, że badanie katastrofy ma być prowadzone zgodnie z Załącznikiem 13 do konwencji chicagowskiej – co rząd Tuska zaaprobował (ciekawie, że nastający na cywilny charakter sprawy Rosjanie najpierw, 10 kwietnia 2010 r., powołali wspólną komisję MAK i Ministerstwa Obrony – trwało to tylko trzy dni, do momentu, gdy strona polska bez zastrzeżeń zgodziła się na „cywilny” charakter sprawy). Komisja rządowa propagandowo jeszcze swoją rolę odegrała. Na przykład wtedy, gdy 24 kwietnia 2010 r. Iwanow zadeklarował, że Rosja przekaze Polsce wszystkie dane dotyczące katastrofy. Trzy dni po wyborczym zwycięstwie Komorowskiego Iwanow ogłosił, że Moskwa już przekazała Polakom wszystkie dostępne dokumenty dotyczące badań w sprawie katastrofy (7 lipca 2010 r.) – kłamiąc nie po raz pierwszy. Ani nie ostatni. 15 stycznia 2011 r. komisja rządowa oficjalnie zakończyła prace – argumentując to zakończeniem prac Komisji Technicznej MAK.

Komisja ta działała od 13 kwietnia 2010 r., a na jej czele – decyzją Anodiny – stał jej zastępca w MAK, Aleksiej N. Morozow. Przy komisji akredytowano jako przedstawiciela Polski szefa Komisji Badania Wy-

padków Lotniczych Lotnictwa Państwowego Edmunda Klicha. Już dwa dni później Rosjanie pokazali, jak będą traktować stronę polską. Podczas tzw. technicznego oblotu lotniska w Smoleńsku polskim ekspertom nie pozwolono siedzieć przy stanowiskach dowodzenia, a wyników oblotu nigdy oficjalnie nie przekazano Polsce. Rosjanie szybko pokazali, w jakim kierunku będzie szło „badanie” przyczyn katastrofy. 19 maja 2010 r. Anodina i Morozow na konferencji prasowej ogłosili, że w czasie lotu w kokpicie zarejestrowano głosy osób spoza załogi (cztery dni później Edmund Klich stwierdził, że był wśród nich gen. Andrzej Błasik). Wykluczono awarię, pożar, wybuch czy zamach terrorystyczny, podkreślając też, że zabezpieczenie lotniska 10 kwietnia było identyczne jak 7 kwietnia, gdy przyjmowano samoloty Putina i Tuska. Anodina dodała, że badane jeszcze będzie ewentualne wywieranie wpływu na załogę. 20 października 2010 r. MAK ogłosił, że Komisja Techniczna zakończyła prace. Projekt raportu końcowego przekazano stronie polskiej. 17 grudnia 2010 r. strona polska przekazała swe uwagi do raportu. Z tymi uwagami raport został upubliczniony 12 stycznia 2011 r. Jego skandaliczne i fałszywe wnioski znamy dobrze wszyscy. Tak jak można było się spodziewać, winnymi uczyniono Polaków. Typowe dla psychologicznej wojny w wykonaniu rosyjskich służb było haniebne zarzucenie generałowi Błasikowi, że był pod wpływem alkoholu.

► Dochodzenie bez końca

Równoległe z dochodzeniem Komisji Technicznej MAK Rosjanie wszczęli śledztwo z artykułu Kodeksu Karnego Federacji Rosyjskiej o „naruszeniu reguł bezpieczeństwa ruchu transportu powietrznego, prowadzącym w efekcie do śmierci dwóch lub więcej osób”. W przeciwieństwie do strony polskiej Rosjanie powierzyli to zadanie strukturom cywilnym. Dochodzenie prowadził Komitet Śledczy przy Prokuraturze Generalnej Federacji Rosyjskiej z generałem Bastrykinem na czele, pod osobistym nadzorem jego formalnego przełożonego, prokuratora generalnego Jurija Czajki. Już 11 kwietnia 2010 r. wykluczono opcję awarii (Bastrykin mówił, że świadcza o tym odczyty czarnej skrzynki). 16 kwietnia 2010 r. śledczy ogłosili, że czynności procesowe w miejscu katastrofy dobiegły końca. I od tego momentu zaczęło się pozorowanie śledztwa. Choćby poprzez kierowanie coraz nowszych wniosków do strony polskiej i ignorowanie tych przychodzących z Warszawy. I tak na przykład w czerwcu 2010 r. Rosjanie skierowali wniosek o przesłuchanie rodzin ofiar oraz osób odpowiadających za organizację wizyty i przygotowanie samolotu do lotu. W sierpniu zaś z Moskwy

przyszły wnioski prawne, w których rosyjscy śledczy zwracali się o informacje na temat postronnych osób w kokpicie, o odczyt zapisu rozmów w kokpicie przez polskich biegłych i o wykaz połączeń z pokładu maszyny w chwili podchodzenia do lądowania. Wpisywało się to w narrację o naciskach na załogę (m.in. propagowana w Polsce teza o telefonie Jarosława Kaczyńskiego do brata). W lutym 2013 r. strona polska, na wniosek Rosjan, przekazała im dane dotyczące pilotów Tu-154M, w tym dokumentację genealogiczną.

Od 15 stycznia 2011 r. śledztwo prowadzi już samodzielnie Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej, powstały z przekształcenia Komitetu Śledczego przy Prokuraturze Generalnej Federacji Rosyjskiej. Dla dochodzenia miało to niewielkie znaczenie, jedynie prokurator generalny stracił resztki formalnego wpływu na dochodzenie. Komitet Śledczy jest bowiem zależny bezpośrednio od prezydenta, a nie prokuratury. W ten sposób, po powrocie na Kreml, Putin ma bezpośredni nadzór nad śledztwem. O jego przebiegu i ustaleniach, siedem lat po katastrofie, właściwie nic nie wiadomo. Dopytywany o to w styczniu 2013 r. przedstawiciel Komitetu Śledczego gen. Georgij Smirnow stwierdził tylko, że „są śledczy, którzy prowadzą to dochodzenie. Czynią to w ścisłej współpracy z polskimi kolegami. Pewne rezultaty już są. Jest pewna wiedza o przyczynach tej katastrofy”. Kolejne wizyty polskich prokuratorów w Moskwie (sam Andrzej Serebet jeździł kilka razy) nie poszerzyły wiedzy o rosyjskim śledztwie. Po spotkaniach pojawiały się tylko lakoniczne i ogólnikowe komunikaty stwierdzające, że dochodzenie trwa. Jak długo jeszcze? Nie wiadomo. Grę na czas umożliwiła rosyjskie prawo. Zgodnie z nim wstępne dochodzenie trwa dwa miesiące, tyle że śledczy mogą wnioskować o jego przedłużenie i to bez ograniczeń. Na tej zasadzie przedłuża się zresztą nie tylko śledztwo smoleńskie. Do tej pory nie zamknięto definitywnie na przykład spraw zabójstw Anny Politkowskiej i Aleksandra Litwinienki. Dochodzenie kończy się postawieniem zarzutów lub zamknięciem sprawy. Jeśli to pierwsze, akta sprawy trafiają do prokuratury i rola śledczych się kończy. Prokuratura przygotowuje i prowadzi sprawę w sądzie. Bez zakończenia rosyjskiego śledztwa strona polska nie uzyska bezpośredniego dostępu do wielu dowodów rzeczowych. W tym tych najważniejszych, m.in. wraka samolotu. Prowadzonym wciąż śledztwem załaskania się Moskwa, odmawiając wydania wraka Polsce (wspomniany gen. Smirnow z Komitetu Śledczego oznajmił, że Polska odmowę wydania wraka może, jeśli chce, zaskarżyć w rosyjskim sądzie). Dodatko-

wo sytuację komplikuje sytuacja proceduralna po stronie rosyjskiej. Polskie wnioski o pomoc prawną są realizowane zgodnie z europejską konwencją o pomocy w sprawach karnych i trafiają do Prokuratury Generalnej Rosji. Dopiero stamtąd są przekazywane do Komitetu Śledczego. Podobnie to działa w drugą stronę, rosyjska prokuratura jest więc tylko pośrednikiem. Nie ma żadnego wpływu na śledczych, żeby realizowali polskie wnioski. Dochodzi do tego rosyjska specyfika: Komitet Śledczy nie wchodzi nawet w skład wymiaru sprawiedliwości, jest tak naprawdę jedną z wielu siłowych struktur w putinowskim reżimie. To Putin mianuje i odwołuje szefa Komitetu i jego zastępców (inaczej jest w przypadku Prokuratury Generalnej) – nie trzeba dodawać, jaki wpływ ma to na prowadzone śledztwa. Do tego nie można zapominać, że Komitet jest naszpikowany ludźmi wywodzącymi się z Łubianki i z FSB ściśle współpracuje.

► Śledczy z Łubianki

Już na jesieni 2007 r., gdy z prokuratury wydzielono struktury śledcze, było wiadomo, że Putin chce z tej instytucji uczynić skuteczną i lojalną broń przeciwko swym przeciwnikom. Rosyjski przywódca chciał mieć też pełną kontrolę nad najważniejszymi śledztwami – a jednym z nich jest także śledztwo smoleńskie. Przez trzy i pół roku Komitet Śledczy formalnie był wciąż częścią prokuratury, a jego szef jednym z zastępców prokuratora generalnego. Pierwszym i jak do tej pory wciąż urzędującym szefem Komitetu jest gen. Aleksandr Bastrykin, kolega Władimira Putina ze studiów, wieloletni pracownik prokuratury, MSW i resortu sprawiedliwości. Przekształcenie w styczniu 2011 r. Komitetu Śledczego przy Prokuraturze Generalnej w Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej tylko sformalizowało to, co było faktem od 2007 r. Komitet Śledczy ściśle współpracuje z FSB, zatrzymani przez śledczych szczególnie ważni podejrzani trafiają do aresztu tymczasowego w należącym do FSB moskiewskim więzieniu Lefortowo. Wśród sześciorga zastępców Bastrykina dwóch ma za sobą służbę w KGB i FSB. Generał-pułkownik Aleksandr Fiedorow służył w organach bezpieczeństwa w latach 1977–2000, generał-pułkownik Aleksandr Soroczkin, który w Komitecie stoi na czele Głównego Wojskowego Zarządu Śledczego, to zaś absolwent Instytutu Czerwonego Sztandaru KGB, kuźni kadr sowieckiego wywiadu. Instytucję Bastrykina od początku zaliczano do struktur związanych z siłownikami. Ich interesy, a przede wszystkim Putina, realizuje Komitet, prowadząc swoje śledztwa. Z niezależnym prokuratorskim dochodzeniem nie

ma to nic wspólnego. Nie należy oczekiwać, by Komitet Śledczy w sprawie Smoleńska ustalił coś innego, niż mówi prezydent Rosji. Choć ten oczywiście w grudniu 2012 r. zapewniał, że nie miesza się do śledztwa, że nie zna stanowiska Komitetu „w szczegółach”, że w sprawie oddania wraku decydują samodzielnie śledczy. Oczywiście jednak poinformował, co „on sam uważa”. Że w Smoleńsku 10 kwietnia były „złe warunki pogodowe” i że „polski samolot, który wylądował dwie godziny wcześniej, poprzez swojego dowódcę ostrzegł dowódcę samolotu prezydenckiego, że nie należy tam lecieć, że nie ma warunków do lądowania”, a mimo to oni polecili.

Co dalej z rosyjskim śledztwem w sprawie Smoleńska? Tak naprawdę mamy tu tylko jedną niewiadomą: kiedy Rosjanie formalnie zakończą dochodzenie? Bo jakie będą wnioski, wiadomo z góry. Będą zbliżone do „ustaleń” MAK. Świadczy o tym zarówno sposób, w jaki Rosjanie współpracują, a właściwie nie współpracują ze stroną polską, oraz informacyjna operacja towarzysząca sprawie smoleńskiej. Przykładem może być artykuł „Komsomolskiej Prawdy” ze stycznia 2011 r. (wtedy, gdy ogłaszano raport MAK), w którym napisano, że w polskim 36. specpułku obowiązywała tajna instrukcja mówiąca, że decyzję o rezygnacji z lądowania może podjąć tylko „pierwszy pasażer”. Tę dementowaną przez Polskę informację natychmiast wykorzystano do obrony kontrolierów lotów z wieży w Smoleńsku. Wicepremier Iwanow oświadczył: „Kontrolerzy nie mogli zabronić lądowania, jeżeli dowódca samolotu albo jeszcze ktoś inny, kto znajdował się w tym czasie w samolocie, zdecydował o lądowaniu za wszelką cenę”. Normą też jest stawianie przez rosyjskie media zarzutu Polsce, że opóźnia śledztwo w sprawie Smoleńska. Są też bardziej brutalne działania służb rosyjskich, obliczone na sprowokowanie strony polskiej. Tak było w 2012 r., gdy blogger z Syberii („Gorożanin iz Barnaula”) opublikował drastyczne zdjęcia ofiar z miejsca katastrofy smoleńskiej, w tym śp. Lecha Kaczyńskiego. Przy okazji lansując teorię, jakoby wydarzenia z 10 kwietnia 2010 r. pod Smoleńskiem były z góry zaplanowane i miały „rytualny charakter”. Tak jak katastrofa rosyjskiego samolotu pasażerskiego Suchoj Super-Jet w Indonezji, zatonięcie promu „Bułgaria” na Woldze czy zabójstwa dwóch dziewczynek w Sewastopolu. Rosjanie zaprzeczyli, jakoby drastyczne zdjęcia wyciekły ze śledztwa. Tego typu prowokacje wpisują się w operację dezinformacyjną towarzyszącą wciąż sprawie smoleńskiej. I można się spodziewać kolejnych. ■



Ryszard Czarnecki

Mój Smoleńsk

Smoleńsk przeżywałem osobiście, bo wielu ludzi stanowiących elitę państwa polskiego, która tam zginęła, osobiście znałem.

To będzie bardzo osobisty tekst. Nie będę pisał uczonej analizy o tragedii pod Smoleńskiem ani o międzynarodowym kontekście jej wyjaśniania. Nie będę się rozwodził o tym, że byłem pierwszym europosem ze wszystkich 751 członków Parlamentu Europejskiego, który wystosował w lipcu 2010 r. oficjalną interpelację do Komisji Europejskiej w sprawie unijnej pomocy w „smoleńskim śledztwie”.

Smoleńsk przeżywałem osobiście, bo wielu ludzi stanowiących elitę państwa polskiego, która tam zginęła, osobiście znałem. Z wieloma ludźmi się przyjaźniłem. Dla mnie wciąż są obecni nie tylko w wymiarze historycznym, lecz także w moim prywatnym życiu i osobistych wspomnieniach. W moim telefonie komórkowym, choć w ciągu tych siedmiu lat zmieniłem szereg aparatów, wciąż mam nazwiska Ich wszystkich. Głównie są to oczywiście ludzie z Kancelarii Prezydenta, poczynając od Władka Stasiaka, z którym rozmawiałem przed katastrofą, komentując jakieś jego medialne wypowiedzi. Władysław, mój krajan z Wrocławia, nie obrażał się na krytykę. Był mądry, bo wiedział, że warto korzystać z cudzego doświadczenia. Ale byli tam nie tylko ludzie z naszego obozu. Zachowałem telefon do prezesa PKOl, wywodzącego się z lewicy, Piotra Nurowskiego. Był też człowiek, z którym regularnie ostro ścierałem się w mediach, ale spotykaliśmy się na imprezach sportowych – Jerzy Szmajdziński (miał być kandydatem SLD na prezydenta w wyborach A.D. 2010). Był też Arkadiusz „Aram” Rybicki, który był polityczną sierotą po PO-PiS-ie i będąc wiceministrem kultury z Platformy, nigdy nie chciał dać się osadzić w roli frontmana atakującego Prawo i Sprawiedliwość.

Aleksandra Szczygłę zatrudniłem u siebie w ministerstwie, gdy tylko powołany został rząd Jerzego Buzka, a ja zostałem ministrem-przewodniczącym Komitetu Integracji Europejskiej. Świętej pamięci Olek został szefem departamentu odpowiedzialnego za promocję i komunikację. Mało kto o tym skądinąd wie, a było to jego pierwsze poważne wyzwanie po pracy w NIK, na której pokład zaprosił go śp. Prezydent.

Staszka Zająca, druha z ZChN-u, jednego z moich następców na stanowisko szefa tej partii, znałem dobre kilkanaście lat, wielokrotnie bywałem w jego domu goszczony przez gospodarzy – Stanisława i jego żonę Alicję, obecną senator PiS. Znałem też jego dzieci.

Wielokrotnie bywałem również w londyńskim domu (w północno-zachodniej części brytyjskiej stolicy) prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego. 32 Anson Road – to było miejsce, gdzie młodszym gościom z Polski, jak ja, pani Karolina, żona głowy emigracyjnego państwa, mówiła per druha, smacznie się jadło, ale przede wszystkim rozmawiało, rozmawiało o niepodległej Polsce. Prezydent był staroświeckim patriotą w dobrym tego słowa znaczeniu.

Krzysztof Putra, sarmata z Podlasia: zawsze, gdy gościłem w jego gabinecie wicemarszałka Sejmu, miałem poczucie, że to archetyp kresowego szlachy-patrioty, ojca (licznej) rodziny, który wszak pierwszy pójdzie z szablą na Moskalą, gdy tylko ojczyzna zawoła.

Nasz Rzecznik Praw Obywatelskich, intelektualista-konserwatysta Janusz Kochanowski, ciekawy rozmówca z mocnymi poglądami, co w środowisku prawniczym wyróżniało go zdecydowanie. I dalej, dalej w głąb wyciętych w Rosji polskich drzew: Janusz Kurtyka, nie raz przypadkowy współpasażer kolejowych podróży na trasie Warszawa-Kraków i odwrotnie oraz już zupełnie nieprzypadkowy rozmówca na warszawskim bruku, nowoczesny patriota, wiedzący, że silnego państwa nie można zbudować bez polityki historycznej. I Maciek Płażyński, o którym wszyscy wiedzą, że był marszałkiem Sejmu, ale mało kto wie, że grał w reprezentacji polskiego parlamentu na stoperze i w spotkaniu z drużyną Bundestagu w Berlinie strzelił honorowego gola w oszukany mecz, gdzie wbrew ustaleniom Niemcy wstawili do swego składu zawodowych piłkarzy. Pamiętam do dziś, jak odwoził mnie ze stadionu Lechii na dworzec w Gdańsku, tuż po tym, jak jego ukochana drużyna wygrała ze Zniczem Pruszków mecz decydujący o powrocie do ekstraklasy.

I jeszcze wielu innych. Nie ma ich – a przecież cały czas są. Dla mnie. I nie tylko dla mnie. ■

Małgorzata Matuszak



Igranie z destrukcją

Informacje dotyczące niebezpiecznych gier, takich jak „Niebieski wieloryb”, „Zostań wróżką” czy innych, określane są mianem „fake news”. Ale to nieprawda, że nadal nic nie potwierdza ich istnienia. Istnieją, bo są ich ofiary. Nigdy zaś nie można ignorować czegoś, co zagraża dzieciom.

Trudno dziś wyobrazić nam sobie życie bez niego. Truizmem jest też stwierdzenie, że niesie ze sobą zagrożenia. Wszyscy przecież dobrze o tym wiemy, wciąż jednak wpadamy w jego sidła. Internet, bo o nim mowa, w ostatnich dniach znów przyczynił się do tego, by mówić o potrzebie jeszcze większej jego kontroli zarówno przez administratorów Sieci, jak i – a właściwie przede wszystkim – przez rodziców w odniesieniu do dzieci, które z niego korzystają, często zupełnie bezkrytycznie i bez żadnego nadzoru. Jest to niezwykle trudne, zwłaszcza w przypadku nastolatków, trzeba jednak wciąż, z wielką mocą, uświadamiać i uczyć dorosłych na to, by bacznie obserwowali swoje dzieci, by z nimi rozmawiali, jak dużą krzywdę mogą wyrządzić sobie i innym, wciągając się w niebezpieczne aktywności, jakie proponuje to potężne przecież medium.

► „Niebieski wieloryb”

W Polsce usłyszeliśmy o tej grze niedawno. Przywędrowała do nas z Rosji. Tamtejsze media, a także „Nowaja Gazieta”, która jako pierwsza opisała ten proceder, udowodniły, że gra przyczyniła się tylko do kilku przypadków śmiertelnych wśród młodzieży, pisząc jednocześnie o tym, że podejrzewa się, że w rzeczywistości aż 130 nastolatków mogło popełnić samobójstwo, będąc do niego podleganym przez „Blue Whale Challenges” („wyzwania błękitnego wieloryba”). Bo gra ta to właściwie szereg wyzwań, psychopatycznych i skonstruowanych w wyjątkowo perfidny sposób. W ciągu 50 dni jej uczestnik podejmuje się 50 zadań, o zwiększającym się stopniu trudności, wyznaczonych przez swego internetowego „opiekuna”. Są to m.in. wyzwania takie jak oglądanie strasznych filmów, dzień bez snu, głodówka, nieodzywanie się do nikogo, wejście na dach wysokiego budynku, samookaleczanie się, zrobienie krzywdy osobom najbliższym, zwierzętom lub nieznanym, odkręcanie kurków z gazem, eksperymentowanie z różnymi substancjami odurzającymi. Na końcu uczestnik otrzymuje wyznaczoną przez administratora datę swojej śmierci i musi przysiąc, że jest „wielorybem, który nie porzuci tego wyzwania i popelni samobójstwo”. Sama nazwa „Niebieski wieloryb” i otaczanie się symboliką wielorybów w grze wywodzi się ponoć z tego, iż te ssaki morskie czasami wypływają na plażę, co można interpretować jako celowe odebranie sobie życia.

Po odnotowanych przypadkach w Rosji, na Łotwie, Ukrainie czy w Kirgistanie, czyli rejonie postsowieckim, gdzie w powszechnym użyciu jest język rosyjski, gra trafiła do Polski. W Szczecinie, po zawiado-

mieniu dyrektora jednej ze szkół w powiecie pyrzyckim w Zachodniopomorskiem, prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie trzech przypadków samookaleczeń, których uczniowie dokonali pod wpływem właśnie „Niebieskiego wieloryba”. Kilka dni po tym zdarzeniu gliwicka policja poinformowała, że 15-letni mieszkaniec Gliwic trafił do szpitala z głębokimi ranami ciętymi na obu przedramionach. W rozmowie z policjantami chłopak przyznał się, że okaleczył się, gdyż bierze udział grze „Niebieski wieloryb”. Dwa kolejne śledztwa w tej sprawie wszczęto w Wieliczce i Grodzisku Mazowieckim. Zawiadomienie w sprawie 14-latka ze Świątnic Dolnych złożyła matka, zaniepokojona zachowaniem syna, i szkolny pedagog, do którego się zwróciła. 14-latka z Grodziska Mazowieckiego wycięła

»Dziękuję Wam czarodziejki Alfea. Jestem wróżką«. Od tej pory będziesz wróżką ognia”.

„Jak zostać wróżką” to ponoć jedno z najczęściej wyszukiwanych przez dzieci haseł w Internecie, tylko w jednej z wyszukiwarek wpisywane dziennie w Rosji kilkadziesiąt razy. Są już pierwsze ofiary tej „zabawy” – jedna z matek, budząc się w nocy z powodu swądu gazu, który ulatniał się w wyniku działań jej córki, uchroniła przed tragedią ośmioosobową rodzinę. Nie powstały inne niż rosyjska wersje językowe gry, niewiele jednak przecież potrzeba, by tak się stało. Policja twierdzi, że „gra” jest tworem profesjonalisty, którego poszukiwania trwają, a Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej uważa, że „gra” powstała przede wszystkim po to, by wzbudzić panikę wśród rodziców. Irina Minina, jedna ze śledczych, przestrze-

UCZESTNICTWO W „ŚMIERTELNEJ GRZE” MOŻE BYĆ TAKŻE SPOSOBEM NA ZDOBYCIE AKCEPTACJI I „SZACUNKU” U RÓWIEŚNIKÓW. DOCHODZI DO TEGO JESZCZE UZALEŻNIENIE OD INTERNETU I RÓŻNYCH PORTALI SPOŁECZNOŚCIOWYCH.

sobie na skórze nożem do papieru wieloryba. Tuż sprawę również wykryli matka i nauczyciele. W trakcie przesłuchań okazało się, że u jednej z koleżanek dziewczynki także stwierdzono samookaleczenie. We wszystkich przypadkach policja zabezpieczyła telefony i komputery dzieci.

► „Zostań wróżką”

Niedawno, również w Rosji, pojawiła się w Internecie kolejna „gra”, tym razem skierowana do jeszcze młodszych odbiorców, przede wszystkim małych dziewczynek. Przypomina graficznie znaną dzieciom animację „Winx Club – Szkoła Czarownic” i podpowiada, jak zostać wróżką ognia. Oto instrukcja, którą krok po kroku mają realizować dzieci: „O północy, gdy wszyscy już zasną, wstań z łóżka, obejdź pokój trzy razy, a następnie wypowiedz zaklęcie: »Czarodziejki Alfea, małe słodkie wróżki, dajcie mi proszę siłę!«. Potem po cichu idź do kuchni – tak, by nikt cię nie zauważył. Jeśli tego nie zrobisz, magia słów zniknie. Odkręć palniki na kuchence gazowej. Następnie idź spać. Magia gazu od razu do ciebie przyjdzie. Będiesz nim oddychać przez całą noc. Rano, kiedy się obudzisz, wypowiedz słowa:

ga, że instrukcja ta może być czymś w rodzaju gry samobójczej, kolejnej dostępnej w Internecie. Kolejnej, której ofiarą padają osoby małoletnie.

Problem to w Rosji nie miały. Rosyjski pełnomocnik do spraw dzieci poinformował o tym, że w ubiegłym roku liczba samobójstw wśród nastolatków wzrosła w kraju o 60 proc. Dane te wzbudzają trwogę tym bardziej, że w latach 2011–2015 ich liczba systematycznie spadała o 10 proc. w skali roku. Anna Kuzniecowa, rosyjska rzecznik praw dziecka, uważa, iż główną tego przyczyną może być rozprzestrzenianie się tzw. grup śmierci w Internecie. Według danych Komitetu Śledczego w ciągu trzech lat w Rosji odebrało sobie życie ponad 2 tys. nastolatków. To dane przerażające.

► Trzeba działać!

Ministerstwo Edukacji po ujawnieniu przypadków ofiar „Niebieskiego wieloryba” w Polsce nie pozostało bezczynne. 20 marca „w związku z występującym zagrożeniem dla bezpieczeństwa uczniów korzystających z technologii informacyjno-komunikacyjnych” Maciej Kopec, podsekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji

Narodowej, wystosował do dyrektorów szkół w całym kraju list poruszający ten temat. Minister Anna Zalewska postanowiła też powołać zespół mający opracować działania profilaktyczne w zakresie cyberbezpieczeństwa małoletnich uczniów. Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak w liście do nauczycieli i opiekunów dzieci zaapelował o szczególne zwrócenie uwagi na najmłodszych, zwłaszcza tych, którzy nadmiernie korzystają z Internetu, są klasowymi outsiderami, mają problemy w kontaktach z rówieśnikami lub w domu. Napisał w nim: „Nie pozwólmy, aby stała im się krzywda, bądźmy blisko nich, dając im poczucie, że są dla nas ważni, że nam na nich zależy, że jesteśmy ich przyjaciółmi, nauczycielami i przewodnikami”.

Bo problem jest poważny i nie można go bagatelizować, wbrew temu, co mówi się czasami na ten te-

► Dbajmy o dzieci

Martyna Różycka z zespołu dyzurnet.pl, punktu kontaktowego reagującego na anonimowe zgłoszenia internautów o potencjalnie niezgodnych z prawem treściach w Internecie, uczula rodziców na to, by obserwowali nastrój dzieci i uświadamiali im, że z każdej aktywności w Sieci mogą się wycofać: „Dzieci trzeba uświadomić, że jeżeli w pewnym momencie wciągnie się w taką czy inną grę, znajomość, jakąkolwiek aktywność – i na początku będzie fajnie, a potem czuje się niekomfortowo, ma prawo bez żadnych konsekwencji wyłączyć się z tej gry, zamknąć komputer, nie odpowiadać na mejle, zablokować użytkownika. I powiedzieć o tym osobie dorosłej”.

JEŚLI KTÓREŚ Z DZIECI POTNIE SOBIE RĘKĘ, TŁUMACZĄC SWÓJ CZYN ZABAWĄ ALBO GRĄ, PRZYJRZYMY MU SIĘ DOBRZE, JEGO RODZINIE, DOMOWI I OTOCZENIU. NIE MOŻNA POZOSTAĆ OBOJĘTNYM. PÓŹNIEJ MOŻE OZNACZAĆ ZA PÓŹNO.

mat. Można bowiem przeczytać i usłyszeć również o tym, że nagłaśnianie sprawy „Niebieskiego wieloryba” przysporzy więcej szkody niż pożytku, sam list zaś to tylko kolejna odłona medialnej paniki i niekoordynowanych działań w tej sprawie. Przywoływana jest analogiczna sytuacja, jaka miała miejsce w Bułgarii, gdzie po rozpętaniu się podobnej jak u nas paniki, odpowiednie służby zareagowały, tamując rozprzestrzenianie się informacji na temat „Niebieskiego wieloryba”. Georgi Apostolova z bułgarskiej organizacji zajmującej się bezpieczeństwem w Internecie twierdzi, że gra to tylko manipulacja, która może zaszkodzić rodzicom i dzieciom borykającym się z jakimiś problemami: „Mieliśmy kilka przypadków zgłoszonych na naszą internetową linię pomocy, kiedy borykające się z myślami samobójczyimi czy samookaleczające się nastolatki używały tej manipulacji, by nie musieć mówić o swoich prawdziwych problemach”. Informacje dotyczące niebezpiecznych gier, takich jak „Niebieski wieloryb”, „Zostań wrózką” czy innych, określane są mianem „fake news”. Ale to nieprawda, że nadal nic nie potwierdza ich istnienia. Istnieją, bo są ich ofiary. Nigdy zaś nie można ignorować czegoś, co zagraża dzieciom.

Większość młodych ludzi, by posiadać dobrą równowagę psychiczną, potrzebuje miłości, opieki najbliższych, przyjaźni i akceptacji rówieśników, a także osobistych sukcesów w szkole lub poza nią. Jeśli któregoś z tych elementów zabraknie, gdy dziecko czuje się zagubione, wyizolowane, samotne, niepewne swojej wartości, tym bardziej gdy ma delikatniejszą psychikę i jest wrażliwsze od rówieśników, bardziej jest narażone na depresję i myślenie autodestrukcyjne. Niebezpieczeństwo wciągnięcia w tego typu gry wtedy wzrasta. Uczestnictwo w „tajnym projekcie” może być także sposobem na zdobycie akceptacji i „szacunku” u rówieśników. Dochodzi do tego jeszcze uzależnienie od Internetu i różnych portali społecznościowych, obserwowane u coraz młodszych użytkowników tych mediów. Młodzi ludzie uciekają w swoim pojęciu w lepszy świat, nierzeczywisty, bo ten „w realu” wydaje się im czasami nie do zniesienia. Początkowo mówią, że to tylko zabawa. Z czasem jednak, w wyniku coraz większego zatacania się w nierealnym życiu, może dojść do tragedii. Jeśli zaś któreś z dzieci potnie sobie rękę, tłumacząc swój czyn zabawą albo grą, przyjrzyjmy mu się dobrze, jego rodzinie, domowi i otoczeniu. Nie można pozostać obojętnym. Później może oznaczać za późno. ■



Tomasz P. Terlikowski

Nierozwiązana zagadka Medjugorie

Czy w Medjugorie rzeczywiście miało miejsce objawienie Matki Bożej?

Na to pytanie, warto to sobie uświadomić, wciąż nie mamy pełnej odpowiedzi Kościoła. A te wiadome, którymi dysponujemy, sugerują, że... objawienia te niewiele mają wspólnego z Maryją.

Debata na temat wydarzeń w Medjugorje toczy się od dawna. Każda ze stron ma swoje mocne argumenty. Zwolennicy przekonują, że w tej niewielkiej wiosce dzieją się cuda, że tysiące ludzi odzyskują wiarę, a dziesiątki innych spowiadają się, niekiedy po wielu latach. I trudno z tymi faktami dyskutować, tak jak trudno zanegować, że z Medjugorje związany jest cały szereg wspaniałych religijnych dzieł. Z drugiej strony, nie sposób też nie dostrzec, że objawienie to różni się od wielu innych czy że biskupi miejsca od dawna odrzucają, i to jednoznacznie, jego prawdziwość, a Watykan nadal nie zajął stanowiska w tej sprawie (poza tym, że zakazał kapłanom organizowania pielgrzymek do tego miejsca). Jednym słowem, zamieszanie trwa, obie strony mocno okopują się na swo-

znaczył jednak, że warto zawsze pamiętać, że w tym miejscu prawdziwie czci się Matkę Bożą.

Nie brak także wypowiedzi samego Franciszka, z których odczytać można papieskie podejście do wydarzeń w Medjugorje. Podczas ostatniego spotkania z duchownymi papież podkreślał, że bardzo cieszy się z silnej pobożności Maryjnej w Ameryce Łacińskiej. Ale jednocześnie zaznaczał, że mówi o prawdziwej pobożności Maryjnej, wobec rzeczywistej Matki Bożej. – Chodzi o prawdziwą Madonnę. Nie o Madonnę, która jest szefową poczty, codziennie wysyłającą do nas listy, w których mówi: „moje dzieci, zróbcie to, i potem drugiego dnia: zróbcie co innego”. To nie jest rzeczywista Madonna. Prawdziwa Madonna, jak matka, rodzi Jezusa w naszych sercach – podkreślał papież. Wskazał także, że Matka Boża

PAPIEŻ MÓWI, ŻE CIEKAWOŚĆ PROWADZI NAS DO UGANIANIA SIĘ ZA WIZJONERAMI
OTRZYMUJĄCYMI LISTY OD MATKI BOŻEJ, JAKIEŚ OREĐZIA. TYMCZASEM MATKA BOŻA
JEST MATKĄ I KOCHA NAS WSZYSTKICH. NIE JEST DYREKTORKĄ POCZTY, CODZIENNIE
WYSYŁAJĄCĄ OREĐZIA.

ich stanowiskach, a Stolica Apostolska, choć ostatnio wydała kilka mocnych sygnałów, wyraźnie nie ma ochoty ostatecznie rozstrzygać sprawy.

► Mocne sygnały Watykanu

Zacznijmy od wydarzeń z ostatnich tygodni, które zdają się jasno sugerować, że Stolica Apostolska ma jednak jakiś problem z Medjugorje. Oto papież Franciszek mianował abp Henryka Hosera delegatem, który ma zbadać sytuację duszpasterską w bośniackiej wiosce. Jego celem nie jest dokonywanie oceny doktrynalnej, lecz jedynie sprawdzenie, jak sprawowana jest opieka nad pielgrzymami do tego miejsca.

Wcześniej Komisja Kongregacji Nauki Wiary przeprowadziła czteroletnie dochodzenie w tej sprawie, które zakończyło się przygotowaniem specjalnego raportu. Już w 2015 r. papież Franciszek zapowiadał jego opublikowanie, jednak – jak dotąd – do tego nie doszło. Dlaczego? Bo, jak podkreśla kard. Francis Arinze, „weryfikacja prawdziwości objawień w Medjugorje nie jest tak prosta, jakby się niektórym mogło wydawać”. Tak długie oczekiwanie na papieską oficjalną wypowiedź w sprawie Medjugorje pokazuje, że nie jest rzeczą łatwą zweryfikowanie prawdziwości tamtejszych wydarzeń. Nigeryjski hierarcha za-

Supergwiazda, która chce przebywać w świetle jupiterów, nie jest „naprawdę katolicka”.

Nie jest to, o czym warto pamiętać, pierwsza tego rodzaju wypowiedź Franciszka. „Są ludzie, którzy ciągle potrzebują nowości owej tożsamości chrześcijańskiej. Zapomnieli, że Bóg nas namaścił, wycisnął na nas pieczęć i zostawił zadatek Ducha w sercach naszych – i poszukują. Na przykład: »Gdzież są wizjonerzy, którzy nam powiedzą, jakie przesłanie przekaże nam Matka Boża o czwartej po południu?«. I tym żyją. To nie jest tożsamość chrześcijańska. Ostatnie słowo Boga to »Jezus« i nic więcej” – powiedział papież podczas porannej mszy świętej w Domu Świętej Marty, jeszcze w 2015 r.

W listopadzie 2013 r. Franciszek także dość mocno odnosił się do poszukiwania ciekawostek w objawieniach Maryjnych. „Ma to miejsce wówczas, gdy chcemy zawłaszczyc Boże plany, przyszłość, rzeczy, wiedzieć wszystko, wziąć wszystko w swoje ręce... Faryzeusze zapytali Jezusa, kiedy przyjdzie Królestwo Boże? Ciekawi! Chcieli znać datę, dzień... Duch ciekawości oddala nas od ducha mądrości, gdyż interesują nas jedynie szczegóły, wiadomości, wiadomości każdego dnia. Albo jak to się robi... A duch ciekawości nie jest dobrym duchem, jest duchem rozpraszania, oddalenia od Boga, duchem gadulstwa. A Jezus posuwa się nawet do tego,

żeby nam powiedzieć, że ten światowy duch ciekawości prowadzi nas do zamętu” – zaznaczył wówczas Ojciec Święty. Papież dodał, że ciekawość pobudza nas, byśmy słyszeli, że Pan jest tu czy tam, prowadzi nas do uganiania się za wizjonerami otrzymującymi listy od Matki Bożej, jakieś orędzia. Tymczasem Matka Boża jest Matką i kocha nas wszystkich. Nie jest dyrektorką poczty, codziennie wysyłającą orędzia. „Te nowinki oddalają od Ewangelii, od Ducha Świętego, oddalają od pokoju i mądrości, od Bożej chwały, od Bożego piękna. Gdyż Jezus mówi, że Królestwo Boże nie przychodzi w sposób przyciągający uwagę: przychodzi w mądrości. »Królestwo Boże jest pośród was« – mówi Jezus, jest ono tym działaniem Ducha Świętego, które daje nam mądrość, pokój. Królestwo Boże nie przychodzi w zamecie, tak jak Bóg nie mówił do proroka Eliasza w wichurze, w burzy, ale w łagodnym powiewie wiatru, w powiewie mądrości” – podkreślił Ojciec Święty.

biskup. A dalej podkreśla, że istota objawiająca się w Medjugorie nie jest w stanie nawet powiedzieć, ile razy będzie się jeszcze objawiać, a także pozwala na deptanie jej welonu, dotykanie sukni i ciała. „To nie jest Dziewica Ewangelii” – podkreśla biskup.

Hierarcha zwraca także uwagę na to, że w miejscu objawień miał się pojawić znak ich prawdziwości w postaci wody, ale od momentu złożenia tej obietnicy minęły już cztery dziesięciolecia i wody nie ma. – Nie ma wody, są tylko fantazje – podkreśla biskup Peric. Zarzutom są także niespójności między wizjonerami a ich własnymi wypowiedziami. Początkowo Maryja – w tym zgodni są wszyscy wizjonerzy – miała ukazywać się przez trzy dni, ale najwyraźniej – podkreśla biskup – zmieniła zdanie i objawia się od 37 lat. Zarzutom jest także brak podziału między widzącymi, dziwne zachowania zjawy itd. Wszystko to skłania bi-

ISTOTA OBJAWIAJĄCA SIĘ W MEDJUGORIE NIE JEST W STANIE POWIEDZIEĆ, ILE RAZY BĘDZIE SIĘ JESZCZE OBJAWIAĆ, A TAKŻE POZWALA NA DEPTANIE JEJ WELONU, DOTYKANIE SUKNI I CIAŁA. „TO NIE JEST DZIEWICA EWANGELII” – PODKREŚLA BISKUP MOSTRAU.

► Biskup Mostaru niezmiennie przeciw

Oczywiście w żadnej z tych wypowiedzi nie ma bezpośredniego odniesienia do Medjugorie, jednak opis sugeruje dość jednoznacznie, o jakie objawienia Maryjne chodzi. Krótko po zacytowanej ostatniej z papieskich wypowiedzi, a także po powołaniu arcybiskupa Hosera na papieskiego delegata, miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie. Biskup Mostaru wydał kolejne oświadczenie, w którym odnosił się do wydarzeń z Medjugorie. I, jak wszystkie poprzednie, było ono negatywne wobec prawdziwości objawień.

Biskup Mostaru-Duvna Ratko Peric już na początku oświadczenia podkreślił swoje oddanie Matce Bożej, a także wskazał na swoją mariologiczną twórczość, jednocześnie zastrzegając, że nie jest w stanie uznać objawień w Medjugorie za prawdziwe. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo szczegółowa. „Kobieta, która rzekomo pojawia się w Medjugorie, zachowuje się w sposób całkowicie odmienny od zachowania Matki Bożej w objawieniach uznanych dotąd przez Kościół; zazwyczaj nie wypowiada się jako pierwsza, śmieje się w dziwny sposób, po pewnych pytaniach znika i pojawia się ponownie” – wskazuje

sкупа do ponownego powtórzenia wniosku, który od dawna głosi dieceja: „Madonna nie objawiła się w Medjugorie”.

► Co z tego wynika?

Wszystkie te wypowiedzi i wydarzenia nie muszą wcale oznaczać, że całość objawień w Medjugorie zostanie odrzucona. Przeciaki z komisji kard. Ruiniego, która zajmowała się prawdziwością objawień, sugerują bowiem, że sama komisja opowiedziała się za rozwiązaniem salomonowym. Jej członkowie sugerują, by uznać, że... prawdziwe są tylko absolutnie pierwsze dni objawień, a na temat późniejszych nie trzeba się zwyczajnie wypowiadać. Powód do milczenia nasuwa się zresztą bardzo prosty, otóż dokąd objawienia trwają, nie sposób dokonać ich ostatecznej oceny. Ale nawet to – wydawać by się mogło idealne pod każdym względem – rozwiązanie nie zostało opublikowane, co może oznaczać, że – jak to sugerował kard. Sarah – sprawa jest dużo bardziej złożona. A to wymusza ogromną ostrożność w traktowaniu objawień i ich treści. I to mimo świadomości, że samo Medjugorie wydaje także bardzo dobre owoce. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... resentment

„Resentiment” bywa w polszczyźnie terminem często źle rozumianym – jako „re-sentyment”, czyli „powtórny sentyment”, „odradzanie się sympatii do kogoś, ponowne obdarzanie kogoś zaufaniem, a może nawet uczuciem”. Tymczasem z „sentymentem” ma niewiele wspólnego. Pochodzi od francuskiego słowa *ressentiment* – związanego z *ressentir*, sięgającego z kolei korzeniami łacińskiego *sentire* – i oznacza „urazę, niezadowolenie, niechęć żywioną do kogoś lub czegoś, długo przechowywanymi w pamięci po doznaniu krzywd czy przykrości”. *Terminus technicus* ukuł z niego Fryderyk Nietzsche, określając nim stan, który doskonale ilustruje jedna z bajek Ezopa. To także jedno z głównych pojęć filozofii Maxa Schelera, określającego resentment jako „duchowe

rowanie u klamki – „cierpliwością”, niemoc zemsty nazywana jest „niechęcią zemsty” lub „przebaczeniem”, a słabość nie szukająca odwetu – „dobrocią”. Do tych Schelerowskich bez trudu można by dopisać kolejne, jakże dzisiaj widoczne. Choćby antykatolicki resentment obecny w naszych czasach.

Max Scheler tak tłumaczy mechanizm resentmentu: „Formalne przejawy resentmentu mają wszędzie tę samą strukturę: afirmuje się, ceni, chwali coś, jakieś A, nie ze względu na jego wewnętrzną jakość, lecz w niewysłowionej intencji zanegowania, zdeprecjonowania, zganienia czegoś innego, jakiegoś B, A »wygrywa się« przeciw B”. Resentiment stanowi rekompensatę własnych niemocy i ograniczeń, uniemożliwia wrażliwość

CZŁOWIEK NOWOŻYTNY, NIE UMIEJĄC ODCZYTYWAĆ OBIEKTYWNEGO ŚWIATA
WARTOŚCI I NIE POTRAFIĄC WEDŁUG NIEGO ŻYĆ, MŚCI SIĘ NA SAMEJ IDEI WARTOŚCI,
ODMAWIAJĄC JEJ OBIEKTYWNOŚCI I GŁOSZĄC, ŻE WSZYSTKIE WARTOŚCI SĄ
SUBIEKTYWNE.

samozatrucie”, tworzenie przez kogoś iluzorycznego świata wartości z tego tylko powodu, że ten prawdziwy staje się dlań niedostępny.

„Pewien lis bardzo chciał sięgnąć soczystych winogron. Niestety, wisiały zbyt wysoko, a lis skakał, brał rozpęd i wciąż mógł tylko powąchać aromatyczne owoce. W końcu zmęczony i zrezygnowany warknął do siebie z wyrzutem: I tak ich nie chciałem! Są kwaśne i niedobre!” Podobnie jak z lisem, bohaterem przytoczonej bajki, jest z człowiekiem resentmentu. Uznaje on za gorzkie to, co jest słodkie, i odwrotnie, wartości wyższe zastępuje niższymi, umniejszając ludzi reprezentujących znienawidzony porządek. Na tym bowiem polega resentment – na odwróceniu porządku wartości i zdegradowaniu wartości wyższych do poziomu niższych. Wymienić można wiele przykładów wartościowań zdeformowanych resentmentem. Za jego sprawą tchórzliwe płaszczenie się bywa odczytywane jako „pokora”, poddaństwo staje się „posłuszeństwem”, wa-

i otwartość na wartości, zaciemnia je i deformuje. Człowiek owładnięty resentmentem jest ślepy na pewne wartości, a nie widząc ich, odwraca hierarchię wartości i zaburza relacje między wartościami. Żyje w iluzji aksjologicznej.

Resentiment nie dotyczy tylko pojedynczych osób, nie oddziałuje jedynie na indywidualne życie, ale ma także wpływ na całe myślenie danych czasów, epok historycznych, kształtując ich wyobrażenia. Powoduje, mówiąc językiem Nietzschego, przewartościowanie wartości. Według Schelera w czasach nowożytnych resentment dał o sobie znać w postaci subiektywizacji i relatywizacji wartości w ogóle. Człowiek nowożytny, nie umiejąc odczytywać obiektywnego świata wartości i nie potrafiąc według niego żyć, mści się na samej idei wartości, odmawiając jej obiektywności i głosząc, że wszystkie wartości są subiektywne. Cóż można w takim razie powiedzieć o człowieku współczesnym? ■

Minister Antoni Macierewicz podczas prezentacji sprzętu PGZ dla Wojsk Obrony Terytorialnej w siedzibie PCO S.A.



Jerzy Mostowski

STRATEGICZNE ruchy zbrojeniówki



Polska zbrojeniówka ma za sobą udany rok, który przyniósł szereg podpisanych umów na dostawę sprzętu i uzbrojenia dla wojska. Powody do zadowolenia ma Huta Stalowa Wola, spółka z Grupy PGZ, która specjalizuje się w produkcji sprzętu artyleryjskiego. Właśnie do tej fabryki zostało skierowane największe zamówienie w historii przemysłu obronnego, warte ponad 4,5 mld złotych. Chodzi o cztery dywizjonowe moduły ogniowe o kryptonimie „Regina”. Ich trzon stanowią armatohaubice samobieżne „Krab”, czyli potężne działa, które znacząco zwiększą możliwości bojowe Wojska Polskiego. Zgodnie z umową armia otrzyma łącznie 96 armatohaubic „Krab” oraz odpowiednią ilość wozów wsparcia, łączności i zabezpieczenia technicznego. „Regina” to gwarancja rozwoju dla zakładu, a także bezpieczeństwo zatrudnienia załogi na najbliższe lata. To jednak nie wszystkie dobre wiadomości z artyleryjskiej fabryki. Również w ubiegłym roku Huta Stalowa Wola otrzymała warte ponad miliard złotych zamówienie na produkcję 8 modułów moździerzy samobieżnych „Rak” wraz z artyleryjskimi wozami dowodzenia. Zarówno moździerz „Rak”, jak i haubica „Krab” należą do najlepszych na świecie w swojej klasie. W 2016 roku została również podpisana umowa na dostawę dla Sił Zbrojnych RP przeciwlotniczego systemu rakietowo-artyleryjskiego bardzo bliskiego zasięgu „Pili-ca”. Dostawę zrealizuje konsorcjum, na czele którego stoi Polska Grupa Zbrojeniowa. Wartość tej umowy to blisko 750 mln złotych.

► Zbrojenie terytorialsów

W 2016 roku szereg umów podpisała też radomska Fabryka Broni „Łucznik”. Pierwszy rok funkcjonowania przemysłu obronnego pod nadzorem ministra Antoniego Macierewicza okazał się okresem rekordowym dla tego zakładu z Grupy PGZ. Ale na tym nie koniec, ponieważ radomska spółka prowadzi negocjacje w sprawie gigantycznego kontraktu na produkcję łącznie 58 tys. sztuk karabinków Beryl w dwóch wersjach. Szacowana wartość tego zamówienia jest oszałamiająca – to około 350 mln złotych. Zarząd Fabryki Broni ma powody do zadowolenia. W grę wchodzi największe zamówienie dla zakładu w ostatnim ćwierćwieczu, a także perspektywa zwiększenia zatrudnienia i uruchomienia nowej linii produkcyjnej. Negocjacje w sprawie kontraktu właśnie wkroczyły w końcową fazę. Znaczna część zakupionych karabinów ma trafić do żołnierzy nowo formowanych Wojsk Obrony Terytorialnej.

Zresztą kontrakty na zakup sprzętu i broni dla terytorialsów już ruszyły. Zgodnie z zapowiedziami Ministerstwa Obrony Narodowej, głównym dostawcą wyposażenia piątego rodzaju Sił Zbrojnych będzie Polska Grupa Zbrojeniowa. Jak informuje resort obrony, Wojska Obro-

Zarząd Polskiej Grupy Zbrojeniowej nie ustaje w przygotowaniach do realizacji wielkiego planu modernizacji wojska. W ubiegłym roku do spółek z Grupy PGZ skierowano szereg ważnych kontraktów, a przygotowanie innych ważnych programów – jak „Wisła”, „Narew” czy projekty morskie – właśnie nabiera rozpędu.

for MON

ny Terytorialnej już w 2018 roku mają liczyć 35 tys. wyszkolonych terytorialsów, zaś w 2019 roku liczebność tej formacji ma osiągnąć stan 53 tys. żołnierzy. W sumie żołnierze obrony terytorialnej stworzą 17 brygad – po jednej w każdym województwie, z wyjątkiem Mazowsza, gdzie powstaną dwie. W grę wchodzi więc umundurowanie, uzbrojenie i wyposażenie dla ponad 50 tys. żołnierzy. Skala kontraktów, które mogą zdobyć polskie zakłady zbrojeniowe, stwarza przed nimi perspektywy rozwoju i stabilizacji.

► „Jesteśmy gotowi do realizacji zadania”

Pierwszy kontrakt już został podpisany. Grudniowa umowa optoelektronicznej spółki z Grupy PGZ, czyli PCO, z Inspektorem Uzbrojenia MON dotyczy dostawy sprzętu optoelektronicznego wchodzącego w skład indywidualnego wyposażenia żołnierza. Nowoczesne urządzenia – m.in. przyrządy celownicze i obserwacyjne, lornetki, celowniki noktowizyjne i termowizyjne do broni strzeleckiej – w ciągu trzech lat trafią na wyposażenie Sił Zbrojnych RP.

Również w grudniu podpisano umowę na dostawę 1300 rakiet oraz 420 mechanizmów startowych, tworzących razem przenośny przeciwlotniczy zestaw raketowy „Piorun”. Wartość kontraktu to blisko miliard złotych. Zestawy „Piorun” dostarczy raketowa spółka Mesko ze Skarżyska-Kamiennej. „Pioruny” są przeznaczone do zwalczania dronów, śmigłowców, samolotów i rakiet skrzydlatych. To wygodny sprzęt. Może go obsługiwać pojedynczy żołnierz. Resort obrony deklarował w grudniu, że w PPZR „Piorun” będą wyposażone nie tylko regularne wojska operacyjne, ale też Wojska Obrony Terytorialnej.

– To jeden z większych kontraktów. Co więcej, takich, które będą realizowane już począwszy od 2017 roku. Ta broń zostanie dostarczona nowym jednostkom obrony terytorialnej kraju już w 2017 roku. To jest broń defensywna, to jest broń obronna. Wyposażamy nasze jednostki wojskowe przede wszystkim w broń, która ma chronić Polskę, a nie zagrażać i atakować kogokolwiek. To bardzo ważny element naszej myśli strategicznej. Polska jest krajem pokojowym, Polska nikomu nie zagraża, ale Polska będzie się zdecydowanie broniła i każdy agresor musi mieć świadomość, że napotka nie tylko jednostki operacyjne, ale także Wojska Obrony Terytorialnej kraju wyposażone w najnowocześniejsze obronne wyposażenie – podczas ceremonii podpisania umowy powiedział minister Antoni Macierewicz.

Kolejny kontrakt został podpisany już w lutym br. Otrzymała go specjalizująca się w produkcji odzieży ochronnej firma Maskpol, należąca do Polskiej Grupy Zbrojeniowej. I w tym przypadku wartość zamówienia jest imponująca. Do spółki trafi ponad ćwierć miliarda złotych. Za te pieniądze Maskpol wyprodukuje ponad



Podpisanie umowy o współpracy pomiędzy PGZ oraz włoską firmą Leonardo

77 tys. masek przeciwgazowych MP-6, 79 tys. kompletów odzieży ochronnej FOO-1 oraz 79 tys. sztuk narzutów ochronnych NO-1. To sprzęt, który zapewni żołnierzom ochronę przed szkodliwym działaniem bojowych środków trujących, a także skażeń biologicznych.

– Jesteśmy gotowi do realizacji zadania, jakie stawia przed nami Ministerstwo Obrony Narodowej – deklaruje Błażej Wojnicz, prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej. – Zakłady przemysłowe skupione pod szyldem PGZ mają kompetencje niezbędne do tego, żeby wyprodukować różnego rodzaju wyposażenie dla żołnierzy obrony terytorialnej: od mundurów przez broń strzelecką i sprzęt radiolokacyjny aż do bezzałogowych statków powietrznych. Proces formowania Wojsk Obrony Terytorialnej postrzegamy nie tylko jako misję, lecz także jako szansę biznesową, która umożliwi rozwój zakładów i wzbogaci portfele zamówień naszych spółek. Jestem usatysfakcjonowany i zaszczycony, że minister Antoni Macierewicz po raz kolejny obdarzył polski przemysł dużym zaufaniem – mówi szef PGZ.

► Zacieśnienie polsko-włoskich relacji

Wyposażenie terytorialsów to niejeden priorytet Polskiej Grupy Zbrojeniowej w 2017 roku. Równie ważne jest kontynuowanie przygotowań do najważniejszych programów modernizacyjnych polskiej armii, jak „Wi-



fot. Leonardo

ślą", „Narew", programy morskie czy śmigłowcowe. Właśnie w nawiązaniu do tych ostatnich Polska Grupa Zbrojeniowa w marcu br. podpisała umowę o współpracy z włoskim koncernem Leonardo. Porozumienie stanowi kontynuację listu intencyjnego w sprawie długoterminowego partnerstwa na rynku obronności i bezpieczeństwa podpisanego podczas targów MSPO w 2016 roku. Na podstawie umowy z marca PGZ i Leonardo określą obszary potencjalnej kooperacji przemysłowej i biznesowej w zakresie programów śmigłowcowych.

– Podpisana umowa oznacza zacieśnienie polsko-włoskich relacji. Otwiera ona przed polskim przemysłem obronnym perspektywę znaczącego transferu technologii oraz możliwość udziału w realizacji programów śmigłowcowych dla Sił Zbrojnych RP. Jestem przekonany, że to kolejny krok na drodze do wieloletniej, korzystnej dla obu stron współpracy – podpisanie umowy z Leonardo skomentował Błażej Wojnicz, szef Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Rozbudowa sieci porozumień strategicznych to kolejny z priorytetów Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Już w 2017 roku PGZ podpisała porozumienia z amerykańskim koncernem Northrop Grumman oraz międzynarodową korporacją MBDA, która oferuje swoje rozwiązania dla polskiej armii w ramach programu obrony przeciwpowietrznej bliskiego zasięgu „Narew”. Dużym echem odbiło się także podpisanie przez Polską Grupę



fot. Gryfia

Należąca do PGZ S.A. Morska Stocznia Remontowa Gryfia

Zbrojeniową porozumienia o współpracy z francuskim koncernem stoczniowym DCNS. Porozumienie związane jest ze strategicznymi planami Marynarki Wojennej RP w zakresie modernizacji technicznej floty, która obejmuje m.in. pozyskanie nowych okrętów podwodnych w ramach programu „Orka”, nowych okrętów wybrzeża w ramach programu „Miecznik”, a także nowych okrętów patrolowych z funkcją zwalczania min w ramach programu „Czapla”. Co istotne z punktu widzenia rozwoju stoczniowego segmentu polskiego przemysłu zbrojeniowego, w porozumieniu strona francuska podkreśliła wolę przekazania Polsce nowoczesnych technologii okrętowych, jeżeli MON zdecyduje się na zakup okrętów produkowanych przez DCNS w ramach programu „Zwalczanie zagrożeń na morzu”. Dokument przewiduje także włączenie szeregu spółek morskich z Grupy PGZ w produkcję nowoczesnych okrętów dla polskiej Marynarki Wojennej RP. Chodzi m.in. o Stocznie Remontową „Nauta” i Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej.

Polska Grupa Zbrojeniowa przygotowuje się do realizacji programów morskich także poprzez uruchomienie procesu konsolidacji przemysłu stoczniowego. W styczniu br. do Grupy PGZ dołączył Szczeciński Park Przemysłowy (dawna Stocznia Szczecińska), który za pośrednictwem funduszu MARS został kupiony za ponad 100 mln złotych. Powstała też spółka celowa PGZ Stocznia Wojenna, która jako jedyny podmiot złożyła ofertę w przetargu otwartym na zakup Stoczni Marynarki Wojennej w stanie upadłości. Oferta została przyjęta, a procedura związana z przejęciem strategicznego przedsiębiorstwa uruchomiona. Pierwszym zadaniem Stoczni Marynarki Wojennej po jej przejęciu przez PGZ będzie finalizacja projektu ORP „Ślązak”, a także przygotowanie infrastruktury przemysłowej do realizacji innych zadań związanych z modernizacją techniczną Marynarki Wojennej RP. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję przy współpracy z PGZ S.A.

Żydowski rodzice oddali ją pod opiekę babci, w której domu mówiło się po rosyjsku. Mimo to wybrała polską kulturę i po polsku pisała swoje wiersze oraz utwory satyryczne. Jako nastolatka przyjaźniła się ze Skamandrytami, a cały tom wierszy poświęcił jej Józef Łobodowski. Zginęła z rąk Niemców, rozstrzelana na dziedzińcu krakowskiego więzienia przy Montelupich.



Piotr Lisiewicz

Zuzanna w kąpieli

Gdyby przeżyła wojnę i dożyła obecnych czasów, miałyby dziś 100 lat. Z okazji owej setnej rocznicy urodzin odbyły się już uroczystości, a poetkę wspominano, głównie przypominając jej tragiczną śmierć.

► „Są granice nawet diablej cierpliwości”

A mi jak na złość w twórczości Ginczanki najbardziej podoba się wszystko to, co wesołe. W powstałym w 1935 r. warszawskim tygodniku satyrycznym „Szpilki” była ona jedyną damą (dodajmy: 18-letnią) w męskim towarzystwie. Nad takim jej wyborem ubolewała poetka Lola Szereżewska:

*Ginczanka, dziewczę hoże, wołyński motylek,
zamiast salon mód zwiedzać – nawiedza redakcję,
a gdyby się zajęła własnym sexappelem
dawno by poszły w górę jej małżeńskie akcje.*

O sprawach damsko-męskich pisała w swych fraszkach Ginczanka wiele i czasem bardzo złośliwie, jak w wierszyku „Do zazdrosnej”:

*Gniewniejszym byś patrzyła okiem,
Gdybyś i jeszcze to wiedziała,
Że nie uwiodłam tobie męża
Lecz gorzej: wcale go nie chciałam.*

Inna z fraszek skierowana była „Do pana, który zwykł mnie pytać: »Z kim pani flirtuje?«”. Odpowiedź łamała zasady owego flirtu:

*Gdyby mnie częściej pan widywał,
To wszystko widziałby pan jaśniej,
I może wreszcie by pan spostrzegł,
Że z nikim innym – z panem właśnie.*

Ale i wobec własnego zachowania w stosunku do mężczyzny poetka była mocno krytyczna, jak we fraszce „Medytacje”:

*Pegaz dziś się na mnie dąsa
i beze mnie zwał w zaświaty,
jestem sama i roztrząsam
świata tego problematy –
uwikłałam się w opłoty
scholastycznych wątpliwości:
czy miłuję cię z głupoty,
czy głupieję od miłości?*

Prawdziwy satyryczny kunszt młodej Ginczanki można było poznać w utworach dłuższych. Jeden z nich poświęcony był tym, którzy zwykli rozbierać utwory literackie na czynniki pierwsze. Zatytułowany był on „Ballada o krytykach poezje wertujących”. Ginczanka tak opisuje ich zebranie:

*Przyszłi krytyk i rzekł: „Podejrzan –
za tym rymem, proszę panów, za tym rymem
coś wyraźnie zalatuje Leśmianem,
a ponadto, powiedziałbym, Tuwimem”.*

Tej analizy wiersza dokonywanej przez fachowców nie dało się długo znieść, więc w końcu:

*Słyszac wszystkie te i inne rewelacje,
gniewny diabeł wysiadł z trzaskiem z swej karocy
– takie właśnie, a nie inne dekoracje
przewiduje ta ballada o północy –*

*i dosypał do kieliszków szczyptę cjanu,
jadowicie mędrkującą brać ugościł –
nic dziwnego w tym nie widzę, proszę panów,
są granice nawet diablej cierpliwości.*

Jaki był skutek użycia owej śmiertelnej trucizny? Taki, że nawet diabeł w najgorszych swych przypuszczeniach nie był go w stanie przewidzieć:

*I męczyli się krytycy ciemną nocą,
a męczyli się z powyższych oto przyczyn:
nie wiedzieli, co ze śmiercią swoją począć
i do rzędu jakich śmierci ją zaliczyć –*

*aż pomarli, odetchnawszy nieco raźniej,
gdy nad rankiem ktoś bystrzejszy z nich wyszeptał:*

*„Nasza śmierć jest zerżnięta naj-wy-raż-niej
z motywów
Bertolta
Brechta”.*

► Aniołek ze sklepowej wystawy

„Zuzanna, kiedy była uczennicą w Równem, przed każdymi świętami Bożego Narodzenia ozdabiała wystawę sklepu swojej babki jako anioł. Klęczała w białej sukience ze skrzydłami, srebrną przepaską na czole, a może złotą i w białych pantofelkach (...) Klęczała nieraz bardzo długo” – wspominał dzieciństwo Ginczanki Kazimierz Brandys.

Zuzanna Ginczanka, a właściwie Zuzanna Polina Gincburg urodziła się 9 marca 1917 r. w Kijowie w rodzinie zasymilowanych rosyjskich Żydów. Rodzice wyjechali do Polski niedługo po wybuchu rewolucji październikowej i zamieszkali w Równem na Wołyniu. Tam też osiedlili się dziadkowie Ginczanki. Jej babcia, Klara Sandberg, prowadziła tam ekskluzywny skład apteczny.

Zuzanna wychowywała się u dziadków, w niewielkim pokoiku mieszczącym się tuż nad owym sklepem. Nie miała łatwego dzieciństwa. Jak pisze Izolda Kiec, autorka biograficznej książki „Zuzanna Ginczanka. Życie i twórczość”, z której czerpie informacje biograficzne do niniejszego tekstu, jej ojciec Szymon Gincburg, reżyser teatralny i aktor przybyły na Kresy z zachodnich ziem Polski, opuścił wkrótce rodzinę.

„W poszukiwaniu pracy, z nadzieją na szansę kariery artystycznej emigruje do Niemiec, stamtąd do Anglii, aż w końcu osiada w Stanach Zjednoczonych, gdzie – posługując się pseudonimem Senia Gardeni – statystuje w hollywoodzkich produkcjach. Niekiedy pisze do córki, przysyła swe zdjęcia filmowe i afisze. Po wybuchu II wojny światowej ślad po nim ginie” – pisze Izolda Kiec.

Tuż po wyjeździe ojca jej matka Cecylia Gincburg ponownie wychodzi za mąż. „Choć Sanka przywiązana jest do swego ojczyzna, młodego Czecha, chemika-piwowara, Walthera Rotha, nie chce zamieszkać z nową rodziną matki. Kocha stary dom Sandbergów, babcię Klarę, sparaliżowanego dziadka, który od wielu miesięcy nie opuszcza pokoju, ciotkę Annę Nogid i jej córkę, Lidkę, kilka lat młodszą towarzyszkę zabaw” – pisze Izolda Kiec.

Matka ze swym nowym mężem wyjeżdżają do Hiszpanii, gdzie osiedlają się w Pampelunie. Tylko raz odwiedzą później Równe. I więcej razy Zuzanna matki nie zobaczy.

► „Literaturny razgawor”, piersi i biodra

Poeta Józef Łobodowski, w młodości zakochany w Zuzannie, wspominać będzie atmosferę w jej domu: „Od czasu do czasu z dołu dolatywał niezadowolony głos babci, która Zuzannę wychowywała. Nie знаła dostatecznie dobrze języka polskiego i rozmawiała z wnuczką głównie po rosyjsku. »Sanoczka, kto u ciebie?«, albo »Sanoczka, czy ty tak długo rozmawiasz z etim żołdatom?«. »Babuszka – odpowiadała zazwyczaj Zuzanna – my więdniom literaturny razgawor«.”

Ponad pół wieku później Łobodowski napisze w poświęconym jej wierszu „Zuzanna w kąpeli”:

*Czy wdziałicie, jak woda w rzeczonym nurcie
kwita?
Patrzyłem: ramion narcyzy, piersi – lilie i różę...
Biodra, poczęte w brzasku wczesnych świtań,
i oczy pożyczone od najpiękniejszych wrózek.
Usta, które nie chciały zadawać zadnych pytań,
by chwili oczekiwania nie przedłużyć,
aż się jej kwietny ogród [...]*

„Literaturny razgawor” mógł nie być wykretem, bo Ginczanka zaczęła pisać wiersze już w wieku 10 lat. Izaak Paweł Gasko, jej kolega z czasów gimnazjum wspominał: „Jestem zupełnie pewien tego, że Sanka wybrała dla siebie polską poezję bez żadnego wpływu matki czy babki. Jakoś mi trudno wyodrębnić, gdzie się kończyło umiłowanie polskiej literatury, poezji w szczególności, a gdzie zaczęło się ujawniać poczucie przynależności narodowej”.

Zuzanna sama postanowiła uczyć się języka polskiego. Z czterech działających w Równem gimnazjów nie wybiera ani rosyjskiego, ani żydowskiego, ani ukraińskiego, lecz polskie. A w Gimnazjum Pań-

stwowym im. Tadeusza Kościuszki panowały bardzo patriotyczne nastroje, krzewione także przez nauczycieli. Żoną dyrektora była pisarka Ewa Szelburg-Zarembina, znana z książek dla dzieci.

Nauczyciele organizowali przedstawienia teatralne, dzięki którym młodzież mogła poznawać polską literaturę. Odbywały się one w Pałacu Lubomirskich. Wystawiono tam „Zemstę” Aleksandra Fredry.

W gimnazjum ukazywało się też pismo „Echa Szkolne”, którego redaktorem naczelnym był Czesław Janczarski, później również znany ze swojej twórczości dla dzieci. To na jego łamach wierszem „Uczta wakacyjna” zadebiutowała uczennica klasy Vb Zuzanna Gincburżanka. Napisała ona także satyryczne piosenki na studniówkę, w których nietrudno zauważyć niezwykle talent uczennicy. Z gwiazdorstwa szkolnej koleżanki Zuzanna żartowała tak:

*Marlena Dietrich przy mnie to jest pies
Blask Greta Garbo całkiem szczel
Gdy stanę w świetle filmowych ramp
To będę pierwszy wamp!*

► „Zaimki to malutkie pokoiczki”

Po ukończeniu gimnazjum Zuzanna przeniosła się do Warszawy, gdzie rozpoczęła studia pedagogiczne. Choć osobiście do wychowania nastawiona była dość krytycznie, o czym pisała w wierszu „Drzwi”:

*Deski polerowali –
na białło malowali –
wkręcili na zawiasy –
na zamki zamykali –
zamknęli w całym domu –
wwięzili kroki w jasyr –
oddali klucze komuś –
a potem poszli,
usiedli i radzili,
kiwali głowy smętnie,
mówili długo, mętnie –
że trzeba, że należy,
że ktoś ma komuś wierzyć,
że trzeba kupić deski,
na białło pomalować –
a wkręcić na zawiasy –
a zrobić tych drzwi więcej:
tysiące stutysięcy.*

W Warszawie dostrzegł ją Julian Tuwim, do którego będzie zresztą później porównywana. Wzięła bowiem udział w konkursie poetyckim ogłoszonym w 1934 r. przez „Wiadomości Literackie” i zdobyła w nim wyróżnienie za wiersz „Gramatyka”:

*Przymiotniki przeciągają się jak koty
i jak koty są stworzone do pieszczot (...)
Zaś przysłówki to nagły cud
niespodzianka potartych krzesiw –
było coś niewiadomo jak –
a już teraz jest wskos i wpoprzek
i oburącz oplata myśl i jest pewnie rzewnie i dobrze.
A zaimki to malutkie pokoiczki,
gdzie na oknach rosną małe doniczki.
Każdy kącik – to pamiątka po dawniej
a są tylko dla Ciebie i dla mnie.*

Wiosną 1935 r. rozpoczęła współpracę z „Wiadomościami Literackimi”. Sensacją towarzyszą był fakt, że Ginczanka cieszyła się tak wielkim uznaniem Skamandrytów, że jako 18-latką bywała przy ich stoliku w Ziemiańskiej, u boku Tuwima, Lechonia czy Wierzyńskiego. Przyjaźniła się też z Witoldem Gombrowiczem.

Jej wczesne wiersze odbierane są jako bardzo odważne jak na ówczesną nasto- czy dwudziestokilkulatkę. Do takich należy wiersz „Dziewiectwo”:

*My...
Chaos leszczyn rozchełstanych po deszczu
pachnie tłustych orzechów miazgą,
krowy rodzą w parnym powietrzu
po oborach płonących jak gwiazdy. –
O porzeczeki i zboża żrale
soczystości wzbierająca w wylew;
o wilczyce karmiące małe,
oczy wilczyce słodkie jak lilie!
Ścieka żywic miodna pasieczność,
wymię kozie ciąży jak dynia –
płynie białe mleko jak wieczność
w macierzyńskiej piersi świątyniach.*

*A my...
...w hermetycznych
jak stalowy termos
sześciannikach tapet brzoskwiniowych
uwikłane po szyję w sukienki
prowadzimy
kulturalne
rozmowy.*

Jak pisze Izolda Kiec, wiersze te były nie tylko odważne lecz, „jednocześnie – zważywszy na młody wiek autorki – bardzo dojrzałe”. Jak stwierdza „biologizm Ginczanki zatem nie oznacza determinizmu, lecz jest jednym z elementów i sposobów poznania świata, przede wszystkim zaś stanowi wyraz sprzeciwu poetki wobec konwencji obowiązujących w sferze obyczajów, zwłaszcza obyczajowości mieszczańskiej, skrywającej prawdziwy wymiar rzeczywistości”.

O języku tych wierszy Izolda Kiec pisze: „Nie zna Ginczanka spokojnych, »szeleszczących« dźwięków, wszystko tu zgrzyta, świszczy oraz grzmi. I także wśród barw nie ma pasteli, jest ostra czerwień i soczysta zielen”. Tak jest w wierszu „Nature morte. Pomidor”:

*Grubą krechę konturu mówi się: krągławy –
potem trzeba linię
wysubtelnić
w elipsę;
krótkie, ostre spółgłoski
w kreski
się rozparowały
przyszłych cieni łagodnych niespokojnym zarysem.
Oto będzie pomidor:
czerwony i tłusty,
oleistą farbą musi ocieć szczerdże;
ty masz wyczuć
miąższ,
owoc miazgomózgi,
w farby gęstej i lepkiej
rozżarzoną cynobrzę.*

W jej wierszach obok namietności ludzkich pojawiają się... kocie:

*Pomyśl przez chwilę: księżyc w górze
jak zaczajony ostry pocisk
i kadry, pulki, roty kotów
idące na zastępy kocic.
I stare, łyse koty – znawcy
ustnej tradycji kocich zdarzeń
i koci wielki hymn Marcowy
i Marsze szlakiem kominiarzy!*

► „Drżące zmysły pędzą po czerwcu”

Od początku swojej twórczości Ginczanka odwołuje się do mitów obecnych w starych kulturach. Do mitologii Dalekiego Wschodu nawiązuje jej wczesny cykl chińskich bajek o La-licie. La-lita to gejsza ulepiona z gliny, która zostaje ożywiona przez zakochanego mężczyznę. Pojawiają się też mity starogermańskie, a także odwołania do Starego Testamentu.

W 1936 r. wydała swój jedyny tomik poezji zatytułowany „O centaurach”. W tytułowym wierszu napisał swoje *credo*, mówiące o harmonii pomiędzy mądrością a namietnością:

*Wyznaę dostojną harmonję męskiego torsu i głowy
z rozrosłem ciałem ogiera i cienką pęcina nogi –
– do żeńskich chłodnych policzków
i kłębow okągłych kobył
galopują wspaniale centaury
w dzwonie podków z łąk mitologii.*

*Ich namiętność skupioną i mądrą
i ich mądrość płomienną jak rozkosz
odnalazłam w dostojnej harmonji
i stopiłam w pasie i sercu.
Popatrz:
namysł
o twarzy antycznej
zgrzanym koniom zawierzył swą boskość,
jak spętane rumaki po jaskrach
driżące zmysły pędzą po czerwcu.*

Od tegoż roku współpracowała ze wspomnianym tygodnikiem satyrycznym „Szpilki”, gdzie furorę robić zaczęły jej żarty z cenzorów i krytyków. Parodia romantycznej konwencji pojawi się w jej wierszu „Niedziela”:

*czeakał damy z ballady smętnej
romantycznie pobladły księżyc,
a choć spotkał w maju namiętym
ziemię Kaszę o piersiach prężnych,
miłość zaklął w cekiny serenady:
„że cios w serce jest gorszy od zagłady,
i że kwiaty pachną, kwiaty magnolii,
że jest smutny, o donna, że jest błądy,
że to dusza, o donna, że to boli,
i że noś jest platoniczna i wonna,
o donna –”
(...)*

*I powieścił się księżyc bladolicy
na złamanym dyszlu niedźwiedzicy
z mlecznej drogi, świecącej próchnem –
i dlatego w każdą niedzielę
trupo srebrny, zagwiezdny wisielec
coraz niżej zwisa z nieba i puchnie.*

► „Ja jestem Murzyn”

O jej urodzie pisano wiersze, ale jednocześnie była ona typowo semicka, co rzucało się w oczy. „Ja jestem jak Murzyn” – mówiła o tym. Nazywana była „żydowską gazetą” oraz „Gwiazdą Syjonu”. Tadeusz Wittlin pisał o niej: „Ileokroć na nią patrzę, niemal zawsze myślę, że Wyspiański oczami wyobraźni widział w niej ideał Racheli dla swego Wesela, mimo że było to sporo lat zanim Ginczanka się urodziła.

Wraz z narastaniem politycznych podziałów w latach 30. jej żydowskość przestawała być tylko przedmiotem anegdot, ale stawała się elementem polityki, w tym antyżydowskich uszczypliwości. Odpowiadała na nie w satyrycznych utworach”.

W twórczości Ginczanki w kilku co najmniej miejscach dostrzegamy zapowiedź tego, co miało stać się z Polską. O tym, że coś niecodziennego musi nieba-

wem nadejść, mówi wiersz „Maj 1939” opublikowany w „Wiadomościach Literackich”, będący polemiką z Antonim Słonimskim:

*Raz wzbiera we mnie nadzieja,
raz jestem niespokojna.
Zbyt wiele rzeczy się dzieje –
coś przyjdzie: miłość lub wojna.*

*Są znaki, że przyjdzie wojna:
kometa, orędzia, mowy.
Są znaki, że przyjdzie miłość:
serce, zawroty głowy.*

Witold Gombrowicz w liście do Stanisława Pięta-ka wspominał później: „Przypomniało mi się, jak kiedyś na Mazowieckiej wracając do domu z »Zodiaku« tłumaczyłem Ginie, że na tę zbliżającą się wojnę trzeba koniecznie zaopatrzyć się w truciznę. A ona się śmiała”. Ale w ostatnich przedwojennych tekstach zaczęła być bliska katastrofizmowi Czechowicza czy Żagarystów.

► Bitwa o urodzaj

W czerwcu 1939 r. Ginczanka zdała na uczelni ostatni egzamin sesji letniej i wyjechała na wakacje do babci. Nie wiedziała, że do Warszawy już nie wróci.

1 września 1939 r. zastał Ginczankę w Równem. Jak wspominała cytowana przez Izoldę Kiec jej szkolna przyjaciółka: „Okupanci sowieccy energicznie zabrali się do »rozkułaczania« burżuazji... Taki los spotkał »skład apteczny« Sandbergów. Jednocześnie ich mieszkanie zarekwirowano dla ruskich notabli, usuwając właścicieli do jednego, najgorszego pokoju. W tej sytuacji Sanka postanowiła wyjechać do Lwowa – w Równem wszyscy znali ją (i jej pochodzenie), w dużym mieście łatwiej zmieszać się z tłumem i odgrywać rolę »szarej« urzędniczki”.

We Lwowie znalazła pracę jako pomocnik buchaltera w Biurze Uzdrawiskowym. Wyszła tam za mąż za 17 lat starszego Michała Wienziehera, krytyka sztuki. Musiało to być dziwne małżeństwo, skoro jednocześnie faktycznie związana była z grafikiem Januszem Woźniakowskim.

Tymczasem sowieckie władze organizują własne życie kulturalne. Wielu pisarzy o bardziej znanych nazwiskach, jawnie kolaboruje z sowieckim okupantem. Jak było z Ginczanką? Wiadomo, że miała ona w tym czasie kontakty ze środowiskiem literackim – Watem, Broniewskim czy Ważykiem.

Tłumaczyła też z rosyjskiego zalecane przez władze poezje, w tym także – trudno wyobrazić sobie

bardziej koszmarny pomysł – wiersz o Dzierżyńskim. 19 września 1940 r. Ginczanka została przyjęta do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy. Publikuje dwa wiersze o socrealistycznym charakterze. Píše w jednym z nich:

*W bitwie o urodzaj
Latom, które nadejdą, niechaj pieśń opowie,
jak wstawał na tych polach w roślinnej zieleni
szorstki, chropowaty patos i dni tworzył nowe.*

Jednak jak stwierdza Izolda Kiec: „Na agitacji poetka wszakże poprzestaje. W tym miejscu kończy się jej uzależnienie od obowiązujących wzorców socjalistycznego tworzenia. Nie sięgnęła Ginczanka do – jakże często obecnych w dokonaniach jej kolegów – form panegiryku, obmowy, denuncjacji”.

Zauważa też, że „nie widnieje jednak podpis Ginczanki pod żadną z publikowanych w »Czerwonym Sztandarze« odezw pisarzy polskich i ukraińskich”

► „Donosicielko chyża, matko folksdojczera”

Po zajęciu Lwowa przez hitlerowskie Niemcy w czerwcu 1941 r. Ginczanka ukrywała się w tym mieście do 1943 r. W końcu doniosła na nią właścicielka kolejnego mieszkania. Z relacji wynika, że po poetkę trzykrotnie przychodziły patrole. Dwa razy zdołała się ukryć, za trzecim w ostatniej chwili wyprowadził ją z mieszkania kelner. O tej, która ją zadenuncjowała, zdąży napisać w wierszu:

*Non omnis moriar – moje dumne włosy,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
Donosicielko chyża, matko folksdojczera.
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.*

Uciekła do Krakowa, gdzie ukrywała się wraz z mężem. Przez rok nie wychodziła z domu. Jesienią 1944 r. znowu ktoś na nią doniósł. Została aresztowana przez Gestapo.

Nie trafiła do Auschwitz, tylko do krakowskiego więzienia przy Montelupich. Krystyna Garlicka, siostra poety Tadeusza Brezy pisała: „Zuzanna bardzo bała się bicia, ale obrała metodę, że najwięcej zależy jej na włosach. Rzeczywiście miała piękne, długie, czarne. Na śledztwie ciągle je poprawiała. Gestapo to zauważyło i z całym okrucieństwem zaczęli je szarpać, wyrywać. Ciągnęli ją po ziemi za

włosy. Krzyczała okropnie, ale wytrzymała i w ogóle nie przyznała się, że jest Żydówką. Niestety koleżanka, nie pamiętam jej nazwiska, załamała się. Może zabrakło jej odwagi i siły woli, którą miała Zuzanna. Przyznała się. Był to koniec badań. Wydała wyrok na obie”.

Zuzanna Ginczanka rozstrzelana została na kilka tygodni przed wkroczeniem do Krakowa Armii Czerwonej.

W PRL twórczość Ginczanki nie zyskała uznania władz, ze względu na jej burżuazyjnych przyjaciół, jak również treść i styl jej utworów – jak najdalszy od socrealistycznego. Do 1953 r. jej utworów nie wydawano. Wówczas ukazał się tomik zredagowany przez Jana Śpiewaka, który – co opisuje Izolda Kiec – mocno... poprzerał jej utwory. W posłowie do tomiku pochwalił zaś Ginczankę za to, że w swojej twórczości w okresie lwowskim, czyli pod sowieckim butem, wreszcie dojrzała...

► „Dzikie zwierzęta rozszarpały Orfeusza”

„Czy rosną jakieś kwiaty na bezimiennym grobie Zuzanny, rozstrzelanej tylko dlatego, że należała do rasy hebrajskiej? Nie uczyniono dla niej, dla jej młodości, urody i poezji żadnego wyjątku. Niekiedy zastanawiam się, o czym mógł myśleć, jeżeli w ogóle myśleć był w stanie, ów germański knecht, gdy wpakował kilka kul z rozpylacza w piękne ciało Zuzanny? Czy była dla niego tylko Żydówką, którą z racji jej pochodzenia należało zlikwidować, czy żywym człowiekiem, którego jedyną winą była rasa, skazana na zgubę? Czy jej morderca żyje jeszcze i czy zdaje sobie sprawę z tego, co uczynił?” – pisał o śmierci Ginczanki żyjący na wygnaniu w Hiszpanii poeta Józef Łobodowski.

W 1987 r. poświęcił on jej cały tom wierszy zatytułowany „Pamięci Sulamity”. W cytowanym wierszu „Zuzanna w kąpieli” napisał:

*Ta rzeka przeminęła i nigdy nie powróci,
Te obłoki już dawno spłonęły na popiół,
Ale jej głos wciąż słyszę w na niezmienionej nucie,
Jej wzrok w pożarze się nie stopił*

Żaś w utworze „Wiosna wojenna” dodał:

*Ziemia potoczyła się ku najdalszym sferom,
Luna stanęła na spokojnych głuszach,
Ukrył się w drzewnej dziupli przełęczniony Eros,
Gdy dzikie zwierzęta rozszarpały Orfeusza*

9 marca 2017 r. na ścianie kamienicy przy ul. Mikołajskiej 26 w Krakowie, gdzie poetka ukrywała się w czasie wojny, odsłonięta została tablica pamiątkowa. ■

Magdalena Złotnicka



Ptaki, których już nie ma



**Niedawno zmarły
kompozytor
i tekściarz Wojciech
Młynarski jechał
kiedyś nocnym
pociągiem
na koncert.
W przedziale wraz
z nim siedziała
starsza pani,
która zapytała go,
czy zna Edwarda
Dziewońskiego,
czyli Dudka. Kiedy
przyszedł pożyczyć
od niej żelazko.
– I co? Nie oddał?
– zapytał Młynarski.
Kobieta odparła,
że oddał, ale całe
upaprane.
– Wątróbkę na nim
smażył! – wyjaśniła
z irytacją.**

Powyższą sytuację wspominał sam Młynarski w książce Piotra i Romana Dziewońskich, „Dożyłnie o Dudku”, stanowiącej zbiór opowieści o... Właśnie. O kim? Edward Dziewoński kojarzony jest głównie z Kabaretem Dudek, jednak stwierdzenie, że są to wspomnienia o kabareciarzu, byłoby grubym przekłamaniem. Dziewoński – aktor, reżyser, dyrektor Teatru Kwadrat, przedstawiciel nieistniejącego już dziś świata, enklawy klasy dwudziestolecia międzywojennego, która ostała się w Polsce Ludowej. Dziewoński – twórca rozmaitych neologizmów, które weszły do polskiego języka mówionego i do dziś funkcjonują w pewnych środowiskach. Dziewoński – mentor i przyjaciel niezliczonych artystów. Wreszcie Dziewoński – człowiek-legenda, o którym funkcjonują liczne prawdziwe i nieprawdziwe anegdoty. O Dudku, jak go nazywano, chyba najtrafniej jest mówić jako o jednym z symboli i punktów orientacyjnych epoki.

► Krokodyl w wannie

Urodził się rok przed rozpoczęciem dwudziestolecia międzywojennego – 16 grudnia 1916 r., w Moskwie. Jego ojciec Janusz Dziewoński był przedwojennym aktorem, zaś dziadek, Romuald Wasilewski, dyrektorem Opery Moskiewskiej. Kiedy po 123 latach zaborów Polska odzyskała niepodległość, Dziewońscy przenieśli się do Warszawy.

Edward już w dzieciństwie wykazywał się niebywałą fantazją. „Nie umiem wyjaśnić, co było powodem, jaka potrzeba kazała mi w dzieciństwie opowiadać, a trwało to dość długo, chyba między szóstym i ósmym rokiem życia, że mam w wannie krokodyla” – pisał w swojej autobiografii, zatytułowanej „W życiu jak w teatrze”. Zaznaczał przy tym, że w jego dziecięcym mniemaniu nie było to kłamstwo: on w istnienie krokodyla święcie wierzył, a kiedy ktoś zarzucał mu, że zwyczajnie łże, bardzo się złościł. „Historia ta jakoś się potem rozmydliła i dopiero wiele, wiele lat później rozmaici ludzie, przypominając mi to, mówili, z jaką pasją opisywałem moje życie z krokodylem – chyba łagodnym, gdyż w swej wannie wcale nie rozrabiał. Nie wiem, skąd mi się to wzięło. Przyjaciele Mowgliego z »Księgi dżungli«, Bagheery, Baloo i Kaa, byli oczywiście i moimi przyjaciółmi, ale krokodyli nie lubiłem i, prawdę mówiąc, nie miałem do nich żadnego stosunku” – pisał.

Fantazja czy też może pomysłowość to były cechy, które odznaczały Dziewońskiego także w późniejszym życiu. Postanowił studiować aktorstwo, trafił na Wydział Aktorski w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Niezycząca już Danuta Szaflarska, która studiowała wraz z nim, w książce Dudkowych syna i wnuka wspomina, że już w czasach studenckich Edward odznaczał się właśnie tym, że był niezwykle aktywny i pomysłowy. Jeśli zachodziła potrzeba, na zajęciach od ręki

wymyślał temat i sposób realizacji scenki czy przedstawienia. Dodaje także, że szybko stał się częścią towarzyskiej paczki, która grupowała nieprzeciętne osobowości. „Mieliśmy taki małeńki bufet, gdzie taka Bombalina, Marysia nasza cudowna, robiła nam herbatę. Jak ktoś był głodny, a bywaliśmy często, przynosiła z domu zupy. Tam właśnie zbieraliśmy się: Sasza Bardini – zawsze, Dudek, Erwin Axer, Kazio Rudzki, ci dowcipni, wybrani w drodze, że tak powiem, naturalniej selekcji. I była nieustająca zabawa. Dowcipy, żarty, kalambury” – opowiadała.

► Bicie staruszek i „inne czynności niebył przyjemne”

Życie Dziewońskiego – podobnie jak całego pokolenia – krwawym pasmem przecięła II wojna światowa. Inka Holtorp, wieloletnia przyjaciółka Dudka, wspominała w „Dożylnie...”, że w czasach okupacji był oficjalnie zatrudniony w charakterze tłumacza w tartaku jej męża w Falenicy, ponieważ świetnie znał język niemiecki.

randotem zaproponowali mu, by zamieszkał z nimi i dwójką innych osób w jednym pokoju, po prostu się zgodził. Potrafił również żartować z ciężkich warunków mieszkaniowych – m.in. z kolejki do mycia. „Wiadomo było, że zaliczył PIST, ale zakończyć edukacji przed wojną nie zdążył. Dyplom, czy jak to się nazywało, zdał w Łodzi przed [Aleksandrem] Zelwerowiczem, [Dobiesławem] Damińskim, [Marianem] Wyrzykowskim, [Janem] Kreczmarem i kimś tam jeszcze. Był na początku najmłodszym w zespole Syreny, ale nawet starszym kolegom dawał uwagi reżyserskie” – wspominała.

Dziewoński przeniósł się z Łodzi do Warszawy, jednocześnie rozwijała się jego kariera. Występował w teatrach, filmach i m.in. na deskach kabaretu Wagabunda. Jak wspomina w książce o Dudku aktor Wiesław Michnikowski. Dziewoński pojawił się dopiero w drugim programie kabaretu. Premiera miała miejsce w Zakopanem w 1957 r. Warto przy tej okazji zastanowić się, jak kabarety funkcjonowały wówczas w relacjach z władzą. Przecież satyra bardzo często ma ostrze polityczne, a chociaż po śmierci Józefa Stalina nastały czasy

RÓWNOLEGLE Z ROZWOJEM KARIERY ZAWODOWEJ DUDKA ROZKWIITAŁO JEGO ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE. WSZYSCY, KTÓRZY SIĘ Z NIM ZETKNELI, PRZYZNAJĄ, ŻE BYŁ KOBIECIARZEM.

Znajomość języka przydała mu się także na scenie. Jak podaje Jan Bończa-Szabłowski na łamach „Rzeczpospolitej” z 17 sierpnia 2012 r., pierwsze kroki aktorskie Dudek stawiał w Łodzi, grając właśnie Niemców – w „Zakazanych piosenkach” oraz w „Ostatnim etapie” Wandy Jakubowskiej. O graniu w „Zakazanych...” opowiadał zresztą w wywiadzie z 1955 r., udzielonym miesięcznikowi „Film”. Informował, że grał w drugiej wersji filmu, nakręconej w 1948 r. – „Mundur miałem ten sam co w Oświęcimiu plus jeden pasek na kołnierzu i minus oznaka lekarska. Robiłem rewizję, biłem staruszki i wykonywałem inne czynności niebył przyjemne” – tak charakteryzował swoją rolę Dudek.

W łódzkim okresie Dziewoński był związany z Teatrem Syrena. Już wówczas dały się zauważyć typowo „dudkowe” cechy jego osobowości. Wszyscy, którzy mieli z nim kontakt, podkreślają na przykład, że nie miał w zwyczaju łać wody, mówić rzeczy niepotrzebnych czy bezsensownie się krygować. Stefania Grodzieńska w książce Dziewońskich opowiadała, że kiedy Dudek pojawił się w Łodzi i okazało się, że nie ma gdzie mieszkać, a ona wraz z mężem Jerzym Ju-

odwilży, to jednak nie wszystko przecież mogło ująć płazem. Zarazem jednak dygnitarze Polski Ludowej starali się bywać na premierach. Michnikowski wspomina, że na jednej z premier Wagabundy pojawił się m.in. sam premier Cyrankiewicz. „Zrobiliśmy w każdym razie, co do nas należało [na scenie – przyp. M.Z.], ale potem okazało się, że jesteśmy zaproszeni do rządówki. Do tej słynnej willi. Zawieźli nas samochodami. Już tam był Cyrankiewicz, ten cały zas... przepraszam, Kliszko. Przyjęcie, willa imponująca, wyposażenie, jedzenie! W tamtych czasach normalny człowiek czegoś takiego nie widział! Pan premier sięga do kredensu, wyjmując koniak i mówi: »Przepraszam, że radziecki!...«. Początkowo nikt nie wiedział, jak reagować. Potem, przyznam, wszyscy sobie trochę popili. A tu w pewnym momencie z sąsiedniego pokoju wypada Dudek i serwuje tym swoim głosikiem: »Premieruchna« – w dupę zalany!” – wspomina.

Nie oznacza to jednak, że w Wagabundzie brakowało ostrzejszych numerów. Michnikowski opowiadał bowiem także, że bardzo często odgrywali dwuznaczne polityczne scenki. Wspomina numer, w którym na

środku sceny ustawiony był przysłonięty pisuar. Akto-ry, czyli Michnikowski i Dziewoński, stali częściowo za przysłoną, niby to sikając. W pewnej chwili jeden z nich mówi do drugiego: „Pan pryska”. Na co tamten odpowiada: „Nie, ja wracam do kraju”. Dodajmy, że scenka nazywała się „Nasi za granicą”.

Michnikowski opowiada także o sytuacjach, w których Dudek demonstrował typowe dla siebie poczucie humoru: kiedyś na przykład podeszła do niego młoda dziewczyna i poprosiła o autograf. Zapytał o imię, a kiedy dowiedział się, że „Halinka”, napisał: „Małej Halince, z nadzieją, że mi zrobi jaja na szynce”.

► „Dzidzius” u Munka

Granie w kabarecie Dziewoński łączył z występowa-niem w filmach i teatrach. Nie można nie wspomnieć o jego roli w „Eroice” Munka. W utworze poruszany jest temat Powstania Warszawskiego. „Chodziło nam o pokazanie, jak ogólna atmosfera bohaterszczyzny wpływa nawet na jednostki, które nie mają owej »kultury bohaterskiej« i czyni z nich bohaterów. Dzidzius dokonuje czynów wymagających dużej odwagi, mimo swojego »racjonalizmu« jest bohaterem. A końcowe przyłączenie się do powstania – to katharsis, czynnik oczyszczający” – mówił sam reżyser Stanisławowi Janickiemu (wywiad zamieszczono w książce „Polscy twórcy filmowi o sobie”).

Film składa się z dwóch 40-minutowych nowel – „Scherzo alla polacca” oraz „Ostinato – lugubre”. Obie są oparte na opowiadaniach Jerzego Stefana Stawińskiego, który ponadto napisał do nich scenariusz. Pierwsza z nowel to historia działań Dzidziusia Górkiewicza, podczas powstania warszawskiego. W tę rolę wcielił się właśnie Dziewoński. Jego bohater jest łącznikiem w mediacjach nad połączeniem sił polskich i węgierskiego oddziału zatrzymanego przez Polaków pod Warszawą. Rola zyskała spory rozgłos i pokazała drugą, zdecydowanie niekomediową stronę talentu Dudka. Odslonił ją zresztą także w sztuce Bertolda Brechta „Kari-iera Artura Ui”, w reżyserii Erwina Axera. „»Należy obalić szacunek dla morderców« – pisał Brecht w Uwagach do »Kariery Artura Ui«. I w tym jest niewątpliwa wielkość tej sztuki. W końcu Szekspir w Ryszardzie III nie zrobił nic innego. Obalał szacunek dla mordercy w koronie. Woszczerowicz odegrał Ryszarda III jako błazna. Łomnicki dokonał rzeczy jeszcze trudniejszej aktorsko. Pokazał, że sflaczały pajac, kiedy opanuje sztukę podrygiwania, może być Hitlerem. Jedyłą godnością współczesnej sztuki jest demistyfikacja” – recenzował sztukę Jan Kott na łamach „Przeglądu kulturalnego” w lutym 1962 r. Dziewoński w przedstawieniu wcielił się w rolę Giuseppe Givoli, czyli odpowiednika Goebelsa. Nie kopiował jednak postaci niemieckiego pro-

pagandzisty, ale stworzył kreację, która budzi lęk jakąś uprzejmością, emanuje podskórną groźbą.

Równolegle z rozwojem kariery zawodowej Dudka rozkwitało jego życie towarzyskie i uczuciowe. Wszyscy, którzy się z nim zetknęli, przyznają, że był kobieciazrem. Dorota Czerwińska w tekście zamieszczonym na łamach portalu interia.film.pl 16 grudnia 2016 r. zaznacza, że Dziewoński był trzykrotnie żonaty. „Z drugiego małżeństwa z tancerką baletową Janiną Smoszewską (dla przyjaciół Niną) doczekał się syna, Romana” – pisze. I przytacza wypowiedź Romana, który mówi, że „Rodzice rozstali się trzy lata po ślubie i ojca jako takiego w domu nie pamięta”. Syn dodał, że „mama nigdy nie powiedziała o nim złego słowa. Powtarzała, że jest genialnym aktorem i powinien mieć swój teatr”.

O kobietach Dziewońskiego w książce „Dożylnie...” wspomina także aktorka Alina Janowska. Opowiada, że kiedy robiła z Dziewońskim audycję radiową „To i owo, czyli zabawa literacka”, to aktor co jakiś czas rozrzucał „wizytówki z nowymi adresami”, na których były wpisane nowe żony lub nowe ukochane. Dodaje, że zmieniająca się sytuacja damsko-męska Dudka była częstym tematem żartów. Janowska i jej ówczesny partner, Tadeusz Pluciński, przyjaźnili się zresztą z Dudkiem i jego pierwszą żoną, Marią. Pewnego dnia jednak pierwsza pani Dziewońska powiedziała Janowskiej wprost, że jest o nią zazdrosna i nie chciałaby, by spotykały się tak często. „Trochę mi się chciało śmiać, ale pomyślałam sobie, że nie mogę tak potraktować poważnych wątpliwości. Rozluźniliśmy stosunki. Potem, jak się dowiedziałam o całym dramacie, że ona popełniła samobójstwo, zdałam sobie sprawę, że to może zła-mać człowieka. Ale Dudek był »świeży«. Inaczej reago-wał. Może chował głęboko w sobie” – mówiła. Następ-ną kobietą w życiu Dudka była Janina Smoszewska, matka Romana. Później jeszcze pojawiały się jeszcze inne kobiety, ostatecznie jednak Dziewoński „osiadł” przy swojej trzeciej żonie, Irenie Wilczyńskiej, od której był 20 lat starszy. „Obserwowałam potem jego stosu-nek do Ireny, byliśmy razem na jakichś wakacjach. Wtedy zobaczyłam go z obciętymi rogami. Był »wyrów-nany«. W sposobie bycia, reakcjach. Może to wiek robił swoje, może Irena...” – relacjonuje Janowska.

► Dudek w „Dudku”

Pod koniec 1964 r. rozpoczęły się próby Kabaretu Dudek, przez Dudka właśnie założonego. Jak podaje Dariusz Michalski w książce „Starszy Pan A. Biografia Jerzego Wasowskiego”, debiutowy program został za-prezentowany w kawiarni Nowy Świat 13 stycznia 1965 r. Nosił tytuł „Spotykamy się na Nowym Świecie”. Był to także tytuł rewii Perskiego Oka sprzed trzydzie-stu dziewięciu lat.

Michalski przytacza także słowa, które Dudek powiedział swojemu synowi, gdy ten pytał go, dlaczego idea stworzenia kabaretu powstała akurat w roku 1964. „Nie wiem. Nikt nie udzielił konkretnej odpowiedzi [...]. Kole-dy podsuwali takie pomysły: »Zrób coś, może...« – no i w połowie roku nastąpiło rozkręcajko [jeden z typowych „Dudkowych” neologizmów – przyp. M.Z.]. Miałem sporo zebranych tekstów, kombinowałem nowe. Wiedziałem, że mogę liczyć na opinię Jerzego [Wasowskiego]. [...] to było bardzo trudno przeprowadzić. Nie chodzi o wykonawców czy ewentualną publiczność. Tylko w ogóle zorganizować. Że to trzy razy w tygodniu, że o takiej godzinie, że to, że tamto. To znaczy były trudności. Te trudności polegały na duperelach. Idiotyzmów do pokonania było od cholery i trochę. Przepisy trzeba było obchodzić i spełniać jakieś tam wymogi. Tak było przez cały czas trwania” – mówił.

Michalski przytacza także słowa Ireny Kwiatkowskiej, jednej z czołowych gwiazd Dudka: „Dlaczego w Dudku bywało tak, jak nigdzie indziej? Bo na czele kabaretu stał »Dudek«. To była jego inicjatywa, on wybrał do współpracy te osoby, które chciał mieć w zespole. I kierował nimi – ale jak! [...] Działanie wspólne: ten coś dodał, tamten odpowiedział, inny skreślił, ktoś coś zmienił – i tak powstało nowe dzieło. I to się podobało”.

Z kolei w książce Dziewońskich kompozytor Tadeusz Suchocki zareca, że Dudek dbał o tych, z którymi pracował, i był wobec nich lojalny. Na potwierdzenie tej tezy przytacza opowieść o tym, jak w 1966 r. kabaret „Dudek” wyjeżdżał do USA, a ówczesny dyrektor Estrady nie chciał podwyższyć stawek osobom odpowiedzialnym za muzykę. Tłumaczył, że to tylko akompaniatory i nie będą stawiać mu żadnych żądań. Gdy Dudek się o tym dowiedział, powiedział, że załatwi tę sprawę. I faktycznie po długich bojach to zrobił.

Dudek wystawił programy: „Nowy wspaniały świat” (13 listopada 1965), „Playboyland” (24 stycznia 1967), „Kto się boi Marii Konopnickiej” (13 stycznia 1968), „Naokoło czterech Dudków” (13 marca 1969), „Dudek contra Fantomas” (13 marca 1970), „7 – czyli do tego doszło” (13 marca 1972), „Gololedz” (13 października 1973), „Każdego dnia trochę inaczej” (23 października 1974).

„Dlaczego Dudek się skończył? Mógłby przecież istnieć jeszcze długo. Oczywiście, ale byliśmy zmęczeni. Ostatecznie dziesięć lat z zarywanymi trzema nocami tygodniowo robi swoje, a poza tym – albo raczej przede wszystkim – ludzie, którzy pisali teksty, zaczęli zajmować się pisaniem innych utworów, a pisanie dla nas było trudne i specyficzne. Dlatego 13 stycznia 1975 roku skończył się Dudek” – przytacza wypowiedź Dziewońskiego Michalski.

W 1987 r. twórca postanowił jednak reanimować swój kabaret, w zmienionej formule i z obsadą rozszerzoną o aktorów młodszej generacji. Nie wyszło zado-

walająco. Ostatecznie po dwóch latach podjęto decyzję o definitywnym zakończeniu działalności Dudka.

Właśnie z Dudkowego kabaretu pochodzą piosenki, które cieszą się popularnością do dziś. Między innymi „Wójta się nie bójta” z tekstem Wojciecha Młynarskiego:

*Jak głosi jedna z historycznych bujd,
hen w średniowieczu żył niedobry bardzo wójt.
Gnębił poddanych, mocną trzymał straż,
z rzadka ku ludziom swoją złą obracał twarz.
Leciały krnąbrne głowy; rach ciach ciach,
aż w obejściach wójtowych zapanował błąd strach.
Trwałby ten strach po koniec wójta dni,
aż osiedlił się w gminie jakiś facet z innej wsi,
co wszystkim ludziom w krąg powtarzał tak:
Ej, wy, wy, ludzie, wy, tych pogroźek nie kupujta
i choć szaleje wójt, wy wójta się nie bójta!*

Wojciech Młynarski zaznaczał w książce Dziewońskich, że w jego przekonaniu Edward szalenie konsekwentnie realizował credo głoszące, że „Socjalizm zostaje za oknem”. Podkreślał także, że oczywiście pojawiały się problemy z cenzurą, ale Dziewoński umiał sobie radzić. „Zdarzało się, że napuszczał Kobusza [Jana Kobuszewskiego] z [Wiesławem] Gołasem na to towarzystwo, aby rozba-wili, trochę upili, albo odegrali skecz w sposób niedający jakichkolwiek podejrzeń. Tak przepchnęli moją »Balladę o Dzikim Zachodzie«, a Ania Seniuk z Anitą Dymśówną piosenkę »Po co babcię denerwować«. Dziewczyny odegrały przed cenzorami jakieś dwie koszmarnie panienki, które dbają o dobre samopoczucie babci. Przepychały się, tarmosiły i zatupały całą aluzję do Gomułki, który sekretarzował bez kontaktu z ukochanymi masami pracującymi miast i wsi”.

O tym, że Dziewoński był jakby obok polityki, wspomina także jego wieloletni sąsiad i przyjaciel, pisarz Tadeusz Konwicki. „Nie wdawał się w życie społeczno-polityczne, w ogóle w to nie wchodził, a to nie było tak łatwo w PRL-u nie dać się wciągnąć. Także, szczerze mówiąc, żył tylko swoim zawodem” – mówił synowi i wnukowi Dziewońskiego.

► Do „Kwadratu”

Chociaż kariera filmowa i teatralna Dziewońskiego zawiera tak wiele pozycji, że wszystkich wymienić nie sposób, warto przypomnieć jedną z kreacji, które przeczą jego wizerunkowi komedianta. Teatr Ludowy 17 kwietnia 1971 r. wystawił „Jasełka Moderne”. Dziewoński wcielił się w postać Heroda. O czym opowiada ta sztuka? W tekście „Dramat okrucieństwa w teatrze profanacji”, zamieszczonym na portalu teatr-pismo.pl, Jacek Kopciński pisze: „W Jasełkach Strażnik przeinacza (przepisuje) opo-

wieść o narodzinach Jezusa i daje ją do zagrania aktorom obozowego [w obozie koncentracyjnym – przyp. M.Z.] teatryku. W trakcie prób prowadzonych przez Reżysera-więźnia ujawnia swoją tożsamość Komendanta i po kolei zaczyna zabijać wykonawców spektaklu. Mógłby ich zabić bez żadnej gry i wtedy także stałby się panem ich życia i śmierci. Organizuje jednak teatr, by w obozie koncentracyjnym na swój sposób urzeczywistnić metaforę świata jako »bożego igrzyska« i wejść w rolę jego stwórcy, a następnie destruktora. Chce zabić podległych mu ludzi z uczuciem absolutnego, właśnie »boskiego« panowania nad rzeczywistością, skojarzonego zresztą z mocą autora sztuk dramatycznych...». Ci, którzy widzieli Dziewońskiego-Heroda, wspominali, że mieli wręcz dreszcze.

1 września 1974 r. wystartował Teatr Komедии i Farсы „Kwadrat”. Jego dyrektorem artystycznym został

szość życia stał obok, nie chciał się angażować, starał się żyć z każdym dobrze, gdy sytuacja tego wymagała – gdy życie przycisnęło go do muru, potrafił postąpić właściwie.

Aktor Piotr Pręgowski w „Dożylnie...” wspomina czasy, które nastąpiły w „Kwadracie” po usunięciu Dziewońskiego. Opowiada, że za czasów Dudka na premierze wszyscy aktorzy zapraszali przyjaciół. Nowy dyrektor również poinformował, że można zapraszać rodzinę i znajomych. Jednak podczas pierwszej premiery stwierdził, że na sali znajduje się zbyt wiele osób i zażądał, by ci, którzy nie mieli biletów, ją opuścili. Pręgowski stwierdził, że jeśli jego znajomi nie zostaną, nie gra. Ostatecznie dyrektor ustąpił.

► „Wycofajko, spierdalajko”

Dziewoński zmarł 17 sierpnia 2002 r. w Warszawie. W filmie ostatni raz zagrał w „Strasznym śnie Dziędzusia

„NIE WDAWAŁ SIĘ W ŻYCIE SPOŁECZNO-POLITYCZNE, W OGÓLE W TO NIE WCHODZIŁ, A TO NIE BYŁO TAK ŁATWO W PRL-U NIE DAĆ SIĘ WCIĄGNĄĆ. TAKŻE, SZCZERZE MÓWIĄC, ŻYŁ TYLKO SVOIM ZAWODEM” – MÓWIŁ O DUDKU JEGO WIELOLETNI SASIAD I PRZYJACIEL, PISARZ TADEUSZ KONWICKI.

Dziewoński. „Kwadrat” podlegał pod Telewizję Polską. A współpraca między instytucjami miała polegać na tym, że spektakle miały być rejestrowane dla Telewizji.

W książce „Dożylnie...” aktor Andrzej „Fedor” Fedorowicz, który pracował w teatrze Dudka, podkreśla, iż ten miał niesamowity instynkt w dobieraniu ludzi do zespołu teatralnego. „Układał sobie repertuar i nas w tym. Dbał także o zespół techniczny. Mówiąc krótko – to co z tego, że techniczni! Nigdy nas nie dzielił. Byliśmy jedną wielką rodziną. To byli nasi koledzy. Dudek tak samo ich traktował”.

Chociaż „Kwadrat” był artystycznym dzieckiem Dziewońskiego, został mu on odebrany. Przyczyny? W ramach protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego polscy aktorzy rozpoczęli bojkot państwowych radia i telewizji. A ci, którzy grali w „Kwadracie”, nie zgodzili się na rejestrację przedstawień. „Nie chcieliśmy świecić swoich twarzy i zamieniać na telewizyjne mordy. Za oknem stan wojenny, a my tu sobie leciutko, komediowo używamy? O nie! W środkach masowego rażenia nie występujemy” – tłumaczył aktor Paweł Wawrzecki w książce Dziewońskich.

Za ten bunt zapłacił Dudek, który nie wpuścił telewizji. Chociaż więc niektórzy zarzucają mu, że przez wię-

Górkiewiczą” (1993 r.). Zostały po nim wspomnienia, kabalet. Znajomi pamiętają jego specyficzne powiedzonka, takie jak „wycofajko”, oznaczające, że coś należy poprawić, wycofać, zmienić. „Spierdalajko”, którego znaczenia można się domyślić, czy określenia w stylu „kawał filmu”. „Stworzył termin, który zrobił karierę: mawiał nie Łapicki, a »człowiek systemu Łapicki«, »człowiek systemu Rudzki«, »kobieta systemu Drapińska lub Mrozowska«. Jego samego nazywaliśmy więc »człowiekiem systemu Dziewoński« – wspominał Erwin Axer w cytowanym już artykule w „Rz”.

Kiedy kończyłam ten tekst, media poinformowały o śmierci dyżurnego tekściarza Dudka, Wojciecha Młynarskiego. Dopadła mnie smutna refleksja, że odchodzą ostatni przedstawiciele świata, którego już nie ma, a który tak dobrze reprezentował Dziewoński, Aleksander Bardini czy obaj Starsi Panowie. To były ptaki, żyjące gdzieś obok PRL, w enklawie, której pozwolono istnieć zapewne dlatego, że rozładowywała napięcia społeczne. Nawet jednak, jeśli takie były motywacje sankcjonowania przez władzę PRL-u takiego Dudka czy Kabaretu Starszych Panów, to dzięki temu udało się zachować ducha dwudziestolecia międzywojennego. Ciepłego humoru, abstrakcyjnego żartu. Klasy, której dziś tak nam brakuje. ■

Ppor. Marcyan Sarnowski „Cichy”
(23.08.1926 r. – 3.01.1947 r.)

Dariusz Jarosiński



By przestali być WYKŁĘCI



Józef Rydel „Tygrys”
(13.11.1927 r. – 17.02.1947 r.)

Na ziemi lubawskiej, gdzie po 1945 r. działało silne podziemie antykomunistyczne, nadal obok siebie żyją rodziny partyzantów Ruchu Oporu Armii Krajowej i ich dawnych oprawców – ubeków, milicjantów, ormowców. Brak dekomunizacji po 1989 r. skutkowało tym, że środowiska komunistyczne zachowały swoje wpływy. „Nowe pokolenie UB” pełni ważne funkcje choćby w administracji publicznej czy lokalnych samorządach i nadal upokarza rodziny Żołnierzy Wyklętych, odmawiając im prawa do godności, do upamiętniania swoich bliskich.

Batalion Pomorski kryptonim „Znicz” sformowany jesienią 1945 r. przez kpt. Pawła Nowakowskiego „Łysego”, „Kryjaka”, w czasie okupacji niemieckiej komendanta Obwodu Działdowo AK, był największą formacją należącą do struktur Ruchu Oporu Armii Krajowej. W oddziałach partyzanckich walczyło z bronią w ręku ponad 350 umundurowanych, jawnie występujących żołnierzy, co najmniej drugie tyle ludzi wspierało oddziały partyzanckie w siatkach terenowych. Batalion „Znicz”, o którym już pisałem w trzecim numerze „Nowego Państwa” z 2016 r., powstał na pograniczu trzech województw: pomorskiego, warszawskiego i olsztyńskiego, prowadził działalność zbrojną na rozległym terenie powiatów brodnickiego, lubawskiego (Nowe Miasto Lubawskie należało wówczas do tego powiatu) i rypińskiego (województwo pomorskie); działdowskiego, mławskiego, ciechanowskiego i sierpeckiego (województwo warszawskie); nidzickiego i ostródzkiego (województwo olsztyńskie).

Kapitan „Łysy” nie chciał szafować życiem młodych ludzi, początkowo był przeciwny temu, by walczyć z nowym okupantem. Rozkaz o formowaniu batalionu wydał dopiero w sytuacji bez wyjścia, kiedy bolszewicy za samą współpracę z AK wywozili ludzi na Syberię, kiedy represje były trudne do zniesienia i trzeba było bronić się przed zagładą. Wkrótce po przejściu frontu do miasteczek, wiosek nad Drwęcą, Welem, Wkrą zwieziono absolwentów szkoły NKWD w Lublinie, milicjantów.

► Wolna kraina partyzancka

Największymi oddziałami wchodzącymi w skład Batalionu Pomorskiego „Znicz” dowodzili podporucznicy: Stanisław Balla „Sowa”, Andrzej Różycki „Zjawa”, Franciszek Wypych „Wilk”. Ich działalność spowodowała, że mieszkańcy ziemi lubawskiej mogli w miarę spokojnie egzystować. Przez wiele miesięcy istniała tutaj wolna kraina partyzancka, gdzie mieszkańcy sami decydowali o tym, kto ma być ich wójtem, sołtysiem. To nieprawda, że wszyscy milicjanci byli zabijani przez żołnierzy ROAK. Ci, którzy łapali złodziei i bandytów, mogli liczyć na wsparcie i pomoc żołnierzy „Znicza”, ci, którzy walczyli z podziemiem niepodległościowym, musieli liczyć się z najgorszym.

W sumie Pawłowi Nowakowskiemu „Kryjakowi”, awansowanemu już do stopnia majora, na rozległym terenie wspomnianych dziewięciu powiatów podporządkowanych było około 20 oddziałów partyzanckich. Jednym z nich był oddział ppor. Marcjana Samowskiego „Cichego”. Rodzina Marcjana pochodziła z wioski Marzęcice, położonej w niedużej odległości od Nowego Miasta Lubawskiego w gminie Kurzętnik. W czasie wojny rodzina Samowskich została wysiedlona przez Niemców z gospodarstwa, dopiero po przejściu frontu mogła powrócić do domu. Marcjan wraz z kolegą z wioski, Alfonsiem Orzepowskim, postanowili zapisać się do podoficerskiej szkoły milicji w Gdyni. Kiedy jednak zorientowali się, jaka to ma być milicja, komu ma służyć, w lutym 1946 r. zdezerterowali ze szkoły. Początkowo ukrywali się, ale kiedy dotarły do nich informacje o powstaniu antykomunistycznych oddziałów partyzanckich, oddali się do dyspozycji ppor. Stanisława Balli „Sowy”, ten zaś skierował ich do plutonu ppor. Andrzeja Różyckiego „Zjawy”. Obaj chłopcy złożyli przysięgę na ręce mjr. Pawła Nowakowskiego „Kryjaka”. Marcjan Samowski przyjął pseudonim „Cichy”, a Alfons Orzechowski „Lis”. Każda przysięga miała charakter niezwykle podniosły. Odbywała się pod drzewem nazywanym „Dębem Rzeczypospolitej” lub rzadziej „Dębem Jagiełły”, czyli 500-letnim pomnikiem przyrody symbolizującym ciągłość i trwałość państwa polskiego. Drzewo rośnie w połowie drogi pomiędzy Górnem a Lidzbarkiem Welskim.

Zaczął się nowy i zarazem ostatni rozdział życia Marcjana. Miał 20 lat, kiedy trafił do partyzanckiego oddziału. Podporucznik „Zjawa” już po kilkunastu dniach szkolenia docenił zdolności, spryt, celne oko „Cichego”, szybko więc zaangażował go do akcji sabotażowych, dywersyjnych. 30 czerwca 1946 r. „Cichy” wziął udział w bitwie pod Zieluniem w powiecie działdowskim. Ponad setka partyzantów ROAK odparła atak 250 funkcjonariuszy UB i MO oraz żołnierzy KBW. Formacje komunistyczne dysponowały również bronią pancerną. W bitwie poległo trzech żołnierzy ROAK, po stronie komunistycznej zginęło kilkanaście osób, wielu funkcjonariuszy bezpieki odniosło poważne rany. W walce szczególnie zasłużył się „Cichy”, trzymając w potrzasku ubeków, waląc do nich z karabinu MG42.

Po sfalszowaniu przez komunistów referendum w czerwcu 1946 r. dowództwo Batalionu postanowiło zmniejszyć liczebność oddziału „Sowy” i „Zjawy” i zaproponowało zagrożonym aresztowaniem najmłodszym żołnierzom osiedlenie się na Dolnym Śląsku „na lewych papierach”. „Cichy” też otrzymał taką propozycję, jednak po kilku dniach wrócił z Wrocławia. Powiedział, że jego miejsce jest pośród okupowanych przez bolszewię mieszkańców rodzinnej ziemi. Do „Cichego” szybko dołączyli jego równie młodzi koledzy.

► Poszli śladem starszych partyzantów

22 lipca 1946 r., *nomen omen* w drugą rocznicę ogłoszenia tzw. manifestu wydanego przez Sowietów, w domu państwa Rydlów w miejscowości Otręba zawiązał się oddział zbrojny pod dowództwem podporucznika Marcjana Sarnowskiego „Cichego”. Pierwszymi partyzantami zostali Alfons Orzepowski „Lis”, Józef Rydel „Tygrys”, Alojzy Liszewski „Psota”. Na początku patrol ppor. „Cichego” liczył 15 partyzantów. Według dr Alicji Paczoskiej-Hauke („Oddział ROAK Marcjana Sarnowskiego »Cichego«”, „Zeszyty Historyczne WiN-u” nr 40) przez oddział przeszło 25 osób. Podporucznik „Cichy” podporządkował swój oddział mjr. Nowakowskiemu „Kryjakowi”.

Żołnierze Stanisława Balli „Sowy”, Andrzeja Różyckiego „Zjawy” czy Franciszka Wypycha „Wilka” mieli spore doświadczenie z konspiracji, działalności w podziemiu niepodległościowym w czasach okupacji niemieckiej, żołnierze Marcjana Sarnowskiego „Cichego” to byli młodzi chłopcy, którym brakowało doświadczenia, ale na pewno nie odwagi. Janek Rudziński „Szczygieł”, pochodzący z Czerlina, ujęty jesienią 1946 r. przez UB, miał 18 lat, kiedy zamordowano go 17 stycznia 1947 r.

Jak pisze we wspomnianym już artykule dr Paczoska-Hauke: „Od lipca 1946 r. żołnierze Sarnowskiego rozbijali posterunki MO i SOK, rozbierali ich funkcjonariuszy, przeprowadzali rekwizycje w państwowych spółdzielniach i urzędach położonych na styku Mazowsza, Pomorza i byłych Prus Wschodnich. Patrol »Cichego« rozbil posterunki MO między innymi w Wawrowicach, Żabinach, Polskim Brzoziu, Prątnicy oraz w samej Lubawie. Przeprowadził też kilkanaście akcji rekwizycyjnych w sklepach Gminnych Spółdzielni »Samopomocy Chłopskiej«, m.in. w Małych Bałowkach, Skarlinie i Mikołajkach. Miał dobry wywiad, bo poruszał się po terenie, z którego wywodziła się większość grupy”.

Zaprowadzanie porządków w terenie, walkę z rozszerzającą się bolszewicką zarazą ppor. „Cichy” zaczął od rodzinnej gminy. 2 kwietnia 1946 r. żołnierze jego patrolu wygarbowali skórę wójtowi gminy Kurzętnik Wacławowi Banaszewskiemu, członkowi PPR, który podjął współpracę z bolszewikami; kara chłosty nie ominęła też Antoniego Skolmowskiego, nadgorliwego poborcy świadczeń rzeczowych oraz dwóch komunistów o nieodnotowanych w aktach UB nazwiskach. Oddział ppor. „Cichego” odbył rajd po wioskach sąsiednich gmin, udzielając w każdej z nich odpowiedniej reprimendy członkom i współpracownikom PPR. 15 sierpnia zdobycznymi pięcioma samochodami żołnierze Marcjana Sarnowskiego zajęli do ławy – tutaj otoczyli budynek Straży Ochrony Kolei (SOK) i zmusili jej funkcjonariuszy do poddania się. Łupem partyzantów padła broń z magazynu. Dwaj funkcjonariusze SOK – Kazimierz Krukowski i Benedykt Piotrowski – dołączyli do patrolu żołnierzy ROAK. Pod koniec sierpnia partyzanci odwiedzili Dąbrówno, gdzie ukarali chłostą wójta, a także po raz drugi zabrali wiele sztuk broni z wartowni SOK w ławie.

5 października w czasie rekwizycji na stacji kolejowej Jamielnik partyzanci zostali zaatakowani przez grupę operacyjną UB i MO. W czasie wymiany ognia odniósł ranę ppor. „Cichy”. Przez kilkanaście dni musiał się kurować, w tym czasie zastępował go Orzepowski „Lis”. Oddział cały czas przemieszczał się z miejsca na miejsce. W okolicach Ostródy partyzanci rozbili napotkany czteroosobowy patrol milicji – jednego z milicjantów zastrzelili, a trzem wymierzili karę chłosty, w Mikołajkach wygarbowali skórę tutejszym komunistom, przeprowadzili rekwizycję w kasie iławskiego dworca PKP, rozbroili przy tym przebywających tam strażników SOK, żołnierzy LWP i pobili sowieckich bojów. Listopad upłynął żołnierzom ppor. „Cichego” na akcjach rekwizycyjnych oraz na karaniu kapusiów, członków PPR, m.in. ukarali sekretarza PPR i burmistrza Lubawy.

29 listopada patrol Marcjana Sarnowskiego wspólnie z oddziałem ppor. Franciszka Wypycha „Wilka”, który dowodził akcją, zajęli na kilka godzin Lidzbark Welski. W czasie akcji zarekwirowano dużą kwotę pieniędzy z garbarni skór, z kasy dworca kolejowego, urzędu pocztowego. Ze spółdzielni oprócz pieniędzy zabrano też duże zapasy żywności, którą podzielono się z mieszkańcami Lidzbarka. Bez kłopotów zajęto posterunek MO i opróżniono jego magazyn broni. To odbiło się głośnym echem w najbliższej okolicy, ale było już ostatnią na tak dużą skalę misją patrolu „Cichego”. Ostatnie akcje partyzanci Marcjana Sarnowskiego przeprowadzili w grudniu. Funkcjonariuszom UB udało się pozyskać w terenie agenturę, która informowała o każdym ruchu, miejscu pobytu partyzantów ppor. „Cichego”. Pod koniec 1946 r., jak pisze dr Paczoska-Hauke: „[...] determinacja przedstawicieli nowej władzy na ziemi lubawskiej w okresie wyborów

szej wymianie strzałów zbir padł ugodzony trzema kulami milicjantów. Groźny bandyta poniósł tym samym zasłużoną karę. Nękana przez niego ludność odetchnie z ulgą”.

Rodziców Marcjana o śmierci ich syna powiadomił Franciszek Jadanowski „Lew”. Sam, niestety, też kilka dni później został zastrzelony w Tylicach. Zwłoki obu partyzantów zostały wrzucone do jednego bezimienego dołu bez trumien 8 stycznia 1947 r. na cmentarzu w Nowym Mieście Lubawskim. Na szczęście rodzina dowiedziała się, gdzie znajduje się miejsce pochówku żołnierzy. Po kryjomu ciała zostały kilka miesięcy później ekshumowane i złożone do trumien. Krzyż z tabliczką na grobie ppor. „Cichego” rodzina postawiła 4 maja 1990 r. Franciszek Jadanowski „Lew” jest pochowany w rodzinnej miejscowości na cmentarzu w Radomnie w gminie Nowe Miasto Lubawskie.

O ŚMIERCI PPOR. „CICHEGO” KOMUNISTYCZNA GADZINÓWKA „TRYBUNA POMORSKA” PISAŁA W WYDANIU Z 5 STYCZNIA 1947 R.: „PO DŁUŻSZEJ WYMIANIE STRZAŁÓW ZBIR PADŁ UGODZONY TRZEMA KULAMI MILICJANTÓW. GROŹNY BANDYTA PONIÓŚŁ TYM SAMYM ZASŁUŻONĄ KARĘ”.

do sejmu była tak wielka, że funkcjonariuszom milicji i UB wcale nie zależało, żeby ich aresztować. Robili wszystko, żeby ich zabić i to się im udało”.

► Nie każdy z nich ma swój grób

Coraz trudniej było żołnierzom ppor. „Cichego” wymykać się z obław. Duże straty poniósł oddział 9 grudnia w czasie obławy grup operacyjnych milicyjnych i funkcjonariuszy UB, kiedy partyzanci przebywali w miejscowości Osowiec w gminie Lubawa. Marcjanowi Sarnowskiemu udało się ująć cało. Później ppor. „Cichy” ukrywał się w Szwarcenowie, korzystając z pomocy rodziny Tomaszewskich. W końcu 3 stycznia 1947 r. dopadli go milicjanci. Gadzinówka komunistyczna „Trybuna Pomorska” pisała w wydaniu z 5 stycznia 1947 r.: „[...] »Cichy« ujrawszy funkcjonariuszy MO w lot zorientował się, że jest okrażony i nie uda mu się ucieczka, postanowił więc się bronić. Sytuacja jego była beznadziejna – bandyta zdawał sobie z tego sprawę – bronił się jednak rozpaczliwie nie chcąc oddać się żywym w ręce milicjantów. Po dłuż-

Zachował się opis milicjanta, uczestnika obławy na Franciszka Jadanowskiego „Lwa”. Pisał on z nieskrywaną dumą: „Postanowiono zrobić na niego zasadzkę. Przed północą wyruszyły trzy samochody ciężarowe z załogą ok. 15 uzbrojonych ludzi między innymi ja (Kazimierz Hulewicz). Po dyskretnym ustawieniu ludzi ze wszystkich czterech stron budynków i czterech snajperów w odległości 50 m z tuby nagłaśniającej, w światłach reflektorów popłynął rozkaz: Franek! Wychodź z podniesionymi rękami, bo inaczej spalimy ciebie razem z budą i dzieciakami. Cisza trwała długo. Myśleliśmy, że się ubiera. Nagle otwarło się okno i poleciały granaty: w lewo, w prawo i na wprost, a w ich huku i wznieconym kurzu, używając różnych sztuczek, pełzania i skoków w bok, w gradzie kul biegł Franek. Przebiegł 60 metrów, zostało jeszcze 10 do zbawczego wąwozu, który tworzyła polna droga i ściana lasu. Jeden ze snajperów Majewski (późniejszy komendant ORMO) przestrzelił uciekinierowi nogę w łydce. Franek jeszcze czołgał się, ale już bez szans. Został podziurawiony przez pociski. Nazajutrz ciało Franka bandyty rzucone na furmankę pokazywano w Nowym Mieście, wożąc je ulicami”.

Ostatni dwaj partyzanci z rozbitego oddziału ppor. „Cichego” zostali zabici 17 lutego 1947 r., kilka dni przed ogłoszeniem przez sejm tzw. amnestii dla żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Alfons Orzepowski „Lis” i Józef Rydel „Tygrys” ukrywali się w domu Bronisława Zielińskiego w Małych Bałówkach. Gospodarz okazał się jednak konfidentem. Milicjanci zaskoczyli śpiących partyzantów i choć mogli ich aresztować, to jednak zabili z premedytacją. Do dzisiaj nie wiadomo, gdzie są pochowani.

Młodzi partyzanci ponieśli duże straty. W oblężeniu lub w czasie akcji zginęli ppor. Marjan Sarnowski „Cichy” i jego siedmiu żołnierzy. Czterech partyzantów zostało skazanych na karę śmierci i straconych w więzieniu w Grudziądzu. Pięciu usłyszało wyroki od 10 do 15 lat więzienia. Z amnestii skorzystało pięciu partyzantów. Osiemnaście osób, w tym na przykład rolnicy, otrzymało kary więzienia od pół roku do 15 lat za pomoc udzielaną partyzantom ppor. „Cichego”. Do dzisiaj w wielu rodzinach nie wspomina się tamtej historii z lat 1945–1947, czasem komuś wyrwa się pseudonimy młodych partyzantów. A przecież historia wolnej krainy partyzanckiej, historia oddziałów partyzanckich Batalionu „Znicz” walczących z bolszewią powinna być powodem do dumy i chwały.

► Jakby prokurator napluł mi w twarz

Ziemia lubawska z trzema miasteczkami – Lubawą, Nowym Miastem Lubawskim i Lidzbarkiem Welskim – należała ongiś do zaboru pruskiego, ale jej mieszkańcy dzielnie brali udział w powstaniach narodowych (listopadowym, styczniowym) wzniesionych w sąsiedniej Kongresówce. Mieszkańcy tej ziemi przeciwstawiali się germanizacji, przy wielu okazjach manifestowali polskość i patriotyzm. Znani byli ze swego przywiązania do religii katolickiej i pracowitości. W granicach Rzeczypospolitej ziemia lubawska znalazła się ponownie w 1920 r.

Nowe Miasto Lubawskie leży na prawym brzegu rzeki Drwęcy, liczy niewiele ponad 11 tys. mieszkańców, jest schludne, zadbane, w centrum miasteczka zachował się średniowieczny układ urbanistyczny. Nad miasteczkiem, otoczonym morenowymi wzgórzami, góruje kościół zbudowany przez Krzyżaków w XIV stuleciu, przypominający o tym, kim byli założyciele miasta. Od 2012 r. Nowe Miasto Lubawskie należy do sieci Cittaslow – Miast Dobrego Życia, w których promuje się gościnność, poszanowanie specyfiki regionu, dbałość o naturalne środowisko.

Piotr Rydel jest bratankiem Józefa Rydla „Tygrysa”. W czasie studiów na UMK w Toruniu, na które dostał się bez egzaminów jako laureat olimpiady geograficznej, był działaczem NZS. W 1982 r. znalazł

się na emigracji, otrzymał azyl polityczny w Norwegii. Organizował przerzut do Polski książek, druków oraz pieniędzy przeznaczonych na działalność podziemia antykomunistycznego. Rodzina Piotra Rydla ze strony matki została w ramach tzw. reformy rolnej wyrzucona z rodzinnego gospodarstwa z miejscowości Rumian, w której mieszkała od 400 lat. Dostała kilka godzin na spakowanie się, a mogła zabrać jedynie to, co było do udźwignięcia w rękach. Cały inwentarz, maszyny trzeba było pozostawić. W ten sam sposób potraktowano siedmiu gospodarzy z Rumiana. Musieli wyjechać poza granice powiatu nowomiejskiego. Dokąd? To już komunistycznej władzy nie obchodziło. Po raz pierwszy w rodzinnej wsi matki Piotr Rydel pojawił się wkrótce po powrocie z emigracji. Dziadek opowiadał mu w dzieciństwie o Rumianie, ale nigdy nie przywiózł tutaj żadnego z wnuków, chociaż mieszkali tylko dwadzieścia parę kilometrów stąd w powiecie działdowskim. Tutaj postanowił założyć gniazdo rodzinne. Kupił dom obok domu dziadka i pradiadka, a także 4,5 ha ziemi w czterech kawałkach. Później rozpoczął hodowlę polskich krów mięsnych czerwonych, z których dzisiaj znany jest w całym regionie. Wiedzę o rolnictwie zdobywał na jednym z norweskich uniwersytetów. Dzisiaj ma ziemię w czterech gminach, w ubiegłym roku udało mu się kupić połowę domu dziadka. Dziadek był wójtem we wsi.

O stryju Józefie „Tygrysie” słuchał opowieści już w dzieciństwie. Kilkanaście lat temu zaczął prowadzić prywatne śledztwo, starając się dociec, w jakich okolicznościach partyzanci „Tygrys” i „Lis” zostali zabici. Milicjanci znani z imienia i nazwiska otrzymali nagrody pieniężne za zabicie wyrwanych ze snu chłopaków, ich dane podała komunistyczna prasa, kreując na bohaterów, którzy „celnymi strzałami zabili bandytów”. Na wniosek Piotra Rydla prokurator z IPN w Gdańsku prawie dwa lata prowadził śledztwo w sprawie śmierci dwóch partyzantów. Ostatecznie stwierdził, że nie była to zbrodnia komunistyczna. Nie był w stanie ustalić, który z milicjantów zabił „Lis”, a który „Tygrysa”, jakby to miało znaczenie w ustaleniu, czy była to zbrodnia komunistyczna.

– Można tylko pogratulować dobrej szkoły prawniczej, z której wywodzą się prokuratorzy IPN – mówi rozgoryczony bratanek „Tygrysa”. Ten prokurator jakby mi splunął w twarz. Pytam się zatem: to co jest zbrodnią komunistyczną? Prokuratorzy nie byli w stanie znaleźć świadków, więc ja im podawałem. Odmówiono mi zrobienia kopii dokumentów. Mogłem je tylko obejrzeć. Chciałem zapłacić za kopie, ale nic to nie pomogło. Mogłem skopiować tylko nieliczne dokumenty. Mamy ponoć wolną Polskę, a prokurator występuje w roli cenzora.

► Cztery na cztery metry

Piotr Rydel mieszkający w Rumianie stał się niekwestionowanym strażnikiem pamięci Żołnierzy Niezłomnych walczących na ziemi lubawskiej, a w szczególności żołnierzy ppor. „Cichego”. Zebrał obszerną dokumentację liczącą kilka tysięcy stron z archiwum IPN. Udostępnił te dokumenty pani Ewie Rzeszutko z Lidzbarka Welskiego, która napisała pierwszą książkę o tamtych wydarzeniach sprzed 70 lat. Zorganizował kilka spotkań z Andrzejem Różyckim „Zjawą”, m.in. w szkołach w Rybnie, Mszanowie, Lidzbarku Welskim, Nowym Mieście Lubawskim. Pomagał ostatnim żyjącym partyzantom z oddziałów Batalionu „Znicz” w rozwiązywaniu ich problemów życiowych. Finansuje wiele przedsięwzięć, uroczystości związanych z upamiętnianiem żołnierzy „Cichego”.

– Tutaj żyją całe rodziny, których ojcowie, dziadkowie zajęli gospodarstwa po przepędzonych właścicielach – opowiada Piotr Rydel. Wiadomo, jaki mają one stosunek do rzeczywistości po roku 1945. W latach 90. już w sposób demokratyczny dzieci, wnuki komunistów, po lubawsku mówiło się „czerwonych świni”, zdobyły władzę. Rodziny partyzantów zostały zaszczone, komuniści starali się odebrać im wiarę, nadzieję w to, że kiedykolwiek może coś się zmienić. Z człowiekiem bez wiary można zrobić wszystko. Ludzie byli zamykani, nie mogli znaleźć pracy, byli śledzeni. Mój ojciec za brata „Tygrysa” poszedł na dwa i pół roku do kamej jednostki wojskowej. Karabinu nie widział, tylko kilof i łopatę, bo ciężko fedrował w kopalni węgla kamiennego. Żaden z oprawców nie został po roku 1989 ukarany. To komunistom powiodło się w życiu, zdobyli majątki, a rodziny partyzantów musiały przeżywać lzy gorczy. Hańbą jest to, co stało się z rodziną Godzińskich. Obaj bracia – Alojzy i Jan – otrzymali karę śmierci. Janowi zamieniono karę na karę więzienia. Kiedy Jan zmarł, zrobiłem wszystko, żeby ktokolwiek z władz przyjechał na jego pogrzeb. Nie było nikogo. Uznałem za swój święty obowiązek uczczenie pamięci Żołnierzy Wyklętych – nie jakichś anonimowych, ale konkretnych, naszych – mówi Piotr Rydel. I dodaje: – Chcemy z przyjaciółmi z Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubawskiej i Stowarzyszenia Reduta postawić w Nowym Mieście Lubawskim pomnik poświęcony ppor. Marjanowi Sarnowskiemu i jego żołnierzom. Na tablicy będą wypisane nazwiska wszystkich jego żołnierzy. Od dłuższego czasu staramy się, aby burmistrz Józef Blank dał tym chłopcom, którzy bili się o to, aby ta ziemia była wolna, choćby skrawek tej ziemi w mieście – cztery na cztery metry. Nie chcemy pieniędzy od miasta, sami sfinansujemy budowę pomnika. Niestety, cały czas napotykały na mur niechęci. Jednak wierzę, że swój cel osiągniemy. Zapraszamy też na nasze spotkania byłych milicjantów, ubeków, ich dzieci. Jesteśmy skazani na sie-

bie, mieszkamy obok siebie. To nasi sąsiedzi. Może kiedyś odważą się i przyjdą. My nie palamy zemstą, chcemy tylko, by pozwolono nam uczcić naszych bliskich, by przestali być wyklęci. Burmistrz Blank raz jeden uczestniczył w spotkaniu, które organizowaliśmy z dr Paczosa-Hauke. Kiedy parę lat temu zaprosiliśmy znanego historyka Leszka Żebrowskiego, to musieliśmy się tłumaczyć na policji, bo ktoś doniósł, że chcemy gościć faszystę. A to był też komunikat do innych – nie róbcie tego, nie interesujcie się tą historią. Komuna zasiła strach, a postpeel stara się ten stan utrwalić. Jestem optymistą, na początku była nas garstka chcących upamiętnić żołnierzy ppor. „Cichego”, dzisiaj zaczyna to być już środowisko. Mam też nadzieję, że znajdzie miejsce pochówku mego stryja Józefa Rydla „Tygrysa” i zapalę świeczkę na jego grobie – kończy Piotr Rydel.

Rafał Tesmer mieszka w Kurzętniku, pracuje w Nowym Mieście Lubawskim jako ratownik medyczny. Jest szefem Stowarzyszenia Reduta Tradycji i Historii Ziemi Lubawskiej. Do Stowarzyszenia należą przede wszystkim ludzie młodzi, chcący poznać przeszłość swojej małej ojczyzny. Wielkim szacunkiem darzą Stanisława Ballę „Sowę”, ale bliższy ich sercu jest Marcja Sarnowski „Cichy”, chłopak, który był ich rówieśnikiem, kiedy walczył z bolszewią. – Mamy w swoim kalendarzu stałe już wydarzenia: 2 kwietnia organizujemy inscenizację bitwy pod Marianowem, 22 lipca organizujemy w Otrębie spotkanie obok domu, w którym zawiązał się oddział ppor. Marcjana Sarnowskiego „Cichego”, 3 stycznia w rocznicę śmierci „Cichego” uczestniczymy w uroczystej Mszy Świętej za jego duszę – mówi Rafał Tesmer. – 14 lutego tego roku przeprowadziliśmy z koleżanką akcję ulotkową na ulicach Nowego Miasta „Zakočaj się w AK”. Pan wiceburmistrz zapytał mnie z trwogą, czy aby nie chodzi o naszych Wyklętych. Wielu samorządowców nowomiejskich boi się najnowszej historii, posadza nas o działalność polityczną. Pan burmistrz Józef Blank właściwie nawet nie uzasadnił nam w piśmie, dlaczego nie zgadza się na postawienie pomnika poświęconego „Cichemu” i jego żołnierzom. Po prostu: „nie, bo nie”. Władze nie widzą potrzeby upamiętnienia, mówią, że to historia „kontrowersyjna”. 1 marca nawet przed magistratem nie pojawiła się biało-czerwona flaga, chociaż jest to święto państwowe. Władze uważają, że tylko one są od organizacji uroczystości, nie życzą sobie niezależnych imprez. ■

PS Dziękuję za pomoc panu Edmundowi Godzińskiemu i jego synowi Damianowi w odbyciu podróży śladami oddziału ppor. Marcjana Sarnowskiego „Cichego”. Serdecznie pozdrawiam bratanków ppor. „Cichego” – Andrzeja i Zbyska Sarnowskich.



Lekarz dziecięcych dusz



Agnieszka Kowalczyk

Tak naprawdę nazywał się Henryk Goldszmit, ale do historii przeszedł jako Janusz Korczak – powszechnie znany pisarz, publicysta, pedagog, zapalony społecznik, a z wykształcenia lekarz pediatra. Całe życie poświęcił pracy wychowawczej, wyznając: „Dlatego jestem wychowawcą, że po prostu najlepiej czułem się wśród dzieci”.



Wzorem dla niego był doktor Tomasz Judym z „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego. Tak jak on zrezygnował z osobistego szczęścia, by poświęcić się tym najmłodszym – skrzywdzonym przez los, cierpiącym i opuszczonym. Oddał im wszystkie swe siły, stworzył przed nimi całe swe gorące serce. Leczył nie tylko ich chore ciała, lecz także zbolące dusze. W swych traktatach pedagogicznych bronił ich praw do godnego życia. To dzieciom poświęcił niezapomniane książki, w których identyfikował się ze światem ich przeżyć – znane wszystkim „Moški, Joski i Srule”, „Bankructwo małego Dżeka”, „Kajtuś czarodziej”, „Uparty chłopiec”, „Trzy wyprawy Herszka”. Arcydziełem literatury światowej stała się jego powieść „Król Maciuś Pierwszy” przedstawiająca państwo rządzone przez dziecko. Sam Korczak, podobnie jak bohater jego książki, marzył o stworzeniu takiego królestwa, w którym nie byłoby dzieci biednych, chorych i upokorzonych, ale same uśmiechnięte i szczęśliwe. I temu wielkiemu zadaniu podporządkował całe swe życie.

► Moški, Joski i Srule

Na spotkanie ze swoim przeznaczeniem wyruszył w 1904 r., przeobrażając się w wychowawcę kolonijnego, który z grupą najbiedniejszych żydowskich dzieci wyprawił się na wieś do Michałówki. Miał stać się ich opiekunem, powiernikiem, towarzyszem szalonych zabaw, a zarazem przewodnikiem, który tłumaczy świat, pomaga zrozumieć siebie i innych... Idea zorganizowania letniego wypoczynku dla małych, ubogich mieszkańców stolicy zrodziła się w Warszawskim Towarzystwie Kolonii Letnich, które doprowadziło do powstania trzech domów letniskowych – Wilhelmu dla chłopców, Zofiówki dla dziewcząt i Michałówki – dla dzieci żydowskich. Dzięki temu przedsięwzięciu niemal dwa tysiące dzieci mogły tu zapomnieć o swej ponurej codzienności, o głodzie, poniżeniu i strachu. Był to dla nich inny świat, prawdziwy raj, wielka przygoda. Kraina dziecięcych przeżyć i wyobrażeń od zawsze fascynowała Korczaka, dla którego los dziecka był najważniejszy na świecie. Wrażenia z pierwszego pobytu na koloniach zawarł w spontanicznie skreślonych reportażach, zaglądając najpierw w ciemne zaułki Miłej, Niskiej i Smoczej. Tam w ciasnych izbach gnieździły się przymierające głodem żydowskie rodziny, tam na brudnych i cuchnących podwórkach koczowali mali nędzarze, których nie wpuszczano do publicznych parków i ogrodów. Większość z nich nie widziała nigdy lasu ani łąki, nie grała w piłkę, nie wiedziała, jak wygląda wiewiórka. Ale wystarczył nawet tydzień, by z dala od warszawskiej nędzy te zaniedbane dzieci przeszły swoistą me-

tamorfozę. Poczucie swobody, beztroskie zabawy, słońce, zielona trawa, las, woda czyniły je zdrowszymi, rozbudzały w nich ciekawość świata i radość życia. „Jak ten Ganczer podbija! – Zwinny, ruchliwy – życia w nim za dziesięciu! Nieznaczny ruch ręką, a piłka pod niebo wylata” – notował swe spostrzeżenia Korczak. Tak samo nie mógł nadziwić się, jak słabowity Lejb mimo zakazów ojca kąpał się w rzece i spał przy otwartym oknie, jak zmęźniał, opalił się i nabrał ciała.

Michałówka okazała się dla kolonistów miejscem magicznym, bo zamieszkała w pięknym domu ukrytym pośród lasów, a każdy miał tu swe własne łóżko i poduszkę wypchaną słomą. Na każdego czekała kąpiel w rzece, wyprawa na jagody, zabawa w wyścigi i w wojnę, bitwa na szyszki i patyki, wieczorne koncerty i cudowne baśnie. Wszystko tu było nowe i niesamowite. Dzieci aż piszczały z radości, gdy ujrzały pasącego się żrebaka czy kurę z piskletami. Doktor objaśniał im tajemniczy świat przyrody. Dopiero wieczorami robiło się smutno, gdy myśleli o domu, o ojcu, który nie ma pracy, o chorej mamie, o tym, że nie ma na doktora... A gdy lży cisnęły się do oczu, Geszel Grozowski wyciągał skrzypce i grał – pięknie i długo, a wszyscy śpiewali hebrajskie pieśni.

I z tych to wakacyjnych przygód pana doktora zrodziła się niezwykła opowieść kolonijna pt. „Moški, Joski i Srule”, której pierwszy odcinek ukazał się w inauguracyjnym numerze dziecięcego pisma „Promyk” (1909). Był to debiut Korczaka jako autora książek dla młodzieży. To on jako pierwszy uczynił żydowskie dzieci pełnoprawnymi bohaterami literackimi i sprawił, że te najczęściej odrzucane istoty stawały się teraz bliskie, budziły sympatię i współczucie.

► Małe królestwo żydowskich dzieci

W 1907 r. z inspiracji warszawskich Żydów zrodziła się wyjątkowa organizacja – Towarzystwo „Pomocy dla Sierot” – które postawiło sobie za cel otoczyć opieką osierocone i najbardziej potrzebujące dzieci wyznania mojżeszowego. Potrzeby były ogromne. Wystarczyło udać się na Dziką, by zobaczyć żydowski sierociniec, gdzie gnieździły się na wpół zdziczałe istoty – przerażone, zapłakane maluchy i rozbestwione łobuzy, a wszyscy nędzni, brudni, chorzy, słowem – skóra i kości... Działka rzucała się na kartofle w łupinach jak stado wylęgających zwierząt. Nie było tu mydła ani ręczników. Łóżka bez pościeli, a pod nimi – kałuże. Wszyscy i świerzb na porządku dziennym. Towarzystwo postanowiło, by natychmiast przeniesie dzieci w inne miejsce, zapewnić im możliwie najlepszą opiekę medyczną i pedagogiczną. Wybór padł na poklasztorny budynek przy Franciszkańskiej, a sieroty trafiły pod opiekę doktorowej Stelli Eliasbergowej, której mąż Izaak był

lekarzem w szpitalu dziecięcym na Śliskiej. Tam też pracował Korczak. Mimo różnicy wieku obydwu połączyła szczerą przyjaźń i pragnienie naprawy świata. I to właśnie Eliasberg wciągnął Janusza do Towarzystwa. Któregoś razu pani Stella zaprosiła młodego lekarza do sierocińca na Franciszkańską. Tego wieczora miał odbyć się popis artystyczny dla miejscowych filantropów. Malcy mają właśnie recytować utwory Kopnickiej o dziecięcej niedoli. Kolejno wychodzą więc na środek i mówią polskie wiersze ćwiczone od tygodni, a tekst podpowiada im młoda nauczycielka, do której tulą się po występie. To Stefania Wilczyńska – niezastąpiona wychowawczyni, dusza sierocińca. W drzwiach zaś stoi szczupły, rudawy i bardzo wzruszony pan w okularach. To Janusz Korczak. W jego biografii jest to moment zwrotny, bowiem już teraz wie, co będzie celem jego życia. Oto poświęci się bez reszty tym małym, spragnionym miłości istotom.

Dlatego też całym sobą wkrótce zaangażuje się w stworzenie Domu Sierot, którym będzie kierował przez trzydzieści lat, a jego bratnią duszą stanie się panna Stefa. Dzięki wsparciu licznych ofiarodawców mógł wybrać dużą parcelę na Woli i rozpocząć budowę najnowocześniejszego jak na owe czasy ośrodka, wyśnionego i wymarzonego przez dzieci: „Ach! Nowy dom, tam będą cuda. Ogrzewać go będą nie piece, a rury żelazne; oświetlać nie lampy naftowe, a jakieś pioruny i druty; dach będzie ze szkła, a może z piernika, może z czekolady. Dzieci windą będą jeździły. Każdy dostanie własne krzesło, szufladkę na rzeczy i własny telefon. [...] Wszystko będzie wolno, o czym dusza zamarzy. Bo zamieszkają z dziećmi i pan Doktor, i panna Stefa”. Wreszcie nadszedł upragniony dzień, 7 października 1912 r., kiedy to dzieci zjechały z wakacji, a w domu roilo się jeszcze od robotników. Wszędzie wałało się wapno, deski i wióry. Pierwszą kolację zjeść musiano przy świecy w suterrenach.

Dzieciom trudno było jednak zaaklimatyzować się w nowym miejscu. Na początku czuły się źle i nieswojo w pięknych salach z lśniącoymi parkietami, w sypialniach z pachnącą pościelą, w nowoczesnych łazienkach z ciepłą wodą i ubikacją. Bo przecież wszystko tak nagle się zmieniło, tłumaczy twórczyni biografii Korczaka: „Własny kubek? Własny ręcznik? Własna szafka? Kąpiel? Pierwszy raz w życiu widziały klozet splukiwany wodą. Nie umiały z niego korzystać. Wstydyli się zapytać. Dziewczynka na widok swego łóżka rozplakała się: »Jak to? Czy ja tu zawsze będę sama spała?«”. Oto Brotman wylał kapuśniak do zlewu i zatkał rurę. Lejbus odkręcił kran i zalał podłogę. Fałka tak bielidłem wyszorowała drzwi, że aż cała farba zesza. Ktoś inny znów wylał słój tranu, popsuł telefon, zasunął szyber i dom wypełnił się gryzącym dymem. I tak „zaczął się rok okropny, jakiego od potopu

nie było” – wyznawał Korczak. Nie dawał jednak za wygraną i każdego dnia uczył się cierpliwości. Poznał życie swych podopiecznych i starał się ich zrozumieć. Przejmował się ich zdrowiem, ważył, mierzył, wysłuchiwał, gdy przychodzili o coś poprosić lub się pożalić, że kolega popchnął, że ma się gwóźdź w trzewiku, że chce się pożyczyć domino lub oddać na przechowanie parę groszy. Wieczorem zaś doktor jedyń-
 wał skaleczenia, podawał syrop na kaszel, smarował wazeliną popękane wargi... i nigdy nie zapominał opowiedzieć bajki na dobranoc. Wreszcie szedł do siebie, ale zaraz panna Stefa wzywała go, bo jednego z chłopców rozbolał ząb i płakał... Musiał więc dać mu lekarstwo, musiał go pocieszyć. Za chwilę rozplakał się ktoś inny, bo coś strasznego mu się przyśniło. Doktor siadał wówczas przy nim i uspokajał: „No, śpij już, śpij, ynsusiu”.

Dom Sierot na Krochmalnej stał się dla Korczaka jego własnym domem, w którym objawił swój niebywały talent pedagogiczny, widząc w dziecku pełnoprawnego człowieka i tworząc samorządną „republikę dziecięcą”. Sprawiedliwości strzegł w niej właśnie sąd. Obowiązywał tu kodeks praw, którego preambuła głosiła: „Jeżeli ktoś zrobi coś złego, najlepiej mu przebaczyć, czekać, aż się poprawi. Ale sąd musi bronić cichych, by ich nie krzywdzili zaczepni i natrętni, sąd musi bronić słabych, by im nie przeszkadzali niedbalcy i leniuchy, sąd musi dbać, by był porządek, bo nieład najbardziej krzywdzi dobrych, cichych i sumiennych ludzi”. Był to zarazem system etyczny Korczaka, który uczył dzieci sztuki przebaczenia, miłosierdzia, poszanowania godności drugiego człowieka. Równie ważnym organem stał się sejm dziecięcy, wybierany w wolnych wyborach i liczący dwudziestu posłów. Zastępował prawa wydane przez Radę Sądową lub je odrzucał, ustalał uroczyste dni w roku, decydował o przyjmowaniu lub wydaleniu nowych wychowanków. Samodzielności i poczucia obowiązku, zdaniem Korczaka, najlepiej uczyła praca, stąd misternie obmyślony system dyżurów obejmujących pomoc w kuchni, pralni, czynności porządkowe, opiekę nad najmłodszymi. Ważną rolę w życiu sierocińca odgrywała gazetka „Tygodnik Dom Sierot”, która była żywą księgą codzienności i budowała poczucie szczególnej więzi między dziećmi a dorosłymi.

► Obrońca ludzkiej godności

Już w pierwszych dniach września 1939 r., gdy nad Warszawą pojawiły się niemieckie samoloty, aż siedem pocisków spadło na Dom Sierot, który cudem ocalał dzięki bohaterskiej postawie dawnego wychowanka, Józefa Sztokmana. Dzień i noc gasił on bomby zapalające na dachu sierocińca. W podziemiach bu-

dynku pomocy rannym udzielała zaś panna Stefa. Korczaka widywano natomiast, jak „odbywa co dzień pod grozą śmierci dalekie marsze z Krochmalnej do Śródmieścia. Podnosi z bruku zagubione, strwożone i często ranne dzieci, niesie je na punkty opiekuńcze i opatrunkowe”.

Przez cały okres okupacji doktor toczył dramatyczną walkę o przetrwanie sierocińca. Na nic się nie ogłaszając, rozpoczął „jałmużnicze wędrówki po mieście”. Pukał do drzwi bogatych żydowskich kupców, polskich fabrykantów, Gminy Żydowskiej, magistratu warszawskiego, słowem wszędzie, gdzie tylko się dało. Apelowal do Polaków i Żydów. Prosił, błagał, żądał, gromił surowo... Kiedy w październiku 1940 r. utworzono getto dla Żydów, trafił wraz z dziećmi do budynku Państwowej Szkoły Handlowej Męskiej na Chłodnej. Okazało się, że podczas przeprowadzki miało miejsce niebezpieczne zajście. Korczak spostrzegł, że Niemcy skradli worek kartofli, będący wówczas prawdziwym skarbem dla sierocińca, i natychmiast udał się ze skargą do władz okupacyjnych. Gdy urzędnik hitlerowski usłyszał, że jest Żydem i odmawia noszenia opaski jako znaku pożałowania, uderzył go w twarz. Zaraz też został aresztowany i przewieziony na Pawiak. Po przesłuchaniach na gestapo zwolniono go na początku grudnia za kaucją, którą wpłacili jego dawni wychowankowie. Zaraz po powrocie kazał zamurować główne wejście do sierocińca. Pragnął za wszelką cenę odciąć dzieci od Niemców, od dantejskich scen, od zła i rozpacz. „Na Chłodnej – jak wspomina Eliasbergowa – życie dzieci zorganizowane było doskonale: zamiast szkoły – dochodzący nauczyciele, a także lekcje Korczaka. Zajęcia codzienne: szwalnia, kilka pożytecznych rozrywek, kukielki, przedstawienie amatorskie dla naszych wychowanków i ich rodzin”. Doktor dwoił się i troił, by zdobyć kartofle, kaszę, mydło, odzież i leki dla swoich. Gorliwie dbał o zaspokojenie ich potrzeb duchowych, o kontakt z Bogiem, o zachowanie żydowskiej tożsamości. Podtrzymywał w nich wiarę, że przetrwają. Pod troskliwą opieką Korczaka nie miały czasu się bać ani myśleć o wojnie, bowiem szczerze wypełniał im rozkład dnia. Światowej sławy bakteriolog Ludwik Hirszfeld, odwiedzający sierociniec, wspominał, że ogarniało go tam „uczucie wyższego świata”, bo doktor „nie chciał jedynie ratować ciał ludzkich, chciał rzeźbić dusze. I udawało mu się to nawet w tym piekle, gdyż dzieci z Domu Sierot były znane w dzielnicy jako uosobienie szlachetności”. Żyło ich tu około dwustu i każde miało swoje problemy, ale też każde wiedziało, że jest kochane. Często zbierały się w dużej sali, gdy doktor opowiadał bajki. Wtedy to zapadała cisza, wszyscy trwali w bezruchu, a on, jak wspomina Helena Merenholt, „mówił prawie szeptem, każde słowo dochodziło do

ostatniego rządu [...]. Coś w tym niepojętego: dzieci zapominały o głodzie i zimnie. To tylko Korczak mógł zaspokoić ich głód poezją, nie chlebem, ogrzać je nie węglem, lecz tętniącą życiem wyobraźnią, humorem, śmiechem i łzami”.

Doktora przejmował do głębi los dzieci wojny umierających z głodu na ulicach. Zwykle trafiały one do przytułku na Dzielnej. „Było to piekło na ziemi – opowiada Hirszfild – [...] Przy wejściu uderzał zapach kału i moczu. Niemowlęta leżały zanieczyszczone, pieluch nie było, zimą moc zamarzała i na tym lodzie leżały zamrożone trupki. Dzieci nieco starsze siedziały po całych dniach na podłodze lub ławeczkach, kiwały się monotennie, jak zwierzęta żyły od posiłku do posiłku, oczekując marnej, zbyt marnej strawy. Szalał dur plamisty, czerwotka. Lekarze nie byli złymi ludźmi, ale nie potrafili opanować niesłychanego wprost złodziejstwa żerującego na tej nędzy”. Korczak, nie mogąc znieść dramatycznej sytuacji w owej „rzeźni dzieci”, postanowił rozprawić się z „kryminalnymi typami udającymi opiekunów”. Wystarzał się o posadę wychowawcy na Dzielnej, by przywrócić względny ład w tym „makabrycznym gmachu tortur”. To, co zastał, przechodziło najśmielsze wyobrażenia, jak podaje Olczak-Ronikier: „Stugłowy personel (z rodzinami kilka setek). Nieogrzewane pomieszczenia. Brak światła. Brak opału. Brak odzieży. Kurtyna przerobiona na pieluchy [...], flagi narodowe na bluzeczki. Brak leków. Odmrożenia. Owrozdzenia. Biegunka. Koklusz. Świerzb. Przede wszystkim głód”. A on ważył, mierzył, opatrywał żywe jeszcze szkielety, pocieszał i dopiero śmiertelnie zmęczony wracał na Sienną, uważając, że nawet w nieludzkich warunkach można być człowiekiem. Na dowód tego przytoczył pewną zaskakującą scenę z Dzielnej:

„– Zatrzymałem się przy łóżku, na którym leżało dziecko. – Myślałem, że chore i o nim zapomnieli. Bo często zdarzało się tak. Nachyliłem się i widzę, że dziecko nie żyje. I w tej właśnie chwili wchodzi mały przedszkolak i kładzie na poduszce zmarłego chleb z marmoladą.

- Po co mu to dajesz?
- Bo to jego porcja.
- Ale on już nie żyje.
- Ja wiem, że nie żyje. [...]
- Więc po co położyłeś chleb?
- Bo to jego porcja”.

► Krwawa machina terroru

I tak nadszedł rok 1942. Sytuacja w getcie stawała się coraz dramatyczniejsza. Doktor, choć sam już słaby i chory, stał niewzruszenie na straży Domu Sierot. Dokonując nadludzkich wysiłków ratowania dzieci od

śmierci głodowej, myślał równocześnie o tym, że los Żydów dopełnia się nieuchronnie. Wokół widział tylko okrucieństwo, głód i śmierć. Zapewne dochodziły go słuchy o Treblince, Bełżcu, Auschwitz, potworne wieści o obozach koncentracyjnych, o paleniu Żydów. I oto, wbrew wszystkiemu, aby zagłuszyć śmiertelny strach, Korczak organizuje przedstawienia teatralne. Pragnie przygotować dzieci na najgorsze, oswoić ze śmiercią. Temu służyć ma wystawienie przez wychowanków dramatu Rabindranatha Tagore pt. „Pocztą”. Było rzeczą wielkiej odwagi, aby pokazać mającym wkrótce zginąć sztukę o umieraniu. Jej bohater to przykuty do łóżka chłopczyk Amal, dla którego jedyną przyjemnością jest oglądanie świata przez okno. Tam dzieci bawią się wesoło, tam roznosi się zapach kwiatów i krzątają się ludzie. On zaś tęskni za tym wszystkim, a tu srogi lekarz zabił okiennice. Chłopiec wyrwa się ze swego więzienia i czeka na obiecaną wolność. Dzieci z sierocińca patrzą w Amala jak w tęczę. Same duszą się w murach getta i tęsknią za pięknym światem. A Amal wciąż czeka na wybawienie i w tym oczekiwaniu słodko pogrąża się we śnie. Doktor patrzył na tę scenę z ciemnego kąta sali, ogarnięty jakimś bezdennym, nieopisanym smutkiem.

Cztery dni po wystawieniu sztuki, 22 lipca 1942 r., rozpoczęła się akcja likwidacyjna getta, dająca początek systematycznej wywóźce Żydów do komór gazowych Treblinki. W pierwszy dzień Niemcy opróżniali szpitale, domy starców, schroniska dla uchodźców i przesiedleńców. Wyprowadzali więźniów z aresztu przy Gęsiej i młodzież z bursy przy Dzikiej. Zbierali z ulic żebraków, bezdomne dzieci, chorych i umierających. Ciągnęli ich siłą, wlekli zapłakanych i krzyczących, stawiających opór i całkowicie uległych. Dostarczali nieszczęśliwych na Umschlagplatz i wypychali do bydlęcych wagonów. Tego dnia do obozu zagłady wywieziono ponad sześć tysięcy osób. Nazajutrz, mimo obietnic, że sierocińców na razie nie ruszą, zabrali dzieci z ośrodków przy Dzikiej i Gęsiej. Błagano o pomoc Adama Czerniakowa, przewodniczącą Rady Żydowskiej, który był jednak bezsilny... Niemcy próbowali wymusić na nim zgodę na ewakuację sierocińców. On wołał jednak zażyć cyjanek niż „własnymi rękoma zabijać dzieci swojego narodu”. W dzień jego pogrzebu Korczak, stając nad świeżą mogiłą, miał powiedzieć: „Bóg Ci powierzył godność Twego narodu i Bogu Ty godność tę przekazujesz”. Tymczasem ewakuowano już całe dzielnice, organizując ich blokady. Obstawiano budynki i bramy. Zewsząd rozlegały się niemieckie krzyki: „Wszyscy mieszkańcy na podwórze! Wysiedleni zabierają ze sobą bagaż wagi 15 kg”. Przetrzęsano klatki schodowe, strychy, piwnice, a wyciągniętych z zakamarków wypychano na czekające już platformy. Sam Doktor kilkakrotnie znajdował się w szponach śmierci i za każdym razem jakimś cudem udawało mu się wyjść cało

z opresji. „Trzy razy policja lub żołnierze niemieccy chwytali Doktora na ulicy i ładowali na »wóz śmierci«, trzy razy zwalniali go bez prośb z jego strony. [...] Opowiadał mi o tym, jak z trudem schodził z »wozu śmierci« zwolniony przez żandarmów, jak policjant odwoływał go, a on – oparty o kij, kuśtykał do Domu Sierot” – wspominała Eliasbergowa.

Krwawa machina terroru wciągała w swe tryby wciąż nowe ofiary. Minął tydzień. Ita Dimant odnotowała wstrząsające zdarzenia z 29 lipca, kiedy na kilka godzin wpuszczono do getta dwustu Ukraińców i Łotysz – szalejących, mordujących i plawiących się w ludzkiej krwi, a żydowscy policjanci, patrząc na masakrę, nie byli w stanie nic zrobić. Niemcy, próbując zwabić na Umschlagplatz umierających z głodu Żydów, obiecali każdemu, kto stawi się tam dobrowolnie, 3 kilogramy chleba i kilogram marmolady. Dlatego rzesze wygłodniałych ciągnęły na Umchlagplatz, bo, jak pisze Marek Edelman, „czują smak tego chleba, już widzą tę brązową skórkę. Sam zapach odurza i zabija wszelkie wątpliwości”. Tymczasem ostatniego lipca w Domu Sierot szykuje się wieczerza szabatowa: zamiast chałek dwie białe bułki, mąka, tłuszcz i proszek jajeczny rozpuszczone w wodzie tworzą coś w rodzaju rosółu, małe rybki zastępują karpia po żydowsku, a deser stanowi kasza z gotowaną marchwią słodzoną melasą. Podczas gdy głód szalał wokół, odbywała się tu prawdziwa uczta. Już dużo wcześniej dzieci poczyniły odpowiednie przygotowania. Pocerowały swoje ubranka, poprzyszywały naderwane guziki. Nakryły stół białym obrusem i zapaliły świece. A po uroczystej wieczerzy przyszedł czas na bajki Doktora – może o kocie w butach, a może o świcy chanukowej, co pocieszała sierotę, że nie jest sam na świecie, bo żyje w nim szukanie grobu rodziców, tęsknota, czekanie, przeszłość i przyszłość...

► Ostatnia podróż

Z początkiem sierpnia akcja likwidacyjna przybrała na sile. Teraz wzięli w niej udział sami funkcjonariusze SS wspierani przez Ukraińców, Łotysz i Litwinów. „Były to dni straszne – wspominała Eliasbergowa – grozy ich nie można sobie wyobrazić. Polowanie na ulicach na dzieci, na kobiety, chwytanie ich i brutalne rzucanie na »wozy śmierci«. Doktor Korczak do ostatniej chwili ludził się, że bestialstwo Niemców nie dosięgnie jego sierocińca. Robił wszystko, by nauka i zajęcia w Domu Sierot odbywały się zwykłym trybem, by dzieci nie wpadły w panikę i nie straciły nadziei na ocalenie. Liczył w duchu, że Abraham Gepner, przewodniczący wydziału zaopatrzenia, doprowadzi do utworzenia w ich domu „szopy”, tj. fabryki pracującej dla Niemców. Stało się jednak inaczej. Korczak i jego dzieci podzielić miały los tysięcy Żydów gnanych na

Umschlagplatz. Świadkiem ich pochodu był Władysław Szpilman, słynny pianista, który cudem ocalał z zagłady:

„Dzieci miały zostać wywiezione same, jemu zaś dawano szanse uratowania się i tylko z trudem udało mu się przekonać Niemców, by zezwolili mu towarzyszyć dzieciom. Spędził z nimi długie lata swojego życia i teraz, w ich ostatniej drodze, nie chciał ich pozostawić samych. Chciał im tę drogę ułatwić. Wy tłumaczył sierotom, że mają powód do radości, bo jadą na wieś. Nareszcie mogą zamienić wstrętne, duszne mury na łąki porośnięte kwiatami, na źródła, w których można się kąpać, na lasy, gdzie jest tak wiele jagód i grzybów. Zarządził, by ubrały się świątecznie i tak ładnie wystrojone, w radosnym nastroju ustawiły się parami na dziedzińcu. Małą kolumnę prowadził SS-man, który jak każdy Niemiec kochał dzieci, a szczególnie te, które zaraz miał wyprowadzić na tamten świat. Wyjątkowo spodobał mu się dwunastoletni chłopiec – skrzypek, który niósł swój instrument pod pachą. Rozkazał mu wyjść na czoło pochodu i grać. Tak ruszyli w drogę. Gdy spotkałem ich na Gęsiej, dzieci, idąc, śpiewały chórem, rozpromienione, mały muzyk im przygrywał, a Korczak niósł na rękach dwoje najmłodszych, także uśmiechniętych, i opowiadał im coś zabawnego”.

Ale jest też zgola inny, bardziej prawdopodobny obraz idących na śmierć, który wyłania się z opowieści Marka Rudnickiego:

„Atmosferę przenikał jakiś ogromny bezwład, automatyzm, apatia. Nie było widocznego poruszenia, że to Korczak idzie, nie było salutowania, [...] na pewno nie było interwencji posłańców Judenratu – nikt do Korczaka nie podszedł. Nie było gestów, nie było śpiewu, nie było dumnie podniesionych głów [...]. Była straszliwa, zmęczona cisza. Korczak włókł nogę za nogą, jakiś skurczony, mamlął coś od czasu do czasu do siebie. [...] wydawało mi się, że mamrocę słowo »dlaczego«. [...] Nie były to chwile filozoficznych refleksji: to były chwile tępej, milczącej rozpacz bez granic; już bez pytań, na które nie ma odpowiedzi”.

Można sobie tylko wyobrazić, jak Korczak wsiadł pierwszy do bydlęcego wagonu, a za nim dzieci, wychowawcy i pracownicy sierocińca. I tak w zaryglowanym pociągu rozpoczęła się ich ostatnia podróż – podróż ku śmierci. Powszechnie widziano w nim bohatera, choć on jednak nigdy się nim nie czuł. Uważał, że służba najmłodszym jest jego najwyższym powołaniem i misję tę wypełniał niezmordowanie do końca swoich dni, do ostatniego tchnienia. Dzieci były zawsze światłem jego życia, a wspólnie z nimi przeżyta droga – droga do słońca. ■

Źródło: Joanna Olczak-Ronikier, „Korczak. Próba biografii”, Warszawa 2011.

Piotr Lisiewicz

Okrucieństwo i propaganda – to dwa elementy polityki Moskwy, które odgrywają w niej rolę, jakiej nie przypisuje im żadne inne państwo na świecie. Jak one działają, nasze pokolenie – a przynajmniej ta jego myśląca część – przekonało się po 10 kwietnia 2010 r. To doświadczenie, którego nie wolno zapomnieć, bo ta wiedza jest bronią, utrudniającą użycie tamtych metod po raz kolejny.

Dziś w „Retrospekcjach” krótki tekst o sowieckim okrucieństwie i to nie byle jakiego autora, bo Janusza Korczaka. Korczak i Niemcy – to skojarzenie mają u nas nawet dzieci, ale jego wypowiedzi o Rosji sowieckiej są niezbyt znane. Właściwie to

nie tekst, a odpowiedź na ankietę „Wiadomości Literackich” z 1933 r. Mocna, bo będąca relacją dotyczącą okrucieństwa w stosunku do dzieci, którego Korczak był świadkiem w 1917 r. Na dzieciach tych dokonywano wiwisekcji, czyli zabiegów operacyjnych wykonywanych na żywym organizmie w celach badawczych.

A potem tekst o moskiewskiej propagandzie i zapuszczaniu przez nią korzeni w duszach podbitych narodów, który ukazał się zaledwie dwa lata później, bo w 1919 r. na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”. Edward Ligocki, pisarz związany z generałem Józefem Hallerem, zatytułował artykuł nie bez powodu „Czerwony obłąd”.

Janusz Korczak

Janusz Korczak

o sowieckim okrucieństwie

Dzieciom, pokrytym wrzodami, z chorymi oczami, bez opieki, głodnym – przysłano instruktorkę haftu regionalnego. Po dziś dzień wyzwolić się nie mogę z pewnych uprzedzeń i wstrętów, w on czas nabytych. Mój upór był niewygodny. Tym samym rewolwerem, którym przed godziną zastrzelono parszywego konia, dano mi do zrozumienia, że jestem nie na miejscu.

ANKIETA „Wiadomości Literackich”: Literatura sowiecka – Eksperyment komunistyczny – Zbliżenie polsko-rosyjskie.

Z trzech punktów ankiety wybieram drugi. Jeden ważny moment poruszyć pragnę... Eksperyment na olbrzymią skalę...

Był czas, gdy z impetem atakowano prawo biologów do wiwisekcji nad zwierzęciem. Widziałem własnymi oczami zaranie dokonanej na dziecku wiwisekcji w Rosji.

Kijów. Chaos. Wczoraj bolszewicy – dziś Ukraińcy – zbliżają się Niemcy – jeszcze Rosja carska.

W okresie tym, pamiętnym, byłem lekarzem w trzech sierocińcach pod Kijowem. Już wokoło ziało wszystko hamowaną zbrodnią. Jakże naiwne wydają się dziś moje poczynania, aby plan, ład, uczucie ludzkie – źródło zdrowego rozsądku, cięć dobrej woli – aby oszczędzić dziecko. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to wszystko.

Dzieciom, pokrytym wrzodami, z chorymi oczami, bez opieki, głodnym – przysłano instruktorów haftu regionalnego. Po dziś dzień wyzwolić się nie mogę z pewnych uprzedzeń i wstrętów, w on czas nabytych.

Mój upór był niewygodny. Tym samym rewolwem, którym przed godziną zastrzelono parszywego konia, dano mi do zrozumienia, że jestem nie na miejscu i nie w porę. Bezełowość walki była zbyt wyraźna.

Wróciłem do Polski. Już tylko z książek, filmów, opowiadań, pism posiadam niejaki doświadczenie w czytaniu między wierszami: co ocieka fałszem, syczy propagandą, co zatajaniem okrutnej prawdy.

Wiwikacja jest zbrodnią. Dopuszczalna (nie usprawiedliwiona) w laboratorium, gdzie przy najwyższej czujności pod kontrolą najistotniejszej kompetencji, w granicach tylko najkonieczniejszego okrucieństwa – odbywa się dla najowocniejszej służby, ważnej dla całej przyszłej ludzkości. (Czy wyłącznie ludzkości? – człowiek odpowiedzialny jest za zwierzęta, rośliny i bodaj kryształ z ich odrębnym życiem).

Revolucja nie zna miłosierdzia.

„Metody realizacji”. – Tyle ich być musiało, ile prób, doktryn, niedojrzałych odruchów, drapieżnych ambicji, obłądów zwyrodniałej wyobraźni; ile majaczyń i snów – szczerzego entuzjazmu, bohaterskiego rozmachu, wiary zaciętej, woli niezniszczalnej, dobroci, współczucia, poświęcenia; ile bierniej uległości, uzgodnień, pośrednich dróg – buntów i rezygnacji.

Jakie bieżące wyniki eksperymentu, który trwa?

Zapytuje:

1) czy i w jakim stopniu czuwała chłodna myśl badawcza w przebiegu eksperymentu? kto okrutnie trzeźwy i wyszkolony, świadomie i bezstronnie zbierał dokumenty, klinicznie szeregował fragmenty i epizody – i dzieci i wychowawców, badał oddech, tętno, odruchy, drgawki i agonie – łzy, jęki i wiwaty?

2) gdzie przechowuje się ten materiał?

3) kto próbował dotrzeć i poszukiwał syntezy? – snuł domysły, kuśił się o wnioski?

Jacyś referenci prasowi przy ambasadach, delegaci biur, coś przy Lidze Narodów, zjazdy i zrzeczenia pedagogów, psychologów, pedologów, psychiatrów? (...)

Przedruk za: „Wiadomości Literackie”, 8 października 1933 r.

Edward Ligocki

Czerwony obłąd

Najcharakterystyczniejszym przejawem zachłannej propagandy bolszewickiej był... „pociąg agitacyjny imienia tow. Lenina”. Pociągów takich i parostatków jest podobno kilkanaście w czerwonej Rosji. „Pociąg Lenina” wyglądem swoim zwraca uwagę. Cały jest pstro pomalowany i udekorowany zewnątrz i wewnątrz arcydziełami futurystów rosyjskich. Zjawiwszy się w danej miejscowości, ów skomplikowany aparat wywołuje sensację nie tylko widokiem swoim, ale i odpowiednio pomyślaną muzyką, dźwiękiem gongów i jęczeniem syren.

Wir wielkiej wojny rzucił mnie na Zachód, zamknął w orbicie państw koalicji i siłą rzeczy zmusił do obcowania z tym lepszym i wyższym moralnie środowiskiem myślowym, które ogniskowało się w Paryżu i w Szwajcarii. Charakter działalności mojej, zarówno dyplomatycznej jak i literackiej, miał przez to samo za główną wytyczną stosunek Polski do Francji i narodów Zachodu. Z tym większą ciekawością starałem się przyrzeć szczątkom ideowego barbarzyństwa azjatyckiej Rosji czerwonej, wypisanym na murach Mińska i ziem białoruskich. [...]

► Odruchowy wstręt do wszystkiego co rosyjskie

Ludnością ziem białoruskich, światem żywej legendy i wcielonego anachronizmu zająłem się w moim szkicu powieściowym „Pustkowie” (którego drugie wydanie rychło wyjdzie w Krakowie). Ale nie są to zagadnienia żywotne. Wielkie wstrząśnienia wojny niewątpliwie zburzą niejedno ogniwo z pośród bogactw białoruskiego folkloru. Polskość budząca się w ten naród wpływy czasów ubiegłych. Ślady Rosji czynowniczej zginąć winny co rychłej, aczkolwiek długo jeszcze trzymać się będą uparcie i zaciekle. Całym kompleksem wymienionych tematów nie mam zamiaru zajmować się w pracy niniejszej. Chodzi mi tylko o wypowiedzenie szeregu uwag, które mi się nasunęły w związku z podróżą moją na Litwę.

Zaznaczam z góry, że usiłowaniami moimi było przezwyciężenie w sobie odruchowego wstrętu, który czuję do wszystkiego, co rosyjskie i co nosi cechy mniej lub więcej wyraźnej dostojewsczyzny. Uważam, że Polak, a zwłaszcza autor polski powinien się nieustannie kontrolować pod tym kątem widzenia,

zważywszy intelektualną ofensywę podjazdową rosyjską, wymierzoną od długich dziesiątków lat przeciw z gruntu zachodniej i romańskiej polskości.

Odzywa się tu we mnie uczeń prof. Mariana Zdziechowskiego, który, prócz wielu innych momentów zasadniczych ogólnego rozwoju myślowego, zawdzięcza przede wszystkim swemu nauczycielowi świadomość intelektualnego niebezpieczeństwa wsącżącej się do nas, wręcz nam obcej rosyjskości pojęć i metod, groźniejszych dla dorobku naszej kultury, niżeliby się zdawać mogło.

Porównanie i możliwość porównania jest dla mnie zasadniczym punktem wyjścia w niniejszych uwagach. Obserwacja wyników wojny we Francji jest mi w tym wielce pomocną. Pustynia, którą widziałem w północnych i wschodnich departamentach Francji, gruzy na brzegach Sambry i Mozy, strzaskane lasy Argońskie, zgłiszczą i popioły w Reims – wszystko to jest bez końca inne. Nasze wsie poniszczone nad Bzurą, w Łomżyńskim – ślady przejścia Germanów – wszystko to posiada wybitną analogię ze świeżą uczynioną pustynią artezyjską we Francji. I tu i tam przeszedł wróg nieubłagany, który niszczył i burzył, ale który prócz niezliczonych szkód materialnie pojętych nie pozostawił żadnego śladu w duszy człowieka, nie wzbudził nic prócz nienawiści – prostej, jawnej odrazy, średniowiecznie pojmowanej wrogości. [...] Zniszczenie, chęć odwetu, słuszną obrońcą – są to rzeczy znane z wojen odległych – nie wiąże się bowiem z nimi pojęcie wojny duchowej, zamachu na intelektualną wolność człowieka, dążenie do wszczęcia jadu wewnętrznej rozterki i do zburzenia całej konstrukcji światopoglądu społecznego i indywidualnego jedności.

► Zapuszczanie korzeni

Rzeczą uderzającą na gruzach pokonanego oręża bolszewizmu są korzenie jego, zapuszczone głęboko w podłoże intelektualne rządzonego przez się – nawet przez czas krótki – społeczeństwa danego kraju. Od pierwszej chwili na Litwie i Białej Rusi miałem wrażenie, że dla czerwonej armii rzeczą wtórną jest sprawa orężna i powodzenie wojskowe. Przede wszystkim chodzi tam o dokonanie zasiewu ideowości własnej, o wśliźnięcie się do jaźni ludzkiej.

Potwierdzeniem bezpośrednim wspomnianego wrażenia była dla mnie garść obserwacji, które zebrałem w zdobytej przez wojsko polskie drukarni sowieckiej w Mińsku, zasypanej drukami, rękopisami i śladami niezwykle intensywnej propagandy. Z wielkim zainteresowaniem rozmawiałem ze

współpracownikami drukarni, Polakami, którzy dla chleba pracować musieli u władz sowieckich.

Najcharakterystyczniejszym przejawem zachłannej propagandy bolszewickiej był oglądany przez moich znajomych mińskich „pociąg agitacyjny imienia tow. Lenina”. Pociągów takich i parostatków jest podobno kilkanaście w czerwonej Rosji. „Pociąg Lenina” wyglądem swoim zwraca uwagę. Cały jest pstro pomalowany i udekorowany zewnątrz i wewnątrz arcydziełami futurystów rosyjskich. Zjawia się w danej miejscowości, ów skomplikowany aparat wywołuje sensację nie tylko widokiem swoim, ale i odpowiednio pomyślaną muzyką, dźwiękiem gongów i jęczeniem syren. Zbierającą się ludność zapraszano uprzejmie do wnętrza, częstowano jedzeniem i napojami – puszczano wreszcie w ruch kinematograf, gramofony, urządzano odczyty i koncerty. Wszystko to przy obfitym poparciu rozdawanej hojnie „bibuły” wrażało się w pamięć ludności, stwarzało pewien punkt zwrotny w szeregu przypomnień. Wybitni artyści i uczeni współpracowali w takich pociągach i parostatkach agitacyjnych, włączając się wszędzie i zatrzymujących się byle gdzie, między stacjami, byle w bliskości siedzib ludzkich. Fantastyczne zjawisko rzucało zasiew myślowy i przepadało, zostawiając w prostym umyśle chłopca zdumienie i szereg cisnących się refleksji.

Nie wiem, czy znajomi moi, którzy taki „pociąg Lenina” widzieli przy pracy i opowiadali mi swoje wrażenia, przeceniali ważkość tak zorganizowanej propagandy, czy też nie. W każdym razie ja miałem, słuchając ich, wrażenie zrealizowania podanej przez K. W. Woycieckiego w „Klechdach” legendy o „Dziwczynie Cichej i dziewczynie Kani”, zwolujących dzieci po wioskach w ramiona śmierci. Dziewczyna Kania grozą i dotknięciem chusty zadziwionej posiewem trupów i zgłiszcz czerniejących, dziewczyna Cicha pieścizną, kwiatami, słodyczami i śpiewem: czrezwyczajka i propaganda, a za tym wszystkim potwór, wszechniszczący Homen czerwonej armii.

► Oaza azjatycka

Mińsk zawsze był miastem rosyjsko-litewskim, skoncentrowaniem najwstrętniejszych przejawów całego regime'u dawnej Rosji w zastosowaniu do kresów polskich. Ogólna fizjognomia Mińska prawie się nie zmieniła. O ile na wsi i w małych miasteczkach czułem się w Polsce, u siebie – o tyle w Mińsku miałem wciąż nieprzeparte wrażenie, że znajduję się w zdobytej przez nas wysuniętej naprzód placówce rosyjskości, tworzącej oazę azjatycką pośród ziem polskich. Na każdym kroku spotyka się w tym mieście twarze, znane z obozów jeńców bolszewickich, o typie semickim przeważnie – lu-

dzi w resztkach różnych mundurów świata, niemytych, niestrzyżonych, patrzących wilkiem i niewątpliwie gotowych wbić każdemu Polakowi nóż w plecy przy pierwszej sposobności.

Dziwna jest atmosfera w tym rozrzuconym po wzgórzach Mińsku. Jest jakieś rozluźnienie wszelkiego ładu społecznego, pomimo energicznej administracji wojskowej. Ów wspomniany przeze mnie wyżej antypatyczny charakter włóczącej się po mieście ludności jest może jednym z najwymowniejszych argumentów przeciw tętniącej wciąż jeszcze propagandzie sowieckiej. W Mińsku widzi się najlepiej, jacy ludzie chcieli świat zbawić i jakimi rękoma w czyn miały być wprowadzone najhumanitarniejsze fikcje, na jakie świat się zdobył w latach ostatnich.

Nasuwa mi się tu paradoks, że o ile by w ruchu czerwonoogwardyjskim mniej był reprezentowany ów najgorszy element semicki i o ile by silna ręka ideologów bolszewizmu zgniotła przede wszystkim ów ich wewnętrznie rozkładowy pierwiastek – to zachłanność kroczącego ku nam ze Wschodu ruchu rewolucyjnego wzrosłaby znacznie i stała się niebezpieczniejszą dla świata. Być może, że siła polskiej odporności dzisiejszej wywołana została najściem litwackim po roku 1905. Zobaczyliśmy wtedy jeszcze i zrozumieliśmy. Zrozumieliśmy to, czego w nas nie rozumie cały Zachód – i co dopiero świat zaczyna w głowach profesorów oxfordzkich i tych wszystkich, którzy studiowali kwestię litwacką (zaznaczam litwacką, nie żydowską) w dzielnicy Whitechapel w Londynie.

Zastanawiałem się długo nad tym, jaką rolę gra pierwiastek aryjski w odporności na idee Wschodu. Tyle razy powtarzano już o dziejowym posłannictwie Polski, a jednak, w dniu dzisiejszym, wojna nasza na Litwie przybiera kształt i charakter owej niezapomnianej bitwy pod Legnicą, ratującej świat cały od zalewu czerni mongolskiej.

► Nowy Dżyngis-chan

Walka z tą czernią jest dziś o tyle niebezpieczniejsza, że Dżyngis-chan nowy posługuje się całym arsenałem europejskiej kazuistyki, dialektyki, broni ideowej i naukowej, przemycającej pod płaszczykiem wysokiej treści moralnej powiew zadżumionej azjatyckiej pustyni. Dlaczego propaganda ta jest tak silna i, powiedzmy otwarcie, kusząca? Dlaczego na grobach, w Mińsku, opadły mi różne myśli, złe i natrętne, jak osy? Gdzież jest ta zbroja, ten miecz, to drzewo poznania dobrego i złego?

Zastanówmy się nad ideową logiką dziejowego przewrotu. Poszukajmy analogii w przeszłości. Otóż, każda religia ludzkości przelała morze krwi. Nieuniknioną towarzyszką wielkiej rewolucyjnej idei jest krew. Najbardziej czysta i wielka z religii świata

– chrześcijańska – pomimo całej potęgi miłości i bezkrwawej ofiary pochłonęła tysiące istnień ludzkich nie tylko w Rzymie, za Cezarów, nie tylko w krajach pogańskich, ale i w środowiskach własnych, w Hiszpanii, Francji, Szwajcarii, w późnym średniowieczu. Przewrotowa wielka rewolucja francuska pławiła się również w posołe mordowanych tłumów, a jednak wyszła z niej nowa epoka.

W ten sposób właśnie konstruuje się karkołomna drabina przesłanek, które doprowadzają do zezwolenia, że pierwsze ziarno zwątpienia, pierwszy kielek fałszywego uogólnienia nabiera w umyśle ludzkim prawa obywatelstwa. „Na gruzach Rosji powstaje nowe credo ludzkości” – powiadają ci wszyscy, którzy się bezkrytycznie echom propagandy azjatyckiej poddali. Dlaczego?

► Żółkiewski kazałby strzelić w łeb

Czy dlatego, że wszelkie idee rodzą się w potokach krwi, to z każdej masowej zbrodni wykwitnąć winna wielka idea? Czy wzbogaciły świat najścia mongolskie i krwawy napad Attyli?

A jednak – powtarzam i podkreślam z naciskiem – że ów powiew ze Wschodu, zbrojny w podstęp moralny, ma coś z uroku dziewczyny Cichej, idącej zabijać dzieci po wioskach – uśmiechem i słowem kuszącym.

Czułem to jak nigdy, kiedy zabierałem z grobów, na Litwie, wyblakłe wstążki czerwone, z napisami: krowawaja miest bielogwardiejcam! Nie było to świętokradztwem, chociażby dlatego, że wstążki te brałem dla Rapperswillu i że w ogóle szanuję wszelakich ludzi umarłych. Był w tym wszystkim moment zasadniczo różny: oddech infiltrującej się w serce ludzkie czerwonej zarazy. W średnich wiekach nazywano to kuszeniem szatana.

Trudno zaiste dojść do innej koncepcji na grobach polskich bohaterów i sowieckich szermierzy idei – bo przecież wśród tych, z honorami chowanych, byli również ludzie godni szacunku. Tam, nad Berezyną, Dźwiną i Dnieprem, na polach kości polskiego rycerstwa zasłanych, zeszły się dzisiaj dwa światy, zmagające się z sobą nie tylko o rządy ciał ale i o rządy dusz.

Zrozumiawszy to, nie wolno nie zastanowić się: czyśmy duchowo nie za słabi i chwiejni?

Czy wolno w ogóle zastanawiać się nad wartością moralną grożącej nam zdegenerowanej dziczy rosyjskiej? Nie, nie wolno. Nie wolno przede wszystkim dlatego, że gdyby wstał z grobu Żółkiewski, toby takiemu żołnierzowi w łeb kazał strzelić, a sam by zaatakował polski sztandar na Kremlu.

Przedruk za: „Tygodnik Ilustrowany”, nr 45/46, 1919 r. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.

Po Eurowizji życie nabrało zawrotnego tempa





W mojej rodzinie obowiązywały proste zasady: jak chcesz śpiewać, to śpiewaj! Myślisz, że coś potrafisz? Udowodnij to! Najważniejsze to kochać, co się robi. Nawet najbardziej utalentowani ludzie muszą ostro zapracować na swój sukces – z Jamalą, ukraińską piosenkarką krymskotatarskiego pochodzenia, zwyciężczynią ubiegłorocznego konkursu Eurowizji, rozmawia Olga Doleśniak-Harczuk.

fot. Britta Pedersen/BAP/DPA

► **W styczniu spotkałyśmy się na Berlin Fashion Week, pasjonujesz się modą?**

Lubię nosić piękne ubrania, szczególnie te spod igły ukraińskich projektantów, z którymi dobrze mi się współpracuje. Oczywiście przyglądam się nowinkom z wybiegów, ale nie gonię za trendami. W moim życiu pierwsze skrzypce gra muzyka.

► **Po Twoim zwycięstwie w Eurowizji podkreślano, że wystąpiłaś na scenie w tradycyjnym stroju Tatarów krymskich. Kto go zaprojektował?**

To nie była do końca tradycyjna suknia Tatarów krymskich, miała natomiast pewne elementy charakterystyczne dla mojego regionu, m.in. specjalne okrycie i hafty. Z wyborem tej sukni łączy się ciekawa historia. Ukraińska edycja magazynu „Vogue” ogłosiła konkurs dla ukraińskich projektantów mody, mieli oni zaprezentować swoje pomysły na eurowizyjny strój. Z wielu projektów najbardziej spodobał się nam ten autorstwa Ivana Frolova, z którym już wcześniej zresztą miałam okazję współpracować.

► **Porozmawiajmy o muzyce. Nad czym aktualnie pracujesz?**

Pracuję nad nowym singlem „I Believe in U”. Planujemy wypuścić go na wiosnę i zaprezentować podczas mojego występu na tegorocznej Eurowizji w Kijowie, a wcześniej – na koncercie solowym między drugim półfinałem a finałem imprezy. Koncert odbędzie się w Pałacu Sportu w Kijowie, jeszcze nigdy wcześniej nie występowałam solo przed tak dużą publicznością [hala Pałacu mieści do 6 tys. osób].

► **Kariera muzyczna to nie tylko kroczenie własną ścieżką, lecz także ludzie, którzy nas inspirować, zanim postawimy na niej pierwsze kroki. Którzy muzycy inspirowali Cię jeszcze 10 lat temu, a którzy pozostali źródłem inspiracji do dziś?**

Jakbym chciała wymienić nazwiska wszystkich twórców sceny muzycznej, którzy byli i są dla mnie natchnieniem, musiałybyśmy temu poświęcić cały wywiad. Jestem wielką fanką muzyki. Odkąd sięgam pamięcią, muzyka pochłaniała mnie bez reszty. Najświeższym zauroczeniem jest nowa płyta Radiohead „Moon Shaped Pool”, po prostu genialna! A bardziej ogólnie – nigdy nie byłam przywiązana do jednego gatunku muzycznego, słuchałam muzyki klasycznej, ale były też funk, soul, jazz, pop, nieco

później rock i muzyka elektroniczna. Cieszy mnie, że granice między stylami coraz bardziej się zacierają. Ostatnio dużo słucham takich twórców, jak James Blake i Paolo Nutini, Honne.

► **A co z tekstami? Zawsze sama je piszesz?**

Większość tekstów moich piosenek napisałam sama. Ale w repertuarze mam też teksty stworzone we współpracy z innymi autorami. Najnowszą piosenkę piszę wspólnie z brytyjską autorką tekstów Marią Q, która współpracuje też z Anastacją.

► **Wróćmy do zeszłorocznej edycji Eurowizji. Wygrałaś w niesamowitym stylu, a piosenka, a raczej pieśń, która dała Ci pierwsze miejsce, nawiązywała do lat 40. XX wieku, do deportacji ponad 240 tys. Tatarów z Krymu z rozkazu Stalina. Co zadecydowało, że wystąpiłaś na Eurowizji z tak mocnym, poważnym tekstem?**

Tekst tej piosenki powstał dwa lata temu, ale historię, którą opowiada, nosiłam w sobie od dziecka. Zainspirowała mnie opowieść, którą opowiedziała mi moja prababcia. Historia tragedii, jaka przydarzyła się mojej rodzinie i wszystkim krymskim Tatarom w 1944 roku. Mam na myśli deportację Tatarów z Krymu na tereny Azji Centralnej, zbrodnię popełnioną przez władze sowieckie, które załadowały ludzi jak zwierzęta do bydłych wagonów. Tatarzy jechali zamknięci całymi tygodniami bez wody i pożywienia. Tych, którzy nie mieli sił, by walczyć o życie, wyrzucano. Umierali, leżąc na ziemi. Moja prababcia straciła podczas tego transportu jedną z córek. Za każdym razem, gdy wykonuję ten utwór, czuję ból. To bardzo osobista pieśń. Śpiewam ją w imieniu wszystkich krymskich Tatarów, ponieważ każdy z nich ucierpiał na skutek tamtych wydarzeń. Bardzo mi na tym zależało, by ludzie z innych państw dowiedzieli się, że była taka historia, że Tatarzy krymscy cierpieli, i chciałam, by świat o tym wydarzeniu już nie zapomniał. Tragedia, która się wtedy wydarzyła, nie powinna się powtórzyć już nigdy więcej żadnemu innemu narodowi. Nawet w mojej ojczyźnie świadomość tego wydarzenia była nikła, ale po Eurowizji to się zmieniło, wieść rozniosła się po Ukrainie i poza jej granice.

► **Myślisz, że Twoje przesłanie przebiło się do publiczności?**

Jestem pewna! Dla wielu osób ta piosenka nie dotyczy wyłącznie deportacji krymskich Tatarów, ale wszystkich narodów, które doznały opresji i tragedii

ludobójstwa. Po Eurowizji otrzymałam setki wiadomości od ludzi z całego świata, niekoniecznie związanych z krymskimi Tatarami. Pisali w listach, że kiedy słuchali „1944”, czuli, że ten utwór mówi o nich i ich przodkach.

► **„1944” to niejedyny utwór w Twoim repertuarze nawiązujący do bolesnych rozdziałów historii. Jaka opowieść kryje się za balladą „Chomu Kvity Maiut Ochi” („Dlaczego kwiaty mają oczy?”)?**

Napisałam ten utwór pod wrażeniem historii opowiedzianej w filmie „Przewodnik”, gdzie zagrałam rolę piosenkarki jazzowej, Olgi. Film jest dramatem historycznym, opartym na faktach 1932 roku, kiedy reżim stalinowski przygotowywał Holodomor [wielki głód – przyp. red.]. Z uwagi na historyczne wydarzenia na Ukrainie ta piosenka w ostatnim czasie nabrała nowego znaczenia. Kiedy dziś jej słucham, zdaję sobie sprawę, że została napisana o tym, co dzieje się aktualnie. Płynie też z tego nadzieja.

► **„1944” inspirowała innych muzyków, powstały instrumentalny cover na pięć akordeonów, wersja na pianino, skrzypce i wiele innych. Twój utwór dostaje z każdym coverem nowe życie, jakie to uczucie dla twórcy?**

Dobre covery są dla autorów piosenki zawsze powodem do wzruszenia. Ponieważ to oznacza, że twoja muzyka działa inspirująco nie tylko na wiernych fanów, lecz także na innych muzyków. I to jest cudowne uczucie.

► **W teledysku do piosenki „Szlach do domu” („Droga do domu”) widzimy Twoją wędrowkę z miasta do rodzinnych stron. Gdzie dziś czujesz się naprawdę u siebie?**

Moja ojczyzną jest Krym. Tam dorastałam, tam przyszli na świat moi pradziadkowie, dziadek zasadził ogród figowy, a pradziadek wykopał studnię. Rodzina jest dla mnie bardzo ważna, jesteśmy ze sobą zżyci, dużo rozmawiamy. Poza Krymem jest jeszcze Kijów, gdzie spędziłam wiele lat i gdzie też czuję się już jak w domu.

► **Jakbyś miała wymienić dwie najważniejsze rzeczy w Twoim życiu, to byłyby to...**

Moja rodzina i muzyka.

► **Jak zmieniło się Twoje życie po Eurowizji?**

Przez te ostatnie jedenaście miesięcy wiele się wydarzyło. Wróciłam z trasy koncertowej dookoła Ukrainy, w jej ramach dwa razy występowałam w Kijowie, w największej sali koncertowej w kraju. Bilety sprzedawały się w kilka godzin! Na przełomie czerwca i lipca występowałam na kilku międzynarodowych imprezach muzycznych, w tym w Polsce i w Niemczech, wystąpiłam na głównym placu Wilna, do Londynu zaś pojechałam prosto ze Sztokholmu, gdzie zaproszono mnie do udziału w największym telewizyjnym show Szwecji.

W sierpniu dałam kilka koncertów w Stambule, a wytwórnia Universal Music Group wydała moją płytę „1944” w Europie i Stanach Zjednoczonych. Później zaproponowano mi rolę trenera w programie telewizyjnym „The Voice”, jako juror oceniałam też ukraińskich muzyków, którzy zgłosili się do tegorocznej edycji Eurowizji. Jak więc widzisz, moje życie to ostatnio nieustanny bieg.

NIE ZNOSZĘ KONKURSÓW I NA PEWNYM ETAPIE SAMA SOBIE OBIECYWAŁAM, ŻE JUŻ NIGDY WIĘCEJ NIE WEZMĘ UDZIAŁU W ŻADNYM Z NICH. ALE MY SOBIE, A ŻYCIE SOBIE. PODESZŁAM DO KONKURSU EUROWIZJI.

► A co do tej pory nazwałabyś największym wyzwaniem muzycznym i aktorskim w swojej karierze?

Jeżeli chodzi o muzykę, to bez wątpienia występ na Eurowizji. Szczerze mówiąc, nie znoszę konkursów i na pewnym etapie sama sobie obiecywałam, że już nigdy więcej nie wezmę udziału w żadnym z nich. Ale my sobie, a życie sobie. Podeszłam do konkursu Eurowizji. Najtrudniejsze było wytrzymać ten niekończący się wyścig, przed konkursem, a następnie w jego trakcie. To było trudne i wymagające, w sensie psychicznym. Nie wiele osób zdaje sobie sprawę, że podczas Eurowizji utwór wykonuje się aż 13 razy. Wyobraź sobie, jak trudno przy takim tempie nie poczuć się wypalonym i za każdym razem wykonać piosenkę w taki sposób, by porwać publiczność jak za pierwszym razem.

Co się tyczy wyzwań na planie filmowym, moje doświadczenie w tej dziedzinie jest niewielkie. Zagrałam do tej pory tylko raz. Wcieliłam się w postać

Olhi Levytskiej w dramacie „Przewodnik”, w reżyserii Olesa Sanyny. To była pierwszoplanowa rola.

► Miałas zaledwie dziewięć lat, gdy po raz pierwszy nagrałaś piosenkę. Jakich rad mogłabyś udzielić dzieciom, które coraz częściej występują w różnego rodzaju talent show?

Dzieci i nastolatki wymagają specjalnego podejścia. Zasiadałam w jury różnych konkursów dla dzieci i często obserwowałam, jak rodzice przyprowadzają swoje dziecko na scenę ze słowami: „Jesteś najlepszy!”. A przecież może się okazać, że dziecko wcale nie jest najlepsze i nikt nie pochwali jego występu. I co wtedy zrobić? Jak wytłumaczyć dziecku, że nie jest pępkiem wszechświata? Nigdy w ten sposób o sobie nie myślałam. W mojej rodzinie obowiązywały proste zasady: jak chcesz śpiewać, to śpiewaj! Myślisz, że coś potrafisz? Udowodnij to! Najważniejsze to kochać, co się robi. Nawet najbardziej utalentowani ludzie muszą ostro pracować na swój sukces.

► Zapytałam Cię o dzieci, ponieważ widziałam w jednym z show nastoletnią Elinę, która wykonywała Twoją piosenkę, to naprawdę trudny utwór, niekoniecznie dla dziecka...

Zgadza się, „1944” to trudny utwór i to z kilku powodów... ale Elina naprawdę podolała zadaniu, dobrze się spisała.

► Planujesz jakieś koncerty w tym roku w Polsce?

Nie mam jeszcze konkretnych planów, ale z wielką chęcią wystąpiłabym ponownie w Polsce. A ponieważ teraz mam okazję, to skorzystam z niej, by powiedzieć Polakom, że jestem wam wszystkim bardzo wdzięczna za to, że na mnie głosowaliście podczas koncertu Eurowizji. Czułam wasze wsparcie, było mi z tym bardzo dobrze. Wiem, że jesteście niesamowicie muzykalni, a wasza muzyka jazzowa jest po prostu bajeczna! Dziękuję. ■

Jamala (Dżamala) – właściwie Susana Alimiwna Dżamala-dinowa (ur. 1983 r.) – ukraińska aktorka i piosenkarka krymskotatarskiego pochodzenia, zwyciężczyni 61. Konkursu Piosenki Eurowizji. Jej zwycięska piosenka „1944” nie spodobała się Rosji, która domagała się dyskwalifikacji utworu, wskazując na jego „polityczny wydźwięk”. 16 maja 2016 r. prezydent Ukrainy Petro Poroszenko nadał Jamali tytuł Ludowego Artysty Ukrainy. Skalę głosu Jamali ocenia się na cztery oktawy.



Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Hollywoodzka produkcja „Azyl” to opowieść o tym, jak w warszawskim zoo Polacy przechowywali Żydów w czasie wojny. Jednak historia bohaterkich Żabińskich jest wyabstrahowana od wojennej rzeczywistości. Ich postawa zdaje się równie egzotyczna co zwierzęta w ich zoo. Szkoda, że choćby w jednej scenie nie powiedziano, że takich Żabińskich były setki tysięcy.

Hollywood w warszawskim ZOO



Atymczasem była to zorganizowana akcja Armii Krajowej, która zresztą na terenie zoo ukrywała broń i materiały wybuchowe. Co oczywiście nie umniejsza roli bohaterów Żabińskich, czyli dyrektora zoo Jana Żabińskiego i jego żony Antoniny. Warto mieć jednak świadomość, że mająca ogromny potencjał na scenariusz historia warszawskiego zoo to tylko mały skrawek opowieści o Polakach, którym za podanie Żydowi szklanki wody groziła śmierć.

► Skala pomocy

Fakty mówią, że w czasie II wojny światowej zginęły z rąk niemieckich ponad 3 mln Żydów. Żeby uratować jednego, bardzo często zaangażowanych było nawet 20 Polaków. Hanna Krall wspominała, że osób, które jej pomogły, naliczyła aż 45. Jak podkreślał wielokrotnie historyk prof. Jan Żaryn, Polacy pomagali niezależnie od swych przekonań i poglądów politycznych. A czasami nawet wbrew przedwojennym sympatiom. Instytut Yad Vashem przyznawał bohaterskim Polakom medale „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”. Żabińscy również dostali to odznaczenie. Choć warto wspomnieć, że w 2002 r. prof. Tomasz Strzembosz przyznał, że zebrane w Yad Vashem dane 5,5 tys. Polaków „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata” to zaledwie „czubek czubka góry lodowej”. Historycy szacują, że ludności żydowskiego pochodzenia pomagało co najmniej kilkaset tysięcy, a może nawet milion dorosłych i dzieci. Polacy pomagali indywidualnie i w ramach aktywności konspiracyjnej, w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego, w tym w ramach Rady Pomocy Żydom „Żegota” – organizacji finansowanej głównie przez rząd RP w Londynie.

► Ludzie i zwierzęta

Reżyserem filmu „Azyl” jest pochodząca z Nowej Zelandii Niki Caro, nagradzana na festiwalu w Sundance (za film „Jeździec wielorybów”), nominowana do Złotej Palmy i na festiwalach w San Sebastian i Toronto. Rolę pierwszoplanową w filmie odgrywa nominowana dwukrotnie do Oscara Jessica Chastain, wcielająca się w Antoninę Żabińską, żonę Jana Żabińskiego. Dyrektora warszawskiego zoo odegrał Johan Heldenbergh. Film będzie miał premierę w 24 krajach. Między innymi w Czechach, na Węgrzech, w Singapurze, Kanadzie, Turcji, USA, na Litwie, Łotwie, w Brazylii, Niemczech i Rosji. Był nagrywany w czeskiej Pradze.

A historia warszawskiego zoo jest rzeczywiście iście filmową opowieścią. Polska 1939 roku. Jan Żabiński to ceniony dyrektor ogrodu zoologicznego, który wraz z żoną Antoniną w nadzwyczajny sposób troszczy się o egzotyczne okazy zwierząt i dba o ich rozrodność. Piękna żona dyrektora bez oporów zdejmuje delikatne dłonie z klawiatury pianina, by chwilę później ubrudzić je krwią podczas ratowania nowo narodzonego słoniątka. Syn Żabińskich śpi z lwiatkami. Małżonkowie karmią swoich podopiecznych sianem z maestrią równą królewskim celebrazjom. Ich królestwo zwierząt spotyka jednak dramat, gdy na początku września na zoo spadają niemieckie bomby. Ukazanie reakcji dzikich zwierząt na odgłosy bombardowania może przejść do historii kina i sposobu opowiadania o wojnie. Wiele z okazów ginie. Te, którym udaje się przeżyć, uciekają z ogrodu i czeka je rozstrzelanie, gdyż zagrażają bezpieczeństwu mieszkańców. Pozostałe skupiają uwagę Lutza Hecka (Daniel Bruhl), pracownika berlińskiego zoo, który organizuje transport zwierząt do Rzeszy. Wkrótce Żabińscy, korzystając z pewnej przychylności najeźdźcy, postanawiają w miejscu ogrodu zoologicznego zorganizować hodowlę świń. Jest to bowiem niezbędny element do realizacji ich planu ratowania Żydów. Żabiński dostaje przepustkę do getta i stamtąd ma przywozić resztki pokarmu, którymi następnie ma wykarmiać wieprze. Tymczasem swoją furgonetką, narażając życie, wywozi Żydów. Ukrywa ich w klatkach po zwierzętach, a następnie są oni przerzucani w bezpieczniejsze rejony kraju. W filmie widzimy też, jak 1 sierpnia 1944 r. Jan Żabiński przystępuje do walk w Powstaniu Warszawskim.

► Każdy głos jest ważny

Jeśli można przyjąć, że dramat wojenny może być przesłodzony, to ten bez wątpienia jest. Chwyty schematycznych rodem z cikliwych filmów jest tu ponad normę. Przewidywalnych akcji nadzwyczaj dużo. I w końcu jest też duże nagromadzenie scen symbolicznych. Kolejną słabością filmu jest zła korelacja wątku głównego z pobocznym, czyli z historycznym tłem. Historia sprowadza się do tego, że jedno bohaterskie małżeństwo z własnej inspiracji i bez większego wsparcia uratowało w czasie II wojny światowej około 300 Żydów. Dużo pary w gwizdek? Być może. Jednak fakt powstania filmu „Azyl”, opowiadającego o wycinku naszych wojennych losów, jest dla nas i tak korzystny. Trudno oczekiwać, że Amerykanie odrobą lekcję z polityki historycznej za nas. ■



Krzysztof Karnkowski

Wiosna historii

Dla wszystkich głosujących na Prawo i Sprawiedliwość było rzeczą oczywistą, że w odróżnieniu od konkurentów z Platformy Obywatelskiej partia ta rozumie znaczenie polityki historycznej. Przywracanie pamięci, budowanie wokół historii narodowej tożsamości i poczucia godności były zawsze filarami politycznej praktyki obozu braci Kaczyńskich.

Czasy prezydentury Lecha Kaczyńskiego w Warszawie to m.in. okres oddania przez miasto należnej chwały powstańcom warszawskim – poprzez stworzenie wyjątkowego, przez wszystkich docenianego nowoczesnego i bardzo aktywnego muzeum; zadbanie o coroczny wymiar obchodów rocznicy Powstania – miejskie uroczystości, wycie syren, zatrzymywanie ulicznego ruchu. Rzeczy, które dziś wydają się oczywiste, wykraczające poza Warszawę i rozlewające się falą na całą Polskę, jeszcze kilkanaście lat temu wcale nie były normą. Wyciszenie syren, normalny ruch w godzinę W, brak wysokich urzędników ratusza podczas uroczystości – to rzeczywistość lat poprzedzających warszawską kadencję Lecha Kaczyńskiego, o czym dziś wiele osób zdaje się nie pamiętać. Jako prezydent Polski natomiast Lech Kaczyński podjął bardzo dużo starań, by odpowiednio uhonorować osoby zaangażowane w działania „Solidarności” i całej antykomunistycznej opozycji,

pokoleniu. Trwała specyficzna moda na Powstanie Warszawskie, w czym ogromny udział miało wciąż prężnie działające muzeum, a obok niej coraz mocniej zaznaczało obecność drugie zjawisko – kult Żołnierzy Wyklętych i idący z nim w parze antykomunizm młodych. W telewizji świecił triumfy serial „Czas honoru”, którego kolejne sezony rozgrywały się w Warszawie okupowanej, powstańczej i powojennej, komunistycznej, gdy miejskie mury i zaułki zastąpił bohaterem las. Ulice wypełniły się graffiti i patriotycznymi hasłami na koszulkach, temat podchwycili muzycy, zarówno hiphopowi, jak i rockowi, historia wbiła się też mocno w kibicowskie oprawy. Równocześnie coraz więcej było książek, imprez sportowych, biegów, organizowanych czasem wbrew lokalnym władzom. Wyklęci, coraz częściej nazywani Niezlomnymi, doczekali się swojego święta, lecz nawet później ludziom chcącym ich upamiętnić lokalna władza nieraz rzucała kłody pod nogi. Rok 2016 to jed-

DEBIUT ŁĘCKIEGO TO OPOWIEŚĆ W OCZYWISTY SPOSÓB NIEPRZYJEMNA, LECZ
JEDNAK, DZIĘKI PRZEBITKOM DO WSPÓŁCZESNOŚCI, DAJĄCA NADZIEJĘ, POKAZUJĄCA
SENS POZORNIE BEZNADZIEJNEJ WALKI, KTÓRY UJAWNIA SIĘ PO LATACH,
BY PRZYZNAĆ RACJĘ POLEGŁYM.

niezależnie od ich politycznej drogi po 1989 r. Różnił się tym od swojego następcy, który skupiał się jedynie na własnym środowisku politycznym. Kaczyński pamiętał jednak cały czas i o powstańcach, czego dobrym przykładem było uhonorowanie na stopień generała brygady Janusza Brochwicz-Lewińskiego, legendarnego „Gryfa”. O różnicy między prezydentami Kaczyńskim i Komorowskim świadczy choćby fakt, że zaproszony przez pierwszego do kapituły orderu Orła Białego „Gryf” nie otrzymał później, za kolejnej ekipy, zwyczajowego przedłużenia obecności w tym ciele na kolejną kadencję.

► Czas Niezlomnych

Dla Platformy Obywatelskiej pamięć ważna była o tyle, o ile dała się wykorzystać do bieżącej walki politycznej z PiS – stąd gloryfikowanie tych powstańców, którzy popierali rządy Tuska. Kopacz i Gronkiewicz-Waltz z jednej strony, zaś z drugiej – marginalizowanie powstańców (kilka razy zdarzały się przypadki niewpuszczenia ich nawet na uroczystości, by nie zabrakło miejsca dla oficjeli) czy nawet eksmisje na bruk. Historia, o czym pisałem wielokrotnie w tekstach dla „Gazety Polskiej Codziennie”, zyskiwała na znaczeniu, zwłaszcza w najmłodszym

nak czas wielkiego triumfu pamięci i wielkich patriotycznych manifestacji podczas pogrzebów, będących *de facto* zwycięstwem chowanych po latach bohaterów. Wreszcie – to odważniejsze pojawienie się tematu na kinowych i telewizyjnych ekranach.

► Historia Roja

Czytelnicy pamiętają na pewno burzliwe dzieje prac nad filmem Jerzego Zalewskiego „Historia Roja, czyli w ziemi lepiej słyhać”. Już prawie ukończony obraz w 2011 r. pomyślnie przeszedł telewizyjną kolaudację, jednak polityczne zmiany w TVP postawiły dokończenie prac pod znakiem zapytania. Nie tylko cofnięto finansowanie, lecz także próbowano odebrać producentom już zainwestowane pieniądze. Ostatecznie, dzięki publicznej zbiórce i olbrzymiej determinacji, film trafił na ekrany pięć lat później. W 2017 r. trafia na ekrany telewizorów jako pięcioczęściowy serial. Telewizyjna wersja „Historii Roja” wypadła zaskakująco dobrze. Najmocniejszy jest pierwszy odcinek – z sugestywnymi scenami strzelanin i walk, a także z przekonującym gościnnym udziałem... Grzegorza Brauna, znakomicie wcielającego się w rolę sowieckiego oficera. Późniejsze epizody toczą się w spokoj-

niejszym tempie, w narracji ważniejsze stają się piękne obrazy przyrody, wsie, lasy i konie, jednak co jakiś czas wraca awanturniczy klimat żołnierskich akcji i wypraw. Scena nieudanego porwania komunistycznego generała z wojskowej bazy dostarcza emocji za całe kilkadziesiąt minut. Pojawienie się rozterek i stopniowe rozprężenie leśnych oddziałów jest zaś ważnym i niemożliwym do pominięcia składnikiem historii Wykłėtų.

► Polskie „Girl Power”

Niemal równocześnie Telewizja Polska rozpoczęła emisję innego serialu poświęconego tematyce historycznej. „Wojenne dziewczyny” to, jeśli dobrze odczytuję intencję twórców, znając trzy pierwsze odcinki, próba opowiedzenia historii pokrewnej „Czasowi honoru”, pokazanej jednak z modnej dziś kobiecej perspektywy, odwołującej się wręcz do kulturowego hasła „girl power”. Trzy wywodzące się z różnych środowisk bohaterki boleśnie, lecz całkiem gładko wchodzą w świat wojny, radząc sobie często bez pomocy mężczyzn, a nawet wbrew ich wizjom i planom. Wspierają się, zakochują, odkochują, po swojemu walczą i wymierzając sprawiedliwość. Tylko czy „Czas honoru” naprawdę trzeba poddać feministycznej (nie używam tego określenia w znaczeniu ideologicznym) dekonstrukcji? Choć głównymi bohaterami najlepszego chyba historycznego serialu było kilku chłopaków, dziewczyny, które pojawiły się w ich otoczeniu, były postaciami tak samo jak oni kluczowymi, pierwszoplanowymi i determinującymi wydarzenia. Porównania, które zwłaszcza w tej konwencji są nieuchronne, po trzech tygodniach nie wypadają najlepiej dla „Wojennych dziewczyn”. Zawiązanie akcji i późniejsze przygody bohaterek wydają się mniej wiarygodne, zaś same dziewczyny, przynajmniej na razie, mniej krwiste od swoich znakomitych poprzedniczek. Oczywiście trzy odcinki to zdecydowanie za mało, by skreślać serial, który może się jeszcze rozkręcić, większość widzów cieszy się, że podobna tematyka znów zagościła w ich telewizorach i chce dać twórcom kolejne szanse. Oglądalność „Wojennych dziewczyn” na razie bije na głowę nawet wyniki premierowych odcinków „Czasu honoru” sprzed kilku lat.

Pamiętać trzeba, że sam „Czas honoru” był serialem z mocniejszymi i słabszymi sezonami, różnym natężeniem akcji i stopniową zmianą klimatu – atmosfera szła w ślad za polską historią, którą chciano pokazać; nastrój wojenno-awanturniczy w odcinkach pokazujących wojenną beznadzieję, skręcał w kierunku gęstego dramatu (nieodległego od „Historii Roja” czy kinowego „Wykłėtų”). Serial nasycony był wiarygodnymi, starannie nakreślonymi postaciami pierwszego i drugiego planu, z mistrzowskim ukazaniem słabości charakterów i chwil

żałamania ludzi, którzy stawali się szumowinami na usługach totalitaryzmów: niemieckiego i sowieckiego. „Wojennym dziewczynom” na razie tego brakuje.

► Służyć wiernie, trwać przy krzyżu

Kino historyczne to jednak nie tylko seriale. W kinach wiosną tego roku pojawił się debiutancki film Konrada Łęckiego „Wykłėtų”. Frekwencyjnie pierwszy weekend nie był dla tego dzieła najlepszy, w kinach obejrzało je wówczas trochę ponad 18 tys. osób (kinową „Historię Roja” – ponad trzy razy tyle). Szkoda, ponieważ debiut Łęckiego zasługuje na lepszy odbiór. To opowieść w oczywisty sposób nieprzyjemna, lecz jednak, dzięki przebitkom do współczesności, dająca nadzieję, pokazująca sens pozornie beznadziejnej walki, który ujawnia się po latach, by przyznać rację poległym. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa prezydenta Andrzeja Dudy, wygłoszone podczas pogrzebu majora „Łupaszki”. [...] nie jest to dziś dzień smutku. Patrz, Warszawa biało-czerwona wita dzisiaj Twoje umęczone ciało. I ta wspaniała polska młodzież, która podniosła z błota hasło »Bóg, Honor, Ojczyzna«, która dzisiaj na ulicach woła »Chwała Bohaterom!«, która śpiewa Twoje pieśni V Brygady Wileńskiej, aby padając w boju, widzieć Polskę wolną i czystą jak łąka. Nie, nie pójdziemy dziś w kondukcje żałobnym, nie będą panny żałobne zbierać łez w konchy. My pójdziemy dumni i radośni. A zebraliśmy się tutaj, żeby złożyć u Twojej trumny przy duchach Twoich żołnierzy, wszystkich Żołnierzy Wykłėtų – »Inki«, Pileckiego – złożyć przyrzeczenie: Rzeczypospolitej służyć wiernie i odważnie, przy krzyżu trwać jak przez 1050 lat trwali nasi przodkowie. Bo tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem. Bo tylko pod krzyżem Europa pozostanie Europą”.

Film Łęckiego, nawiązujący do historii najdłuższej walczącego wykłėtų – „Lalka”, również potraktować możemy w kategorii zobowiązania. Jest to przy tym interesująca wypowiedź artystyczna, wygłoszona w języku kina. Jest to też film bardzo polski w sposobie budowania narracji, gry pejzażem, muzyką, nastrojem. Gdzieś na pograniczu kina artystycznego i niezależnego. Niestety, w tej „polskości” mieści się również chwilami zaskakująco kiepskie aktorstwo. Jedną z mających największy potencjał scen – rozmowy głównego bohatera z dawnym kolegą, który przeszedł na stronę czerwonych, została przez nie wręcz położona.

„Historię Roja” obejrzało w kinach 310 tys. osób. „Wykłėtų” prawdopodobnie zanotuje słabszy wynik, choć mam nadzieję, że film poprawi jeszcze bilans z pierwszych tygodni. Niewątpliwie potrzebujemy również bardziej komercyjnego ujęcia tematu, który przez Łęckiego i Zalewskiego nie został bynajmniej wyczerpany. ■

Jakub Kozłowski

Niemoc legendy

Premiera 14. albumu Depeche Mode stała się faktem. Cztery lata po opublikowaniu kontrowersyjnej „Delta Machine” zespół powraca z materiałem, według mnie, jeszcze trudniejszym do przyswojenia od tego, który znalazł się na poprzedniej płycie. Legendarna grupa z Basildon zatrafiła gdzieś charakterystyczny dla jej muzyki pierwiastek niepokoju, mistycyzmu i suspense sprawnie zmieszanych z naiwną melancholią. A to przecież decydowało o sile poprzednich płyt formacji. Pojawiła się za to conceptualna pustka, którą zespół postanowił wypełnić nieczytelną produkcją, społecznie zaangażowanymi tekstami oraz kompozycjami, które w najlepszym wypadku zasługują na miano niedopracowanych. Poprzedni longplay był eksperymentem, odskocznią od typowo „depechowskich” kompozycji, które dominowały na udanym, chociaż zachowawczym albumie „Sounds of the Universe”. „Delta Machine” wymagała cierpliwości i skupienia, aby wydobyć z połamanych rytmów warstwę melodyjną i dawkę melancholii typową dla zespołu. A jednak album promowany był utworem „Heaven”, najbardziej „depechowskim” spośród wszystkich, jakie wówczas zarejestrowano. Wiele było na niej pomysłów nieudanych, jak „Angel” czy „My Little Universe”, ale płyta *in toto* nie wystawiała na próbę cierpliwości słuchacza w stopniu, w jakim robi to jej następczyni. Promujący album „Spirit” utwór „Where’s the Revolution” nazwać można co najwyżej przeciętnym. A jest to jedna z czterech kompozycji zawartych na płycie, które jeszcze w jakiś sposób mogą skupić uwagę słuchacza. Pozostałe trzy utwory warte odsłuchania to „You Move”, „So Much Love” oraz „No More (This is the Last Time)”. Cała reszta zdecydowanie odstaje poziomem od wcześniejszych dzieł Martina L. Gore’a. Z czego to wynika? Ano z tego, że w ostatnich latach Depeche Mo-

de postanowiło stać się bardziej awangardowe, niż skala przewiduje. Po 37 latach na scenie Martin L. Gore, walcząc z rutyną i resuscytacją, dotychczas sprawdzonych metod komponowania, zatracił, niestety, swobodę i typową dla siebie perwersyjno-melancholijną lekkość tekstów i kompozycji. Stąd wynika coraz większa rola przypisywana producentom, którzy eksponują noise’owe, elektroniczne i transowe aspekty muzyki Depeche Mode kosztem melodii, do których Martin L. Gore zawsze miał przecież prawdziwy dryg. Z tego też powodu odbiór albumu determinują przekombinowane i zmierzające donikąd utwory „Scum”,

„Fail” czy kompozycje po prostu nieudane i monotonne pokroju „The Worst Crime” oraz „Eternal”. Producent James Ford najwyraźniej nie udźwignął ciężaru zadania, jakie przed nim stało. Być może wynikało to z nacisków samych muzyków, którzy w swoim dążeniu do nowych form wyrazu zapomnieli o czymś tak prozaicznym, jak melodia. Tyle że doświadczony specjalista za konsolą zdolałby jednak „wycisnąć” odrobinę więcej z nie najlepszych pomysłów Gore’a. Tak się, niestety, nie stało i mamy do czynienia z najgorszym albumem nagrany przez zespół w ostatnich dwudziestu latach. Co gorsza, nie mogę pozbyć się przekonania, że i tak lepiej już nie będzie. Album sprawia wrażenie wymuszonego, nagrane-

go tylko z tego powodu, że po czterech latach milczenia wypada „rzucić na rynek” nowy longplay, aby zyskać pretekst do kolejnej multimilionowej trasy koncertowej. Brak pomysłów zastąpiono awangardową produkcją, a blokadę artystyczną Gore starał się zniwelować naiwnymi, społecznozaangażowanymi tekstami, jak w „Where’s the Revolution”, gdzie Gahan pyta: „No, gdzie ta rewolucja? Dalej, ludzie, nie zawiedźcie mnie”. Ja z kolei chciałbym mniej rewolucji w muzyce Depeche Mode, a więcej szczerych i przemyślanych kompozycji. ■



Depeche Mode „Spirit”, Verve Records, 2017 r.



Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Bolesny bieg przez życie

„Wściekłość” jest o tym, jak łatwo w pędzie codzienności zatracić siebie. Film pokazuje, jak szybko przybieramy maski, żeby osiągnąć pozorne szczęście, chwilową satysfakcję, pieniądze, zatracając w tym wszystkim zgodę z samym sobą – z aktorem Jakubem Świderskim rozmawia Sylwia Krasnodębska (Polskie Radio).

► W filmie Michała Węgrzyna „Wściekłość” gra Pan mężczyznę, któremu podczas biegu, w wyniku różnych zdarzeń i telefonicznych rozmów, wywraca się świat. Film porównywany jest do filmu „Locke”, gdzie bohatera spotykają podobne losy, jednak podczas podróży samochodem. Miał Pan trudniejsze zadanie niż Tom Hardy. On tylko siedział za kierownicą. Pan się sporo nabiegał.

Nasze czasy mają wiele pułapek i ślepych alejek. Film „Wściekłość” opowiada o Adamie, który właśnie w swoim życiu trafił na ślepy zaułek, z którego nie ma wyjścia, jest tylko bolesna lekcja życia.

Znaczy to mniej więcej tyle, że cchi wartości, które nie mają znaczenia w życiu. To takie bańki życiowe – kariera, perfekcyjny wygląd, seks, sukces. To wszystko stanowi dla Adama fikcyjną wartość, o czym dowiaduje się w trakcie tego biegu.

► Film aspiruje do dramatu psychologicznego. Zakładam, że chce przybliżyć dylematy współczesnych trzydziestoparolatków. Czy to jakiś obraz pokolenia instant? I przedstawienia ich jako ludzi pogubionych, bez autorytetów, egocentrycznych? Tym dla Pana jest ta opowieść?

Dla mnie ta opowieść jest o tym, jak łatwo w pędzie codzienności zatracić siebie. Film pokazuje, jak

JEŚLI SPRÓBUJEMY MYŚLEĆ BARDZIEJ O KONSEKWENCJACH I PODEJMIEMY WALKĘ
O WARTOŚCI PONADczasowe, MOŻEMY LICZYĆ NA SZCZĘŚCIE, KTÓRE POTRWA
DŁUŻEJ NIŻ JEDNA UPOJNA NOC.

Cieszę się porównaniem do „Locke”, bo to piękny film. My tylko na pozór mieliśmy podobne założenia. Realizacyjnie nasz film był dużo trudniejszy, a czas przewidziany na realizację krótszy, nakłady finansowe – żadne, ale mam nadzieję że udało nam się zainteresować widzów równie dobrze. Tom Hardy jest moim zdaniem genialnym aktorem i była to dla mnie bardzo motywująca sprawa, wiedziałem, że będę z nim porównywany... cieszę się, że głosy widzów po filmie są pozytywne, a krytyka powoduje, że chcemy być coraz lepsi.

► Pana bohater, Adam, pracuje w telewizji, w której trudno przetrwać, ma dwójkę dzieci, dla których nie ma czasu, żonę, z którą się nie rozumie, i kochankę, z którą nic poza seksem go nie łączy. W filmie pada zdanie, że on sam wciąż się oszukuje. Co to znaczy?

szybko przybieramy maski, żeby osiągnąć pozorne szczęście, chwilową satysfakcję, pieniądze, zatracając w tym wszystkim zgodę z samym sobą. Ten film moim zdaniem jest znakiem ostrzegawczym, który pokazuje, co by mogło się wydarzyć, gdyby...

► Nie możemy zdradzić puenty filmu, ale proszę spróbować odpowiedzieć. Przełożmy trening Adama na jego „bieg” przez życie. Gdzie jest jego meta? Czy może go spotkać jakikolwiek happy end?

Każdy z nas będzie miał end w życiu, a czy będzie happy, to zależy od naszych wyborów. Jeśli będziemy się kierowali natychmiastową satysfakcją, będziemy jak ten Adam, który jest klasycznym hedonistą. Jeśli spróbujemy myśleć bardziej o konsekwencjach i podejmujemy walkę o wartości ponadczasowe, możemy liczyć na szczęście, które potrwa dłużej niż jedna upojna noc.

Dwory, folwarki, winnice, czyli Dima i jego posiadłości



Antoni Rybczyński

**Dima,
a właściwie
Dmitrij
Miedwiediew,
nie jest
wcale takim
„porządnym
putinistą”, na
jakiego został
wykreowany.
Przeciwnie,
kradnie jak cała
kremlowska
elita, jak
Putin. Tyle że
na mniejszą
skalę – wszak
nie wypada,
by bojar grabił
więcej niż car.**

Malo która dezinformacyjna kampania rosyjska była tak skuteczna jak ta, która uczyniła z Dmitrija Miedwiediewa liberała i reformatora, zwolennika zachodniej drogi rozwoju Rosji. Zaczęło się w 2008 r., gdy Władimir Putin to jego, a nie „jastrzębia” i byłego kagabistę Siergieja Iwanowa, wybrał na swego następcę. Jedną z pierwszych decyzji nowego prezydenta – jak się po czterech latach okazało marionetki Putina – było zatwierdzenie planu walki z korupcją.

► Imponujące rezydencje

Fundacja Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego opublikowała 2 marca raport o luksusowych nieruchomościach należących – jak twierdzi – do premiera Rosji. „Jednego z najbogatszych ludzi w kraju i jednego z najbardziej skorumpowanych biurokratów” – jak pisze Nawalny. Z raportu wynika, że szef rządu włada „ogromnymi działkami ziemi w najbardziej elitarnych rejonach, dysponuje jachtami, mieszkaniami w zabytkowych kamienicach, kompleksami ziemskimi i winnicami w Rosji i za granicą”. Wszystkie nieruchomości zapisane są na spółki i niekomercyjne fundacje kolegów Miedwiediewa. Podobnie jak winnice w Kraju Krasnodarskim i Toskanii, a także dwa jachty. Ten korupcyjny schemat zasilono – jak wynika z ustaleń fundacji Nawalnego – co najmniej 70 mld rubli, czyli 1,2 mld dolarów. Jakże pałace – oprócz opisanej już we wrześniu przez Nawalnego luksusowej dachy w obwodzie iwanowskim – zafundował sobie Miedwiediew?

Nad toczącą gigantyczne masy wody wielką Wołgą leży sobie pewna przystań, a w niej stoją zamulowane dwa luksusowe jachty – każdy wart 16 mln dolarów. Oba o tej samej nazwie: „Fotinja”. To cerkiewny odpowiednik popularnego imienia Swietłana. Tak ma na imię żona Dmitrija Miedwiediewa. Bo to jego przystań. Cała posiadłość w Pliesie ma około 80 hektarów. Trzymetrowy mur otacza dziesiątki budynków w stylu nawiązującym do ludowej architektury z XVIII wieku, wspomnianą przystań, sztuczny miniotok narciarski i trzy lądowiska dla helikopterów. Widok z drona imponujący. Na zachód od Moskwy, w pobliżu Szosy Rublowskiej, we wsi Znamienskoje, leży działka o powierzchni 20 ha. Dawniej należała do państwa, a dokładniej podlegała zarządowi gospodarczemu administracji prezydenckiej. Zarząd sprzedał ją prywatnemu inwestorowi – po cenie 200 razy niższej od rynkowej! Prezydentem był wtedy Miedwiediew. Dziś wpada tutaj czasem na weekendy. To jego folwark, a w nim m.in. dom gościnny na 750 m² i luksusowa bania. Posiadłość wycenia się na około

5 mld rubli, czyli jakieś 85 mln dolarów. Jeszcze większa wiejska posiadłość leży we wsi Mansurowo w obwodzie kurskim. To ojcowa premiera. Tutaj od pokoleń mieszkali jego przodkowie. Tutaj żył jego dziadek, tutaj dorastał ojciec. Dom, w którym zatrzymuje się Miedwiediew, ma około 1500 m². Są jeszcze nie mniej imponujący dom gościnny i dwa lądowiska dla helikopterów. A w samej wsi stoi kapliczka, a na niej tabliczka z napisem: „Wzniesiona dzięki pomocy i staraniom Dmitrija Anatolijewicza Miedwiediewa w miejscu domu dziadków”. Kapliczkę poświęcono w 45. urodziny obecnego premiera. Wtedy był jeszcze prezydentem. Na narty od lat jeździ on oczywiście do Soczi, a dokładniej do kurortu Krasnaja Polana. W pobliżu, na grani Psechako, wznosi się górski majątek – z rezydencją mającą jakieś 4000 m² powierzchni. Wycenianą na 2,6 mld rubli (około 40 mln dolarów) posiadłość zbudowano przy okazji wielkiej kampanii budowlanej przed igrzyskami olimpijskimi w Soczi w 2014 r.

► „Dar” przyjaciół dla Dimy

Oczywiście żadna z wymienionych nieruchomości formalnie nie jest własnością Miedwiediewa. W dokumentach własności najczęściej pojawia się Ilja Jelisiejew. Ten kolega premiera ze studiów, dziś m.in. wiceszef Gazprombanku, zasiada w radzie nadzorczej Fundacji „Dar”. Fundacja ta w 2014 r. przekazała tytuł własności posiadłości w Pliesie innej organizacji non profit: Fundacji Gradysława. Jelisiejew stoi też na czele Fundacji Socgosprojekt (w jej władzach zasiada inny kolega premiera ze studiów, Aleksiej Czetwiertkow), która w 2010 r. dostała nie lada prezent: majątek w Znamienskoje. Kim był hojny darczyńca? To miliarder Aliszer Usmanow, który wielką biznesową karierę zaczynał jako jedna z osób zamieszanych w przemyt narkotyków z Uzbekistanu *via* Petersburg (gdzie pracował wtedy Putin) do Europy. Wróćmy jednak do Ilji Jelisiejewa – prawdziwego człowieka orkiestry, bo stoi także na czele rady dyrektorów spółki Kompleks Rol-

FUNDACJA WALKI Z KORUPCJĄ ALEKSIEJA NAWALNEGO OPUBLIKOWAŁA RAPORT O LUKSUSOWYCH NIERUCHOMOŚCIACH NALEŻĄCYCH – JAK TWIERDZI – DO PREMIERA ROSJI. Z DOKUMENTU WYNIKA, ŻE SZEF RZĄDU WŁADA „OGROMNYMI DZIAŁKAMI ZIEMI W NAJBARDZIEJ ELITARNYCH REJONACH, DYSPONUJE JACHTAMI, MIESZKANIAMI W ZABYTKOWYCH KAMIENICACH, KOMPLEKSAMI ZIEMSKIMI I WINNICAMI W ROSJI, I ZA GRANICĄ”.

Nieco bardziej na północ, w Kraju Krasnodarskim, Miedwiediew uprawia winorośle – twierdzi Nawalny. To jakieś 100 ha upraw koło Anapy – jak mówią znawcy, są dni, kiedy można się tu poczuć, jakby się było w Toskanii. Może Miedwiediewowi ta namiastka nie wystarczała, bo winnicę ma też w samych Włoszech, w Toskanii właśnie. A w niej willę z XVII wieku, z 30 pokojami. Wszystko warte jakieś 10 mln dolarów. To na południu, ale przecież premier to nieodrodny syn Wenecji Północy. Rezydencja hrabiego Kuszeliewa-Biezborodki powstała w XVIII wieku, na nadbrzeżu Kutuzowa, w elitarnej części Sankt Petersburga. Prawdopodobnie sześć z 29 apartamentów w tej wspaniałej kamienicy to własność Miedwiediewa – wynika z raportu Nawalnego. Zabytkowy budynek oczywiście unowocześniono dla wygody lokatorów – instalując np. windy, którymi można samochodem wjechać niemal do apartamentu.

ny Mansurowo, formalnego właściciela posiadłości w rodzinnej wsi Miedwiediewa w obwodzie kurskim. W tej samej radzie dyrektorów zasiada również kuzyn Dimy, Andriej Miedwiediew.

Kolejna spółka w „sieci Miedwiediewa” to Cetrum-Invest. Kieruje nią Filipp Polianskij. Firma w 2009 r. kupiła petersburski dwór hrabiego Kuszeliewa-Biezborodki, by już po trzech miesiącach przekazać go... Fundacji „Dar”. Polianskij pracował wcześniej w tej fundacji, jest uczniem Jelisiejewa. Sześć apartamentów w luksusowej kamienicy należy do „Daru”, pozostałe 23 Cetrum-Invest sprzedała na rynku. A co z posiadłościami na południu? Tutaj znów pojawia się Fundacja Socgosprojekt (ta od majątku pod Moskwą). Jej szef Jelisiejew jednocześnie stoi na czele rady dyrektorów spółki Skalisty Brzeg. Socgosprojekt ma udziały w firmie, a ta ma 100-hektarową winnicę koło Anapy. Zarządcą tej posiadłości Miedwiediewa jest pracownik Fundacji „Dar” Wita-

lij Gołowaczew, zaś dyrektorem spółki Skalisty Brzeg niejaki Andriej Skok, jeden z najbardziej zaufanych menedżerów obecnego ministra rolnictwa, byłego gubernatora Kraju Krasnodarskiego Aleksandra Tkaczewa. Idźmy dalej. Pakiety kontrolne w firmach Kompleks Rolny Mansurowo (majątek w obwodzie kurskim) i Skalisty Brzeg (winnice koło Anapy) mają spółki kontrolowane z kolei przez Technipro. To spółka należąca do Władimira Diaczenki. Nie jest to postać anonimowa. Biznesmen wielokrotnie pojawia się w elektronicznej korespondencji Miedwiediewa, którą jakiś czas temu ujawnili hakerzy. Wynika z tych e-maili, że u Diaczenki Miedwiediew zamawiał ubrania sportowe, w których pojawiał się później przy różnych okazjach. Żonę wysłał w marcu 2012 r. – tuż przed końcem kadencji prezydenckiej – na wakacje do Toskanii. Musiało jej się tam bardzo spodobać... Kilka miesięcy później zarejestrowana na Cyprze spółka Furcina kupiła toskańską winnicę. Jest też formalnym właścicielem dwóch jachtów cumujących w Pliesie. Kto jest właścicielem Furciny? Tak, Ilja Jelisiejew.

Według ustaleń fundacji Nawalnego „całość środków przepływających między miedwiediewskimi fundacjami i spółkami” sięga 70 mld rubli.

► Polityczna intryga

Rzeczniczka premiera Natalia Timakowa bagatelizuje doniesienia Nawalnego, określając je jako część politycznej walki przed wyborami prezydenckimi: „Nie ma sensu komentowanie propagandowych ataków ze strony opozycjonisty i skażńca”. Rzecznik prezydenta Dmitrij Pieskow także pytany o tę sprawę, odrzekł, że nie ma nic do dodania ponad to, co powiedziała Timakowa. Prokremłowskie media, które dominują w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej, przemilczały raport. Miedwiediew może być spokojny: za finansowe przekręty nic złego ze strony Putina go nie spotka. Bo wszyscy, z prezydentem na czele, robią to samo co premier. Putin na pewno ma wiedzę o przekrętach premiera, bo bez jego zgody nie ma przepływów pieniędzy i pseudoprywatyzacyjnych umów

NAD TOCZĄCĄ GIGANTYCZNE MASY WODY WIELKĄ WOŁGĄ LEŻY SOBIE PEWNA PRZYSTAŃ,
A W NIEJ STOJĄ ZACUMOWANE DWA LUKSUSOWE JACHTY – KAŻDY WART 16 MLN
DOLARÓW. OBA O TEJ SAMEJ NAZWIE: „FOTINIJA”. TO CERKIEWNY ODPOWIEDNIK
POPULARNEGO IMIENIA ŚWIETŁANA. TAK MA NA IMIĘ ŻONA MIEDWIEDIEWA.
BO TO JEGO PRZYSTAŃ.

Drugim, obok zaufanych ludzi, koniecznym warunkiem sprawnego działania takiego układu, jak pałace Miedwiediewa, są pieniądze. Dużo pieniędzy. O te zatroszczyło się nie tylko kilku oligarchów. Wyliczone wyżej fundacje zasilane są z wielu źródeł. Udziałowcy Novateku, największego prywatnego koncernu gazowego Rosji, Leonid Michelson i Leonid Simanowskij, wnieśli do kapitału założycielskiego „Daru” 33 mld rubli. Michelson, Simanowskij i Usmanow w sumie zainwestowali w rezydencje Miedwiediewa 652 mln dolarów w formie dotacji. Do tego należy dodać kredyty od Gazprombanku, w którego władzach zasiada Jelisiejew (w 2007 r. pożyczył „Darowi” 11 mld rubli, czyli 463 mln dolarów), i Basznieftu. Za pieniądze Michelsona odrestaurowano rezydencję w Pliesie, za te od Basznieftu kupiono dwór w Petersburgu, za pieniądze od Gazprombanku: jeden z jachtów.

z udziałem Rosniefti i Gazpromu. Przekręty Miedwiediewa to drobiazg przy tych dużych „transakcjach”. Cała afera ma inne znaczenie: wyklucza Miedwiediewa z poważnego wyścigu o polityczne stanowiska w związku z wyborami prezydenckimi.

Nie wszyscy w opozycji są zachwyceni raportem Nawalnego. Jest obawa, że tak naprawdę to intryga siłowników, którzy dążą do obalenia Miedwiediewa i zastąpienia go na przykład Igorem Sieczinem. Publikacja Nawalnego może mieć związek z zaostrzającą się walką o fotel premiera. Nawalny to narzędzie w wewnętrznej walce na Kremlu, a nie samodzielny, niezależny gracz. Za atakiem na premiera mogą stać służby specjalne i wielkie koncerny. Jak stwierdził jeden z działaczy liberalnej opozycji, „teraz Putin może powiedzieć tak: Miedwiediew stracił moje zaufanie, zastąpię go Sieczinem”. Petersburski prawnik grał rolę polityka bardziej miękkiego i liberalnego niż Putin. Pamiętamy, jak pozy-

tywnie mówił o nim Barack Obama. To za prezydentury Miedwiediewa doszło do resetu. Dla części Rosjan Miedwiediew symbolizował drogę ku bardziej nowoczesnemu, bardziej zachodniemu krajowi, a decyzja Putina o powrocie na Kreml w 2012 r. zniszczyła ich nadzieje. Zresztą są też merytoryczne wątpliwości co do rewelacji Nawalnego. Ilja Szumanow, wiceszef rosyjskiej filii Transparency International, zauważył, że Nawalny nie przedstawił niepodważalnych dowodów związków Miedwiediewa z nieruchomościami. Fakt, Jelisiejew to znajomy, a może i przyjaciel Dimy, ale to za mało jako dowód. Niektórzy krytycy Nawalnego wskazują, że raport o nieruchomościach Miedwiediewa jest nie tylko częścią walki wewnętrznej na Kremlu, lecz także służy promocji opozycjonisty. W grudniu Nawalny ogłosił, że chce ubiegać się o fotel prezydenta w 2018 r. Nie wiadomo jednak, czy władze dopuszczą go do wyborów po tym, jak niedawno dostał wyrok skazujący w zawieszeniu. Jeszcze w 2011 r. głosować na Nawalnego było gotowych

ni i demokratyczni opozycjoniści, nieumiejący znaleźć wspólnego języka nie tylko z masami Rosjan na prowincji, lecz nawet także z wielkomięską młodą klasą średnią. Nawalny pierwszy wykrzesał tak skutecznie Internet. Dzięki Sieci stał się trybunem ludowym. Rekordy popularności bije na serwisach społecznościowych (na Twitterze śledzi go 1,8 mln użytkowników).

Nawalny po studiach prawniczych związał się z partią Jabłoko. Ale liberałowie tracili popularność z roku na rok, więc nasz bohater obstał inną ideologiczną kartę – i miał nosa. Od 2006 r. Nawalny był już dyżurnym mówcą na tzw. Rosyjskich Marszach. Zaangażował się też w budowę Nacjonalistycznego Rosyjskiego Ruchu Wyzwolenia. Popularność zdobył jednak jako demaskator korupcji. W 2010 r. powstał projekt RosPil, który służył tropieniu i demaskowaniu defraudacji i korupcji. Wiele razy pojawiały się pytania, skąd Nawalny zdobywa unikatową wiedzę na temat przekrętów w wielkich koncernach czy o korupcyjnych układach tak potęż-

PUBLIKACJA NAWALNEGO MOŻE MIEĆ ZWIĄZEK Z ZAOSTRZAJĄCĄ SIĘ WALKĄ O FOTEL PREMIERA. NAWALNY TO NARZĘDZIE W WEWNĘTRZNEJ WALCE NA KREMLU, A NIE SAMODZIELNY, NIEZALEŻNY GRACZ. ZA ATAKIEM NA PREMIERA MOGĄ STAĆ SŁUŻBY SPECJALNE I WIELKIE KONCERNY.

nawet 33 proc. Rosjan. Teraz ten odsetek zmalał do 10 proc. Takie jak to dziennikarskie śledztwa i ujawnianie korupcji najwyższych urzędników w państwie to sposób Nawalnego na zyskanie popularności. Na przykład w 2015 r. film o przekrętach prokuratora generalnego Jurija Czajki i jego synów miał na YouTube ponad 5,3 mln odsłon.

► Blogger z koneksjami

Aleksiej Nawalny to fenomen rosyjskiego życia politycznego. Uderza w wielkich moskiewskiej polityki, ujawniając korupcję, a i tak wciąż chodzi na wolności. W 2011 r. nazwał rządzące ugrupowanie Jedna Rosja „partią żuli i złodziei”. W kwietniu 2013 r. stwierdził: „Jeśli zostanę prezydentem, Putin pójdzie do więzienia”. Po czymś takim, kilka miesięcy później pozwolono Nawalnemu startować w wyborach na mera Moskwy. Na dodatek zdobył aż 27 proc. głosów, przegrywając tylko z kremlowskim kandydatem Siergiejem Sobjaninem. Nawalny jest inny niż dotychczasowi liberal-

nych ludzi, jak szef Komitetu Śledczego, prokurator generalny czy premier? Wytlumaczenie może być tylko jedno: ktoś podrzuca Nawalnemu informacje, jeśli nie gotowy kompromat, to przynajmniej trop wiodący do ekskluzywnej wiedzy. Wiadomo, że opozycjonista ma dobre relacje z niektórymi oligarchami. Choćby byłym pułkownikiem KGB Aleksandrem Lebediewem, współwłaścicielem rosyjskiej opozycyjnej „Nowej Gaziety”. To Lebediew wstawił Nawalnego do rady nadzorczej Aeroflotu, umożliwiając mu w ten sposób dostęp do wewnętrznych informacji spółki. Niewiele wiadomo o politycznym programie Nawalnego. W 2008 r. popierał inwazję rosyjską na Gruzję, jest wrogiem imigrantów z Kaukazu i Azji Centralnej, których nazwał „karaluchami”. Ukraiński Majdan chwalił jako bunt przeciwko skorumpowanej władzy, a aneksję Krymu potępił i wezwał Zachód do nałożenia sankcji na ludzi Putina. Ale już po kilku miesiącach zmienił zdanie. Oświadczył, że gdy dojdzie do władzy, nie podważy decyzji Putina, bo półwysep jest nieodwracalnie rosyjski, czy się to komuś podoba, czy nie. ■

Tragedia, która trwa

Hanna Shen



Od zakończenia rewolucji kulturalnej minęło już ponad 40 lat i mimo że pochłonęła ona miliony ludzkich istnień i doprowadziła do chaosu, to sprawca tej tragedii, Mao Zedong, jest nadal otoczony kultem, a tych, którzy domagają się prawdy o tamtym okresie oraz rozliczeń i krytykują Mao, spotyka kara. Co więcej, niektóre ze stosowanych wówczas praktyk są kontynuowane przez obecnie rządzącego Chinami prezydenta Xi Jinpinga.

16 maja 1966 r. przewodniczy Komunistycznej Partii Chin (KPCh) Mao Zedong zainicjował Wielką Proletariacką Rewolucję Kulturalną, ruch społeczno-polityczny, którego celem miała być walka z zakamuflowanymi antysocjalistycznymi działaczami burżuazyjnymi ukrytymi w strukturach partii. Naprawdę chodziło o wyeliminowanie politycznych rywali Mao i doprowadziło do masowych mordów.

► Strach silniejszy niż ból

W początkowych miesiącach rewolucji kulturalnej młody Mao Yushi i jego ojciec, obaj inżynierowie,

zostali zaciągnięci na ulicę przez hunwejbiniów* i zmuszeni do zamykania ulicy. Wokół zgromadził się tłum, który szydził z Mao Yushi i jego taty. Po chwili czerwonogwardziści zaczęli ich bić batogami. Na plecach katowanych pojawiła się krew. „Byłem bi-ty, ale nie czułem bólu, ponieważ zagłuszał go strach,

* Hunwejbini – Czerwona Gwardia, komunistyczna organizacja młodzieżowa działająca w okresie rewolucji kulturalnej, popełniała liczne okrucieństwa, torturując, przetrzymując, poniżając, a niekiedy zabijając ludzi uznanych za wrogów ludu, do których zaliczano przede wszystkim chińską inteligencję.

że zostaną pobity na śmierć” – wspominał Mao w wypowiedzi dla agencji AP. „Każdego dnia wywożono na rynek trupy ułożone na trójkołowych wózkach. Każdy wózek przykryty był kawałkiem materiału... ot tak” – mówił.

Nieraz Mao Yushi i jego bliscy byli upokarzani przez hunweibinów, którzy w każdej chwili mogli wejść do jego domu, dokonać rewizji, zabrać część dobytku i kupony na żywność. Podczas jednego z takich nalotów mężczyźnie i jego ojcu zgolono głowy.

Uznany za „prawicowca” Mao Yushi poddany został reedukacji przez pracę. Trafił do fabryki produkującej lokomotywy w prowincji Shanxi, zostawiając w Pekinie żonę i małe dziecko. Na własne oczy widział, jak ludzie umierali z głodu. Opowiadał, jak sam wychodził w pole i łapał szarańczę. To było jego jedzenie.

► Niewygodny krytyk Mao Zedonga

Mao Yushi wrócił do rodziny do Pekinu, gdy w 1976 r. zmarł Mao Zedong. Rozpoczął studia ekonomiczne i z czasem stał się ekspertem w tej dziedzinie zaangażowanym w popieranie rozwoju gospodarki rynkowej w Chinach. Dziś już 88-letni mężczyzna cieszy się ogromnym szacunkiem na Zachodzie. Jest m.in. laureatem Nagrody im. Milтона Friedmana za promocję wolności i wolnego rynku. We własnym kraju Mao Yushi jest niewygodny nawet w starszym wieku, bo głośno krytykuje Mao Zedonga i domaga się prawdy o zbrodniach, za które ten chiński przywódca jest odpowiedzialny. „Mao Zedong to największy grzesznik w historii Chin, ale jego portret ciągle jeszcze wisi na placu Tiananmen” – dodaje. Chiński ekonomista przyznaje, że choć minęło wiele lat od tego czasu, a Chiny bardzo się zmieniły, to często ma przed oczami obrazy z tamtego okresu i nie może zaakceptować faktu, że spowodowana przez człowieka katastrofa, która zabrała życie milionów, jest nadal tematem tabu w ChRL-u. Mao Yushi traktuje wyjawienie prawdy o Mao Zedongu i rewolucji kulturalnej jako swoją misję. Ale to upominanie się o prawdę i rozliczenie przeszłości spowodowało, że kilka tygodni temu chińskie władze zablokowały stronę internetową prowadzonego przez niego think tanku Unirule Institute of Economics, a także wszystkie jego konta na portalach społecznościowych.

► Pamięć zawodzi, świadkowie umierają

Prawdę poznać będzie coraz trudniej, bo świadkowie tamtego okresu odchodzą, są coraz starsi. W eseju pt. „Rewolucja kulturalna, pamięć, wstyd” pisarz Shi Tiesheng wspomina, jak w 1974 r. w jego mieszkaniu pojawiła się policja. Żądała, by wydał przyjaciela, który dał mu jedną z publikacji podziemnego wydawnictwa. W wyniku nacisku wyjawiał informację o przyjacielu. Ale pisząc esej

14 lat po tym wydarzeniu, sam autor przyznaje, że pamięć podpowiada mu, że gdy wyjawiał informacje o znajomym, wiedział, że wcześniej inny kolega już zdradził całą prawdę – podał imię, nazwisko i adres przyjaciela. Shi nie był zdrajcą w momencie wyjawiania informacji. Ale zaraz potem autor przyznaje, że wcale nie jest do końca pewien, czy tak było. Być może o tym, że ktoś już wcześniej zdradził, dowiedział się dużo później. Shi w eseju skłania się ku tej drugiej wersji. Pamięć jest nie tylko zawodna, lecz także selektywna.

To już ostatni moment, aby spisać wspomnienia świadków tamtej tragedii, a często je zrewidować. Już w latach 80. o potrzebie stworzenia muzeum poświęconego rewolucji kulturalnej napisał w jednym z artykułów pisarz Ba Jin. Nazwał to powinnością, jaka spada na każdego Chińczyka.

To muzeum służyłoby zachowaniu pamięci „o tych dniach bez końca, kiedy okrucieństwo pozostawiło niezatarty ślad, kiedy upokorzenie i nieludzkie tortury zostały zadane naszym rodakom, kiedy chaos był tak wielki, że prawda i fałsz zostały odwrócone, białe i czarne pomieszane, wierność i zdrada mylone ze sobą, [...] kiedy wystąpiły wszystkie te niesprawiedliwości, które nigdy nie zostaną całkowicie usunięte, tak jak rachunki nigdy nie zostaną wyrównane!” – pisał Ba Jin. Taka instytucja byłaby według pisarza szansą na prawdziwe wyzwolenie, uwolnienie się od kłamstwa i „bycie panami naszej przyszłości”.

Alte postulat Ba Jina nigdy nie został zrealizowany. Co więcej, wydaje się trudniejszy do spełnienia od momentu, gdy do władzy doszedł prezydent Xi Jinping.

► Fascynacja prezydenta Xi

Obecny chiński przywódca nie chce mówić o zbrodniach Mao, bo to może rodzić pytania o zasadność rządów partii komunistycznej. Ale widać też fascynację Xi Jinpinga Mao Zedongiem. Często w swoich przemówieniach głosi potrzebę odrodzenia myśli dyktatora. Aby rozpowszechnić maoizm, jedna z czołowych chińskich uczelni, Uniwersytet Tsinghua w Pekinie, rozpoczęła kurs online „Wprowadzenie do myśli Mao Zedonga”. Mao jest też bardziej obecny w ostatnich latach w kulturze masowej. 26 grudnia 2013 r., czyli w 120. rocznicę urodzin Mao Zedonga, uczczono premierą filmu animowanego o dzieciństwie ideologa maoizmu. Drugiego dnia Bożego Narodzenia 2015 r. miała miejsce premiera sfilmowanej w technice 3D ulubionej opery rewolucyjnej Mao Zedonga pt. „Dziewczyna o białych włosach”.

Coraz więcej ekspertów ds. Chin zwraca też uwagę, że Xi Jinping sięga po niektóre z praktyk typowych dla Mao i jego towarzyszy. Powrócono do praktyk wymuszonych publicznych przyznań się do winy. I znów prowadzi się walkę z religią.

► Sesje „prawdy”

W swojej książce pt. „Wspomnienia z obory” Ji Xianlin opisuje, czego doświadczył jako „wróg klasowy” w okresie rewolucji kulturalnej. Przetrzymany w więzieniu stworzonym na kampusie Uniwersytetu Pekińskiego nieraz brał udział wraz z innymi studentami i naukowcami w publicznych przesłuchaniach.

„Po wieczornej zbiórce, a czasem nawet już po czasie na sen rozpoczynającym się o dziesiątej, Zhang Guoxiang, student biologii, który stał się strażnikiem więziennym, stawał pod jasno oświetlonym drzewem pośrodku podwórza. Siedział z prawą nogą osadzoną na krześle. Czyścił brud spod swoich paznokci, wyzywając się na pechowym skazańcu, który stał przed nim ze spuszczoną głową” – tak Ji przedstawia w swoich wspomnieniach początek przesłuchania, którego świadkami byli inni więźniowie. Pytania, kopniaki, bicie na przykład za pomocą łańcucha od roweru – to była standardowa procedura.

Już po zakończeniu rewolucji kulturalnej na jednym z partyjnych zebrań Ji Xianlin usłyszał takie słowa od lokalnego aparatchyka: „Jeden z naszych wielkich przodków powiedział, że »człowieka uczonego można zabić, ale nie można upokorzyć«. Rewolucja kulturalna udowodniła, że można zabić i że można upokorzyć”. – Tu mówiący te słowa zaniósł się śmiechem – wspominał Ji.

► Wyznania win w mediach

W dzisiejszych Chinach władza nie stroni od takiego upokarzania. Fala represji za zarządów prezydenta Xi Jinpinga szczególnie dotkliwie dotknęła prawników-obrońców swobód obywatelskich, chrześcijan, a nawet wydawców. Niektórzy z nich są porywani przez bezpiekę (przypadek pięciu hongkońskich wydawców publikujących książki krytykujące komunistyczne władze w Pekinie), inni na miesiące zatrzymywani bez stawiania zarzutów (np. mecenas Li Heping, który bronił wielu prześladowanych w Chinach chrześcijan). Często też w mediach, kontrolowanych przez chińskie władze, ukazują się publiczne przyznania do win tych więźniów. Tak było z 45-letnią prawniczką Wang Yu. Swego czasu reprezentowała ona Ilhama Tothi, ugarskiego uczonego skazanego na karę dożywocia za rzekomy separatyzm. W sierpniu 2016 r. Wang w wywiadzie opublikowanym w hongkońskim, propekińskim dzienniku „Oriental Daily” przyznała się, że działała na szkodę państwa i dodała, że w Chinach działają „obce siły, które szkolą chińskich aktywistów, jak atakować krajowe władze”. W lutym zeszłego roku w publicznej telewizji wyemitowano „przyznanie się do winy” chińskiego prawnika, obrońcy chrześcijan, Zhang Kaia. Powiedział, że

jest winny „naruszenia porządku społecznego” i „działania na szkodę bezpieczeństwa państwa”. Zwrócił się także do innych prawników, aby „nie byli w zмовie z cudzoziemcami, nie brali pieniędzy od zagranicznych organizacji i nie angażowali się w działalność, która nie jest zgodna z prawem i jest szkodliwa dla bezpieczeństwa i interesów państwa”. W przygotowanym przez chińskich dziennikarzy materiale Zhang został nazwany „mózgiem wielu nielegalnych religijnych zgromadzeń”.

Znany ekspert do spraw Chin prof. Jerome A. Cohen, określił takie publiczne wymuszone wyznania win jako patetyczne i dodał, że „dziesiątki milionów Chińczyków nie są głupie i nie wierzą w taką farsę”. Rzeczywiście chińscy internauci nie wierzą i piszą, że przypomina im to metody rodem z okresu rewolucji kulturalnej czy propagandowe nagrania Państwa Islamskiego, którego ofiary tuż przed straceniem zrzekają się wiary chrześcijańskiej.

► Kampanie przeciw wierzącym

Właśnie chrześcijanie byli jednymi z ofiar rewolucji kulturalnej. Księży i wiernych torturowano. Trafiali na długie lata do Laogai (chiński guląg) i więzień. Czasem już z nich nie wychodzili. Taki los spotkał księdza Wang Shiweia. Aresztowany przez hunwejbínów, w 1969 r. został skazany na śmierć. Oficjalny wyrok mówił, że kapłan przeciwstawiał się władzy i nie chciał poddać się „intelektualnej reformie”. W rzeczywistości ks. Wang odmówił wyrzeczenia się wiary i poparcia ideologii komunistycznej. 15 lutego 1970 r. został najpierw pobity w swojej celi, a później rozstrzelany.

W okresie rewolucji kulturalnej w ramach ogłoszonej przez Mao Zedonga „kampanii wypłenicenia religii”, hunwejbini niszczyli też kościoły i palili krzyże. Minęło wiele lat, a nowy przywódca Chin Xi Jinping rozpoczął nową falę represji wobec chrześcijan w ramach tzw. kampanii sinizacji religii, mającej polegać na tym, że kościoły, m.in. za pomocą symboli, muszą się dostosować do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną”. W 2013 r. w dokumencie nr 9 (miał być tajny, ale dzięki dziennikarce Gao Yu trafił do zachodnich mediów), czyli okólniku z instrukcjami dla członków partii komunistycznej, wśród „niebezpiecznych trendów” w Państwie Środka wymieniono rosnące w siłę chrześcijaństwo. I znów burzone są świątynie, a krzyże na nich palone. Pojawiające się w chińskim internecie filmy z takich zajęć poruszają Chińczyków, bo przywodzą na myśl obrazy do okresu rewolucji kulturalnej. O tym, że sytuacja chrześcijan w Państwie Środka jest obecnie najcięższa od czasów Mao Zedonga, mówi pastor Bob Fu, założyciel chrześcijańskiej organizacji China Aid Association (CAA). Według niego, chińscy komuniści ponownie próbują ukrzyżować Chrystusa. ■

WOJNA INFORMACYJNA

Doktryny wielkich mocarstw

W trakcie niedawnych wyborów parlamentarnych w Holandii zrezygnowano z elektronicznego liczenia głosów i wrócono do systemu ręcznego. We Francji zapowiedziano, że w wyborach prezydenckich Francuzi przebywający poza granicami kraju nie będą mogli głosować przez internet. Wszystko z obawy, że rosyjscy hakerzy zrobią cud nad urną.

Praktycznie nie ma dnia, aby nie pojawiły się wiadomości o rosyjskich dezinformacjach, informacyjnym sabotażu, hakerskich włamaniach i podobnych agresywnych działaniach w cyberprzestrzeni. Na tym polu walki o kontrolę nad ludzką świadomością Moskwa dysponuje przewagą i nawet się z nią nie kryje. W ostatnim tygodniu lutego minister obrony Siergiej Szojgu ujawnił, że Rosja posiada „wojska operacji informacyjnych”. Był skąpy w szczegółach, ale poinformował, że są one „efektywne” w działaniach „zwanych kontrpropagandą” i same prowadzą propagandę „rozumną, kompetentną i skuteczną”.

► Osiągnąć cel bez zbrojnej przemocy

Znacznie szerzej zadania nowego rodzaju wojsk przedstawił rektor Akademii Problemów Geopolitycznych generał Leonid Iwaszow. Jego zdaniem wojska te muszą być „silne przede wszystkim potęgą mózgów i znajomością techniki”. Muszą się w nich znaleźć ludzie, którzy wiedzą, jak przekonywać liderów politycznych obcych państw, jak dotrzeć z informacją do ich establishmentów, a przede wszystkim „jak zanieść naszą prawdę do mas”. Takich zadań nie mogą wykonywać zwykli wojskowi. Zostały one powierzone „doświadczonym analitykom oraz wybitnym przedstawicielom środowiska dziennikarskiego”, którzy obok identyfikowania zagrożeń informacyjnych będą „przygotowywać kontruderzenia”, bowiem „trzeba zmusić Zachód do defensywy”.

Na rosnące znaczenie czynników niemilitarnych w konfrontacji między państwami zwrócił uwagę w styczniu 2013 r. szef rosyjskiego sztabu generalnego Walerij Gierasimow, który wśród nowych sposobów walki wymienił działania informacyjne oraz wykorzystywanie „potencjału protestu wśród lokalnej ludności cywilnej”. Jego uwagi znalazły odbicie w obowiązującej obecnie Doktrynie wojennej Federacji Rosyjskiej z 29 grudnia 2014 r. Na jej podstawie tworzone są w Rosji modele i scenariusze operacji informacyjnych, których zadaniem jest osiągnięcie aspiracji politycznych Moskwy bez uciekania się do zbrojnej przemocy. W przypadku kiedy Rosja użyje siły, zadaniem operacji informacyjnych jest szybkie rozładowanie międzynarodowego napięcia i stopniowe przekonanie światowej opinii publicznej do akceptacji *status quo*.

Istotnym elementem w aktualnej doktrynie jest stwierdzenie, że Moskwa uważa za zagrożenie dla jej bezpieczeństwa powstanie w państwach graniczących z Federacją Rosyjską rzą-

dów prowadzących politykę niezgodną z interesami Kremla. Tym samym poszerzona została strefa wpływów Moskwy i wprowadzona zasada ograniczonej suwerenności państw ościennych, które powinny bezwzględnie respektować interesy Rosji*. Przekonanie niepokornych, że są w błędzie i należy się podporządkować doktrynie potężnego sąsiada, to zadanie dla wojsk operacji informacyjnych, które mają oddziaływać na przeciwnika na całej głębokości jego terytorium oraz w globalnej przestrzeni informacyjnej**.

► „Obrona” rosyjskiego świata

Interpretatorzy doktryny z całą mocą i przy każdej okazji podkreślają, że priorytetem działań informacyjnych jest obrona Rosji, jej interesów oraz „świata rosyjskiego”. Przy czym „świat rosyjski” to: „rodacy w krajach bliskiej i dalszej zagranicy, emigranci, wychodźcy z Rosji i ich potomkowie. To także obcokrajowcy mówiący po rosyjsku, studenci i wykładowcy języka rosyjskiego oraz wszyscy, którzy szerzej interesują się Rosją i jej przyszłością***”. Dopiero po bardziej wnikliwej analizie okazuje się, że ta obrona „świata rosyjskiego” to głównie urabianie i sterowanie wymienionych środowisk w imię aktualnych potrzeb politycznych lub propagandowych Moskwy. Dowodem była dezinformacyjna opowieść o mieszkającej w Niemczech 13-letniej Rosjance Lizie F., którą imigranci uczynili „seksualną niewolnicą”, a niemiecka policja schowała głowę w piasek. Rozdmuchana przez rosyjskie media fałszywka sprawiła, że na ulice wylegli w burzliwych protestach Rosjanie mieszkający w Niemczech. Nasuwa się więc wniosek, że w scenariuszach konfrontacji informacyjnych „rosyjski świat” traktowany jest jako swoiste mięso armatnie.

Pomimo obronnego sztytu doktryny, teoretycy operacji w cyberprzestrzeni przewidują, że będą one miały agresywny charakter. Podkreślają, że „walka informacyjna musi być prowadzona planowo, systemowo, konsekwentnie i długoterminowo”. Do głównych zadań taktycznych zaliczają: zastraszanie przeciwnika; zadanie mu strat fizycznych, politycznych i ekonomicznych; destabilizację sytuacji wewnętrznej; manifestację własnej przewagi militarnej; szantaż i wymuszanie; rewanż za odrzucenie propozycji Kremla.

* Ibid., s. 18.

** Ibid. s. 21.

*** Portal fundacji Russkij Mir, <http://www.russkiymir.ru/fund/>

Zadaniem strategicznym jest odbudowa strefy wpływów utraconych po rozpadzie Związku Sowieckiego, przywrócenie Rosji statusu mocarstwa globalnego oraz realizacja imperialnych celów geopolitycznych, w tym czołowego projektu Unii Euroazjatyckiej od Władywostoku po Lizbonę****.

► W czasie kryzysu lub konfliktu...

Na tle tych ambitnych zadań amerykańska doktryna walki informacyjnej jawi się ubogo. Doktryna rosyjska zakłada, że walka informacyjna prowadzona jest na skalę globalną w czasie wojny i pokoju. Definicja amerykańska ogranicza walkę informacyjną do operacji prowadzonych w „czasie kryzysu lub konfliktu dla osiągnięcia określonych celów przeciwko określonemu przeciwnikowi lub przeciwnikom”*****.

W doktrynie z 2012 r. walka informacyjna ograniczona jest również do czasu zbrojnego konfliktu i ma „wywrzeć wpływ, przeszkodzić, wypaczyć lub przejąć proces podejmowania decyzji przeciwników lub potencjalnych przeciwników”*****. Doświadczenia kampanii w Afganistanie i w Iraku praktycznie zdegradowały walkę informacyjną do roli elementu wspierającego tradycyjne działania zbrojne w sferze informowania, wywierania wpływu i przekonywania do swoich racji. Operacje informacyjne ograniczano przy tym do konkretnego teatru wojennego, a ich adresatem była zazwyczaj lokalna ludność. Dopiero w 2016 r. pojawiły się głosy sugerujące, że zamiast wyjaśniać i tłumaczyć działania zbrojne po fakcie, taniej jest informacyjnie zapobiegać sytuacjom tworzącym konieczność odwołania się do argumentu siły.

Tocząca się w ostatnich kilku latach dyskusja amerykańskich teoretyków wskazuje, że na najwyższych szczeblach hierarchii odpowiedzialnej za bezpieczeństwo państwa zagrożenie wojną informacyjną po prostu przespano. Analiza 36 dokumentów dotyczących wariantów koncepcji i długofalowych celów strategicznych wykazała zdecydowany deficyt przywództwa. Zabrakło: zainteresowania prezydenta, autorytetów, wyboru

odpowiedniej drogi, wytyczenia jasno sprecyzowanej strategii. Dodać do tego należy niedostateczne finansowanie i chaos decyzyjny, kiedy kierownictwo różnych instytucji miały własny punkt widzenia na to, co jest dla Stanów Zjednoczonych strategicznie ważne.

Na szczeblu teatru wojennego brak jasno sprecyzowanej doktryny sprawiał, że dochodziło do „informacyjnego bratobójstwa”, kiedy jedna instytucja wojskowa przeczyła przekazom innej instytucji lub wręcz podważała jej wiarygodność, jak to się zdarzało podczas operacji w byłej Jugosławii. Jeszcze w 2016 r. eksperci intelektualnego zaplecza Departamentu Obrony z korporacji RAND podkreślali potrzebę opracowania klarownych rozwiązań koncepcyjnych i jasnych wytycznych strategicznych. W Rosji „analitiką informacyjną” zajmowało się wówczas ponad 340 ośrodków pracujących w myśl jednej globalnej strategii imperialnej. Obecnie, kiedy WikiLeaks publikuje tysiące tajnych dokumentów wykradzionych amerykańskim służbom, a Rosja dzień w dzień konsekwentnie kruszy zachodni system zasad i wartości, to CIA dumnie deklaruje, że jej misją jest „być innowacyjną, być w szpi-cy technologicznej i na pierwszej linii obrony państwa”*****.

► „Nowa walka ludowa”

Krajem, który konsekwentnie rozwija program walki informacyjnej, są Chiny, gdzie zalicza się ją do sfery działań militarnych, a nie politycznych. Jest ona wpisana w „zintegrowany system strategicznego odstraszania”, bowiem uważana jest za czynnik wyrównujący szanse w konfrontacji między militarnymi potęgami pierwszej i drugiej kategorii. W literaturze chińskiej pojawia się czasem porównanie, że cyberwojna to „nowa walka ludowa”, dzięki której „słabszy może pokonać silniejszego”. Chińskie wojska lądowe wciąż jeszcze nie mogą równać się z amerykańskimi, ale chińscy mistrzowie walki w cyberprzestrzeni mogą skutecznie sparaliżować wysoce zinfomatyzowaną US Army, a zwłaszcza jej systemy sieciowe i komputerowe, głównie w sferze dowodzenia i transportu. Chińscy teoretycy kładą przy tym nacisk nie tyle na przewagę technologiczną, ile na kreatywność.

**** Darczewska Jolanta... s. 30–31 i 36.

***** Marlatt Greta, „Information Warfare and Information Operations (IW/IO): A Bibliography”, Dudley Knox Library, Naval Postgraduate School, 2008, s. 1.

***** Joint Publication 3–13, Information Operations, 27 November 2012, Incorporating Change 1, 20 November 2014, Joint Chiefs of Staff, str. IX

***** CIA Statement on Claims by Wikileaks, 08 marca 2017 r. <https://www.cia.gov/news-information/press-releases-statements/2017-press-releases-statements/cia-statement-on-claims-by-wikileaks.html>

inwencję i samodzielność myślenia dowódców oraz podległego im personelu prowadzącego walkę informacyjną. Stawiane im zadania mają prowadzić nie tyle do zajęcia terytorium przeciwnika lub do eliminacji jego siły żywej, ile do skruszenia woli oporu. W opracowaniach teoretycznych podkreśla się, że oręż informacyjny to swoisty rodzaj uzbrojenia, dzięki któremu można wygrać kampanię bez uciekania się do tradycyjnych działań zbrojnych. Zwycięzcy w konfrontacji staje się ten, kto zdobędzie więcej bardziej dokładnych informacji i szybciej potrafi je przetworzyć i przekazać. Można więc przeprowadzić skuteczny wyprzedzający cyberatak na porty, lotniska, systemy transportu, instalacje łączności, dowodzenia oraz systemy informatyczne i sparaliżować możliwości przerzucenia sił przeciwnika przed ofensywą.

Prognozy chińskich analityków i strategów przewidują, że znaczenie cyberprzestrzeni jako teatru konfrontacji będzie rosnąć. Opublikowana w 2015 r. doktryna wojskowa podkreśla, że przestrzeń kosmiczna i cyberprzestrzeń będą polem walki, na którym rywalizować będą najważniejsze potęgi świata^{*****}. W opinii Trzeciego Zarządu chińskiego Sztabu Generalnego, który nadzoruje i prowadzi radio- i cyberwiad, w infosferze toczy się zażarta walka pomiędzy czołowymi mocarstwami. Stany Zjednoczone, Rosja, Japonia, Wielka Brytania, Niemcy i Kanada starają się przejąć strategiczną inicjatywę w świecie, w którym państwa są w coraz większym stopniu zależne od sieci komputerowych obsługujących administrację i siły zbrojne. Prowadzone w czasie pokoju operacje są, w opinii chińskich analityków, rekonesansem i fundamentem dla osiągnięcia „sieciorowej dominacji” na wypadek wojny.

► Operacje sieciowych oddziałów szturmowych

W opublikowanym w 2013 r. opracowaniu „Nauka Strategii Wojskowej” ujawniono, że Chiny posiadają „sieciorowe oddziały szturmowe”, które prowadzą „ofensywne operacje” w cyberprzestrzeni^{*****}. Siły te dzielą się na trzy kategorie: 1) specjalistyczne wojskowe oddziały

operacyjne prowadzące ataki w sieci i organizujące obronę chińskiej infrastruktury sieciowej; 2) siły autoryzowane przez Ludową Armię Wyzwoleńczą, ale złożone z personelu podlegającego resortom bezpieczeństwa państwowego i bezpieczeństwa publicznego oraz innym instytucjom; 3) siły pozarządowe, czyli firmy zajmujące się cyberbezpieczeństwem, grupy hakerskie, i tym podobne organizacje, które w razie potrzeby mogą być mobilizowane do prowadzenia walki informacyjnej^{*****}.

Fakt, że potencjał cywilny, zgodnie z doktryną „wojny ludowej” Mao Tse-tunga, wpisany został w struktury wojskowe i może być mobilizowany, ma istotne znaczenie, bowiem walka informacyjna opiera się na ludzkich umiejętnościach, talencie i wiedzy. Dostęp w dowolnym momencie do cywilnych zasobów zwiększa więc niepomniernie możliwości struktur wojskowych. Ponadto wielu doświadczonych specjalistów pracuje w zagranicznych przedsiębiorstwach chińskich podmiotów gospodarczych, co siły zbrojne mogą w razie potrzeby wykorzystać do własnych operacji. Na przykład do „działań graniczących z wojną” lub „ostrzegawczych ataków informacyjnych” przewidzianych w zintegrowanej strategii odstraszenia razem z potencjałem nuklearnym, konwencjonalnymi pociskami dalekiego zasięgu oraz działaniami w przestrzeni kosmicznej.

Trzy wielkie mocarstwa dysponujące potężnym potencjałem militarnym mają, jak widać, trzy różne doktryny wojny informacyjnej. Amerykańska widzi w niej wsparcie dla tradycyjnych operacji militarnych, chińska kładzie nacisk na potencjał odstraszenia, a kiedy ten zawiedzie, na możliwość wykonania uderzenia wyprzedzającego, które wyrówna szanse nawet z silniejszym przeciwnikiem. Najgroźniejsza jest wojna informacyjna wedle doktryny rosyjskiej, gdyż jest to totalna wojna niszcząca, obok infrastruktury, świadomość przeciwnika i degradująca atakowany naród do zbiorowiska niewolników.

USA, Rosja, Japonia, Wielka Brytania, Niemcy i Kanada starają się przejąć strategiczną inicjatywę w świecie, w którym państwa są w coraz większym stopniu zależne od sieci komputerowych obsługujących administrację i siły zbrojne. ■

***** „China's Military Strategy”, 2015 r.

***** Aftergood Steven, „China's Science of Military Strategy” (2013), „Secrecy News”, The Federation of American Scientists, 03 sierpnia 2015 r. <https://fas.org/blogs/secrecy/2015/08/china-sm/s/>

***** McReynolds Joe, „China's Evolving Perspectives on Network Warfare: Lessons from the Science of Military Strategy”, The Jamestown Foundation, „China Brief”, t. 15 nr. 8, 17 kwietnia 2015 r.



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Na Lofoty... po wiare

Północna Norwegia. Archipelag odległej północy. Gdzie noc i dzień polarny tylko się wymieniają. Gdzie spełniają się marzenia. Gdzie odnajdywana jest wiara.





Współczesne Nustjord to de facto wielka odtworzona makieta starej, dobrej, rybackiej osady

– Pan tam nie jedzie! Nie ma sensu! – grzmiał.
– Za późno. Bilety już kupione. Trasa wytyczona. Samochód na miejscu zarezerwowany i w połowie opłacony. Nie mogę się wycofać... – tłumaczyłem spokojnie.

– Bo wie pan... – Głos w słuchawce jakby na chwilę się zawiesił. – Rozmawiałem przed chwilą z panią Elżbietą. To Polka mieszkająca w Narwik. To jest tuż obok Lofotów, tam gdzie pan tak się uparł lecieć. Mówi, że od kilku tygodni praktycznie nie wychodzi się z domu. Psa z budy by nawet nie wygoniła. Szarówka jest taka, że na kilka metrów ledwo co widać. Nie ma sensu... Żal pańskiej fatygi. Żal pieniędzy...

– Ale ja już nie mogę... – Po raz kolejny spróbowałem uświadomić mojemu rozmówcy sytuację.

– No rozumiem, rozumiem... – Głos w słuchawce jakby się uspokajał. – Ale ja przecież panu mówiłem. Sam leciałem na Lofoty przeszło trzykrotnie. I zawsze, powtórzę to: zawsze, było deszczowo i obrzydliwie. Tam po prostu tak jest...

Odkładałem słuchawkę. Po takiej rozmowie trudno mieć tęgą minę. Dzwonił szef norweskiej firmy deweloperskiej. Kto jak kto, ale on akurat zna Skandynawię jak własną kieszeń. W ciągu roku bywa tam wielokrotnie. Próbował pomóc. Wie, gdzie się wybieram. Chcę spełnić jedno ze swych marzeń.

► Lofoty pod grzejnikiem

Dziś już nawet nie pamiętam, kto mi po raz pierwszy powiedział o Lofotach. Może ojciec? To by w sumie miało sens. Odkąd pamiętam, fascynowała go Norwegia. Zwłaszcza ta daleka, północna, za kołem podbiegunowym. A może o Lofotach po prostu gdzieś przeczytałem? Albo zobaczyłem chwytliwy baner na którymś z targów turystycznych? Ze sloganem, który od lat majaczy mi się w głowie: „Norweska Nowa Zelandia”. Tak... Na odległą wyspę antypodów chciałoby się kiedyś polecieć. Ale to przecież jeden z najdroższych kierunków na świecie. Za to tutaj, na Lofoty? Naprawdę wyjazd na norweski archipelag nie zdemoluje naszego wakacyjnego budżetu.

Liczy sobie 112 kilometrów. Dokładnie tyle dzieli południowy kraniec małej wyspy Røst od wąskiej cieśniny Rofstundet na wschodzie. Lofoty. Mityczny norweski archipelag kilkuset skalistych wyspek. W większości kompletnie bezludnych. Połączonych ze sobą mostami, tunelami. Na gro z nich dopłyniemy jednak tylko łodzią. Tych zaś jest tu bez liku. Stoją zacumowane przy niewielkich drewnianych mostach. W rybackich portach. Zwłaszcza na czterech największych wyspach: Austvågøy, Vestvågøy, Flakstadøy, Moskenesøy. Kołysane przez zimne ciemnogranatowe wody norweskich fiordów. Na dalekiej północy Europy. Ogrzewane przez tzw. grzejnik Europy, jak hydrołodzi zwykli nazywać Zatokowy Prąd Golf-



sztrom. Wpływający w chłodne wody Morza Arktycznego niesie ze sobą rozgrzane fale znad równika. To w znacznej mierze właśnie dzięki niemu zimą powietrze nad oceanem u wybrzeży Lofotów jest średnio o ponad 22 °C (!) cieplejsze niż powietrze na podobnych szerokościach geograficznych. A rybacy weseli.

► Jak to Olaf ryby łowił

Wieczór. Zupełnie ciemno. Chociaż to i tak nie ma znaczenia. Przecież słońce zaszło za horyzont już około trzynastej. Od kilku miesięcy na Lofotach mamy noc polarną. Brodaty Olaf wyciąga ze swojej czerwonej rybackiej chatki wielką sieć. Podczas gdy cała wioska układa się właśnie do snu, on dopiero zaczyna. Łódź już czeka. Na niebie nieprzeliczony rój gwiazd. Znak, że wreszcie nadszedł tak wyczekiwany przez Olafa wyż. Na morzu powinno być dzisiaj spokojniej. „No! I to ja rozumiem...” – szepcze w duchu, uśmiechając się do siebie. Opatulone w grube skórzane rękawice dłonie grabieją od zimna i wilgoci. Woda, która tutaj przecież nigdy nie zamarza, gdy tylko znajdzie się na jego brodzie bądź brwiach, momentalnie zamienia się w drobne kryształki lodu. W pewnym momencie jest już tego tyle, że zrezygnowany rybak przestaje się w ogóle tym zajmować. Jeszcze

chwilka i jego ciemna broda stanie się siwobiała. Nie ma się co rozżalać. Czas płynąć.

Tak to mogło właśnie wyglądać. Każdego wieczora. Kilkudziesięciu podobnych Olafów wypływało w morze. Szkwiał, nie szkwiał. Deszcz, nie deszcz. Zimno, nie zimno. Przecież hanzeatyckich kupców to i tak nie będzie obchodzić. Suszony dorsz – od nie tak dawna przysmak całej południowej Europy – ma być dostarczony niezależnie od warunków. Taka była umowa. Proste. A przecież chatę z czegoś spłacić trzeba.



Suszony dorsz: europejski przysmak prosto z lofockich wód



Od tamtej pory troszkę czasu już minęło. Na Lofotach jednak wiele rzeczy wcale się nie zmieniło. Nie ma już wprowadzić niemieckich handlarzy, bezwzględnie wykorzystujących ubogich rybaków z północy. Stare, rozsypujące się łajby zostały zastąpione przez bezpieczne kutry. A z chatek rombu, w których w szczytowym okresie lat 30. XX wieku mieszkało nawet 30 tys. rybaków, zrobiono luksusowe domki do wynajęcia dla żarłocznych turystów. Popyt na norweskiego suszonego dorsza jednak pozostał. Biznes nadal się kręci.

Maciupénkie Nusfjord. Miasteczko na przedostatniej wyspie Lofotów Flakstadøya. Tutaj co nocne wypływy na połów brodatych Olafów są już zaledwie wspomnieniem. Niegdyś klasyczna rybacka wioska. Ulokowana na skalistym brzegu. Chroniona przed gwałtownymi wiatrami i szkwałem przez wielki cypel rozciągający się naprzeciwko. Cicha i schowana przed światem. I tutaj podobnie. Niewiele się zmieniło. A na pewno pod względem pejzażowym. Drewniano-kamiennie pale, na których wznoszą się charakterystyczne czerwone domki rombu, są nadal systematycznie oblewane przez zimne wody Morza Arktycznego. Nad osadą wznoszą się wielkie konstrukcje drewnianych belek – suszarnie dla złowionych w morzu dorszy. Po miasteczku prowadzi wciąż ta sama pojedyncza dróżka. A tarasem widokowym na wielką wodę jest ten sam drewniany most co niegdyś. Niby wszystko pozostało

Nusfjordzki dobytek utrzymywany jest przez interkontynentalne towarzystwo

jak dawniej. Nieco odrestaurowane, ale jednak takie jak dawniej.

► Zarabiać w Nusfjord

– Witamy w Nusfjord! – młodzieńca skośnooka dziewczyna wychodzi z niewielkiej budki przy wejściu do wioski. – Za bilet normalny należy się 50 norweskich koron [około 25 zł]. Za ulgowy zaś...

– Ale my tylko chcemy wejść porobić zdjęcia. – Nieco zbity z tropu przerywam, zgadując, że dziewczyna proponuje mi prawdopodobnie jakieś miejsce noclegowe albo inną rozrywkę.

– Tak, tak. To jest cena za wejście do miasteczka. Wchodzi pan do skansenu. Będzie pan potrzebował faktury na bilet?

A zatem jednak coś się zmieniło. Współczesne Nusfjord to po prostu przepiękna makietka. Brodatych Olafów i innych rybaków dawno już tutaj nie ma. W ich domkach nocują dziś bogate Andreasy i Michaele. Sprawdzając, jak to jest, kiedy o piątej rano budzi cię delikatny stukot deszczu o dach. I kiedy wychodząc na taras, sprawdzić, co to takiego, możesz oczami wyobraźni zobaczyć wracających przy porannej mgłę rybaków. Z sieciami pełnymi dorsza. I pozostaje tylko jeden pro-

blem. Za takie wyjście o poranku na taras swojej chatki rombu trzeba zapłacić 2500 NOK (5000 zł). Na szczęście za wyobrażanie sobie – już nic.

I coś jeszcze. Dziś w Nusfjord jest przepiękne słońce. Ani śladu pochmurnego nieboskłonu, przed którym tyłu ostrzegało.

– Polacy? – słyszę w pewnej chwili zza pleców.

– Tak...

– Fajnie widzieć swoich. – Pogodny, krótko ostrzyżony chłopak pcha w naszym kierunku wózek wypełniony brudną pościelą.

– Skąd wiedziałeś, że jesteśmy z Polski? – pytam, gdyż od kilku już minut spacerujemy wraz z kolegą po Nusfjord zupełnie w milczeniu.

– Tutaj wszystko szybko się rozchodzi. Powiedzieli mi na kasie, że moi przyjechali. Szkoda, że ja nie miałem akurat dyżuru. Wpuściłbym was za darmo – śmieje się.

To Łukasz. Mieszka w Polsce. Do Norwegii przyjeżdża na letni sezon wakacyjny. Zarabia tu tyle, że przez większą część roku akademickiego może się utrzymać jako student w kraju. Wraz z pozostałą częścią zespołu (jest Wietnamka, dwie Chinki, Filipińczyk, Meksykanka...) utrzymują całe miasteczko przy życiu. Od utrzymywania domków rombu w czystości, przez obsługę biletową, po restaurację i sklepiki.

– Ależ macie farta, panowie... – rozmarza się Łukasz, patrząc w niebo. – No, normalnie bez kitu...

– Ale w jakim sensie? Chodzi o pogodę?

– No ba! Człowieku! Tu zwykle hula tak, że hej! Nie wyściubisz nosa za drzwi! Deszcz, ciemno, wiatr. Nie dziwota, że tylu depresantów w tej Norwegii. Ja bym nie wytrzymał. Dobrze, że jestem tu tylko w lato. Wtedy i tak jest najwięcej pogody. Jak dziś. A jak będziecie już uciekać, dajcie znać. Napęnie wam butelki tutejszą wodą. Wprawdzie kranówką, ale wiercie mi: ja za tą kranówką tęsknię cały rok. Przepyszna jest. Ponoć najlepsza woda w całej Norwegii!



Typowe dla tutejszego krajobrazu wyrzeża domki rombu

► Gdy wiary brak...

Faktycznie. Tym razem pogoda dopisała. Wędrowanie po zachmurzonych i deszczowych Lofotach miało by się zupełnie z celem. To tak jakby oglądać Mona Lisę z odległości 200 metrów – w dodatku przez dziurkę od klucza. Bez sensu. Dziś mogę się jednak przyznać. Sam nie wierzyłem. Pamiętam, jak wraz z przyjaciółką biadoliłem przed wylotem. Że tyle trudu i zachodu. Że tyle wydanych pieniędzy. Planów, zaangażowania i tego wszystkiego... I teraz, kiedy wreszcie nadarza się okazja, aby spełnić życiowe marzenie... Deszcz? Prognozy ciemnych chmur? Permanentnego wiatru? Pluchy? Pamiętam jej odpowiedź. Jak dziś.

– Stefan, przecież już się o to modliliśmy. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, pamiętam... – odpowiadałem nieco zawstydzony. Ale też, co tu wiele ukrywać, jakby na od-czekpę.

– Przecież On wie, że wraz z operatorem potrzebuje ciej ładnej pogody.

– No tak, pewnie wie... – Nadal potakiwałem bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania.

– To do jasnej ciasnej, czym się ty nadal martwisz? Nie wierzysz Mu? – Wiara tej dziewczyny przerastała góry. Przecież wszystko wokoło przeczyło temu, co mówi. A jednak nadal była przekonana, że będzie dobrze.

– Wierzę. Ale...

Z tym moim „ale” już polecałem. Z „ale” obaw, „ale” zamartwień, z „ale” nieufności i „ale” niewiary. I gdy z samolotowego okienka zobaczyłem, co nam szykuje lofocka ziemia – skąpana w słońcu i świetle błękitnego nieba – było mi po ludzku głupio.

– Czekalam aż zadzwonisz – usłyszałem w słuchawce. Wykręciłem jej numer, aby powiadomić ją na świeżo o dobrej nowinie. Że faktycznie stał się cud. Że Lofoty są dziś na tle błękitnego nieba. – Ech... Czasem cię nie rozumiem, Stefan. Ja naprawdę byłam pewna, że zobaczysz ten archipelag takim, jaki on jest w twoich marzeniach. Idę dziękować. Tak się cieszę.

► Olstinden, czyli góra-marzenie

Tak... Takich miejsc wprost nie wolno podziwiać w deszczu. Lofoty to przecież istne naturalne cudo. Skalne ściany wyrastają tu prosto z ciemnej wody. Kiedyś tworzyły zwarte pasma górskie. Dziś, zalane fiordami, utworzyły przepiękne wyspy. Z masywnymi szczytami rosnącymi wprost z tafli. Jak choćby Olstinden – niezwykła piramida ulokowanej po drugiej stronie zatoki góry Reinebringen. Gdy pod nami majaczy niewielka miejscina Reine. Rozlokowana na kilku przylądkach i półwyspach. Połączonych mostami skrawkami lądu, które wydają się tak maciupeńkie, że ustawienie na



Na norweskich Lofotach czas płynie w sobie tylko znanym tempie

nich domu graniczy z cudem. A co dopiero zaparkowanie obok samochodu? Tak, zdecydowanie. Reine jest niepowtarzalne.

Najzabawniejsze jest to, że tak naprawdę nikt dotąd nie poprowadził oficjalnego szlaku na Reinebringen. Ścieżka jest, ale wokoło wejścia można znaleźć napisy ostrzegające przed wybraniem się w górę. Że „na własne ryzyko”, że „ścieżka nie została wytyczona oficjalnie”. Nie zmienia to faktu, że i tak chętnych jest naprawdę wielu. Bo i widok z góry wielu zapamięta na zawsze. Część i tak wyjdzie w góry grubo po dwudziestej drugiej...

► Gdy nie chce się spać

– Krzysiu, ile jeszcze zamierzamy kręcić? – moje pytanie wydaje się zupełnie zasadne. Kilka godzin temu opuściliśmy lotnisko Narvik w północnej Norwegii. Właśnie mija piąta godzina jazdy nowo wypożyczonym autem. W tym czasie udało się nakręcić już całkiem wiele ujęć do programu telewizyjnego. Ale mam wrażenie, że Krzyskowi wcale nie jest dość.

– Jak to ile? Ile fabryka dała! – śmieje się siedzący obok na miejscu pasażera Krzysztof, polerując jednocze-

śnie szmateczką obiektywy swoich kamer. – Póki jest światło, nie ma co marnować okazji.

Próbujemy uchwycić dosłownie wszystko. Cudne piaszczyste plaże (pamiętajmy, że znajdujemy się już za kołem podbiegunowym północnym, zatem widok białych, ciągnących się plaż powinien nieco zastanawiać...), mchy pod skalnymi turniami, łąki porośnięte kwiatami, słynne posępne fiordy czy wreszcie skaliste turnie. Migawki aparatów strzelają aż miło. Co ciekawe, adrenalina sprawia, że o zmęczeniu nie ma nawet mowy. Tym bardziej o śnie.

– Która godzina? – wypala wreszcie Krzysiek. Chyba dość skolowany faktem, że pracujemy już tyle czasu, a tu wciąż jasno i jasno...

– Dwudziesta trzecia trzydzieści. Zbliża się północ... – odczytując wskazówki zegarka, sam nie do końca dowierzam temu, co właśnie powiedziałem.

– Żartujesz, prawda?

– Czekaj... – zaczynam się głośno zastanawiać. – Może tu w Norwegii zmieniają jakoś czas?

– Nie może być – Krzysztof nachyla się nad deską rozdzielczą auta. – Samochodowy zegar pokazuje to samo. Zaraz północ.

– Nie do wiary...



Jeśli tylko na Lofotach jest pogoda, tutejsze krajobrazy mogą z powodzeniem pretendować do najpiękniejszych na świecie

Słyszałem o zjawisku dnia i nocy polarnej. Zawsze jednak wydawało mi się, że przy kole podbiegunowym ten dzień nie może trwać tak jak na biegunie: całą dobę. Że może być nieco dłuższy, ale na pewno nie taki, że przez całą dobę będzie widno. Myliłem się. Wstyd.

Już po północy. Niebo nadal czyste. Mijamy wielkie jezioro. O tym, że jest noc, świadczą opary unoszące się nad taflą. To woda oddaje ciepło do atmosfery. Ogrzana za upalnego dnia, chłodną nocą zwraca to, co otrzymała kilka godzin temu. Majestatyczne zjawisko. U nas w Polsce dostrzegane zwykle tuż przed świtem. Gdy jest najchłodniejsza pora doby. Ale też gdy pierwsza zorza budzącego się świtu pozwala nam cokolwiek zobaczyć. Tutaj nie ma z tym problemu. Jest przecież widno. Oczywiście światło słoneczne dnia polarnego o godzinie dwunastej w dzień różni się od tego o dwunastej w nocy. Teraz jest jakby nieco przyprószone popiołem. To wystarcza jednak, aby móc czytać książkę i aby nieprzyzwyczajony do dnia polarnego organizm miał problemy z zaśnięciem.

Przed nami lofocki pejzaż fantastycznie podzielony grą światłocieni. Ulokowane pod pobliską górą łąki spowite są padającym nań cieniem masywu. Zaś oddalone nieco od góry jezioro nadal przyjmuje wątlę, pomarańczowo-szarawe światelko. W życiu czegoś podobnego jeszcze nie widziałem.

► Polowanie

Minie ponad pół roku, gdy powtórnie wrócę za koło podbiegunowe północne. W zupełnie innej rzeczywistości ...

– Biiip!!! – klakson słyhać gdzieś z mojej lewej strony. To wystarcza. Momentalnie się przebudzam. Trąbiący samochód może mnie bezpiecznie minąć dopiero teraz. Przed chwilą prawdopodobnie zjechałem mu dro-

gę. Absolutnie nie ze złości. Raczej ze zmęczenia. Moje oczy powoli gasną. Musiałem na sekundkę przysnąć. Podobnie jak śpią w tej chwili wszyscy współpasażerowie. Zmęczeni jak ja. Dopiero ten klakson stawia nas do pionu.

To już drugi dzień jazdy. Z przerwą na krótki nocleg w namiocie. Na śniegu, tym razem gdzieś w środkowej Szwecji. Kilka godzin snu w śpiworze na zmarzniętej lodem i śniegiem glebie. Nie ma czasu na więcej. Odpocznijmy po powrocie. Polowanie wymaga przecież poświęcenia, ofiary. No i czasu. Nie ma co ukrywać – wiedziałem o tym wszystkim, gdy parę dni temu znajomy zaproponował mi udział w wyprawie do dalekiej Laponii na polowanie. Polowanie na zorzę polarną. Zgodziłem się, więc teraz nie ma co narzekać. Jedziemy dalej.

– Dziś współczynniki KP oscyluje około dwójki – słyszę w samochodowym walcie-talkie. To drugi samochód. Jadą przed nami. Ktoś właśnie sprawdził w specjalnej aplikacji poziom prędkości wiatru słonecznego. To od niego zależy, jak wielka będzie zorza danej nocy. KP waha się od zera do dziewięciu. Gdy dochodzi do dwóch, zorza powinna być dobrze widoczna już w okolicach kół podbiegunowych. My właśnie je przekraczamy. Nadzieja rośnie.

Panująca na tych szerokościach noc polarna sprawia, że słońce wychyla się zza horyzontu jedynie na parę chwil. A to wcale nie ułatwia skupienia podczas jazdy. Szwedzi i Finowie nie zwykli odśnieżać dróg aż do poziomu czarnego asfaltu. Nie posypują też ich solą. Jedziemy więc po piękne białym naturalnym dywanie. Z metrowymi zaspami po obu stronach. Trzeba być bardzo ostrożnym. Wypadek z innym autem raczej nam nie grozi (w ciągu ostatnich kilku godzin nie minęliśmy praktycznie żadnego). Ale dachowanie już jak najbardziej.



Widok na pobliski Olstinden – niezwykłą piramidę oglądaną z ulokowanej po drugiej stronie zatoki góry Reinebringen. Takie rzeczy tylko na Lofotach!

Tym bardziej że na znacznych odcinkach nie ma już żadnych innych źródeł światła oprócz naszych świateł mijania. Żadnych latarni, miasteczek, wsi. Jedynie las, las, las...

– Uwaaaaa! – krzyk kolegi. Wciskam odruchowo hamulec. Koła samochodu zaczynają buksować. Włącza się ABS. Auto systematycznie podryguje czkawką. Dopiero teraz je widzę. Ciemne cienie. Sylwetki przechadzających się dumnie przed naszym zderzakiem kilkunastu reniferów. Przyglądają się nam z zaciekawieniem. Nie boją się. Mało brakowało.

Wjeżdżamy na teren Finlandii. Parę chwil temu na niebie widać było zielonkawą smugę. To pojawiała się, to znikwała. Zorza polarna. Zatrzymaliśmy się, aby zrobić zdjęcie. Niestety. Nie zdążyłem rozstawić statywu, jak zorza się rozpuściła.

Czas opuścić szosę. Skręcamy. Ścieżka w lesie jest jeszcze węższa. Ale, o dziwo, też odśnieżona. Ktoś tu najwidoczniej jeszcze jeździ. Smuga samochodowych świateł zżrećnie świdruje otaczające leśną drogę zasy. Jest coraz piękniej. I coraz bardziej ekscytująco. Do naszej leśnej chaty już raczej nikt nie dojeżdża. Nie ma w niej prądu ani wody. Trzeba napalić w piecu, a następnie topić śnieg. Dopiero wówczas będzie można zjeść coś ciepłego. Jedynymi źródłami światła są nasze czołówki. Poza tym piękna ciemność.

100 metrów od chatki rozciąga się jezioro. Dziś totalnie zamarznięte i przykryte metrową warstwą śniegu. Otwarta przestrzeń. Bechmurne rozgwieżdżone nocą niebo. Idealne warunki do polowania na zorzę. Może jednak się uda?

KP spada do jedyńki.

– Widzicie ją? Jest! – kolega wskazuje na ledwo tłącą się wstążkę na niebie. Dla nieuprzedzonego oka zjawisko nie do uchwycenia.

Dopiero po rozstawieniu statywu i zrobieniu zdjęcia na długim czasie naświetlania widzę efekt. Przepiękna zielono-żółtawa toń na ciemnym niebie.

– Ech... Ta zorza znacznie lepiej wygląda na zdjęciach niż na żywo – narzeka koleżanka.

– To ty nie wiedziałaś? – dziwi się ktoś. – Że z tej zorzy to taka mała cwaniara jest. Kusi ludzi zdjęciami. Ty to podziwiasz. I w końcu przyjeżdżasz, aby zobaczyć na żywo. I wtedy realizuje się jej plan. Bo ostatecznie okazuje się, że przyjeżdżasz po coś zupełnie innego.

Racja. Wcale nie żałuję, że dałem się nabrać. Bo tak po prawdzie: czy nie było warto tu przyjechać?

► Pierwsza trójka

Na Lofotach również można znaleźć zorzę. Gorzej będzie tylko ze znalezieniem schowanej w lesie chaty bez prądu i wody. Czy jednak będzie nam ona tutaj potrzebna? W końcu norweskie prawo Almannstretten mówi jasno: każdy może korzystać z dóbr i uroków tutejszej przyrody. W Norwegii zatem możemy rozstawić namiot praktycznie wszędzie. Warunki są jasne. Tylko na jedną noc i z dala od domostw, zatoczek i punktów widokowych. Wolno nam spacerować po lasach, i tych państwowych, i prywatnych, zbierać grzyby i jagody. Wolno wejść na nieoznakowaną ścieżkę na Reinebringen. Przyroda ma tu być dla każdego. Bez wyjątku. Czy to w dzień polarny, czy w noc. To przecież najmniej istotne.

Być może także to miało wpływ na werdykt magazynu podróżniczego „National Geographic Traveller”, który umieścił w swoim rankingu Lofoty w trójce najbardziej atrakcyjnych turystycznie archipelagów na Ziemi. Osobiście nie wiem, co robi tam pozostała dwójka. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Bitwa germańsko- osmańska

W Europie żyje dziś około 5 milionów Turków. Połowa z nich jest uprawniona do głosowania. To o wsparcie tej grupy przed kluczowym dla Recepty Tayipa Erdoğan referendum konstytucyjnym zabiegali ministrowie tureckiego rządu na spotkaniach z rodakami w Niemczech i Holandii. Wiemy już, jaki był finał tych występów na wyjeździe. Dyplomatyczny skandal i porażka. Nie, nie tylko strony tureckiej.

Sytuacja przedstawia się tak: drugie najsilniejsze państwo NATO jest w stanie werbalnej wojny z przywódcami Niemiec, mniejsza o Holandię. Niewykluczone, że z płaszczyzny słownej spór rozleje się kolejną falą migracji, a nawet konfliktem wewnątrz Sojuszu Północnoatlantyckiego. Pierwsze symptomy takiego scenariusza już za nami. 15 marca szef tureckiej dyplomacji Mevlüt Cavuso lu zagroził wypowiedzeniem porozumienia w sprawie uchodźców zawartego rok temu między Ankarą a państwami UE, jeżeli Unia nie przystanie na zniesienie wiz dla tureckich podróźników. Następnie Süleyman Soy lu, minister spraw wewnętrznych Turcji, w rozmowie z państwową agencją prasową ANADOLU w nocy z 16 na 17 marca zapowiedział: „Jak chcecie, wysłamy wam każdego miesiąca 15 tys. uchodźców, obyście się nie zdziwili”. Soy lu nie omieszczał odnieść się przy okazji do zatargu z holenderskimi i niemieckimi władzami: „Czy zmiany dotyczą konstytucji Niemiec czy Holandii? Co was to obchodzi? Dlaczego się mieszacie? Czyżbyście przyjęli Turcję do Unii Europejskiej? A może wspieraliście nas w walce z terrorem?”. Pytania były retoryczne, a każde z nich niczym uderzenie jataganem o kopułę Reichstagu. Miało zabość i przestraszyć, a nic tak aktualnie zachodu Europy nie przestrasza, jak wizja kolejnych milionów uchodźców u bram. Dwa dni po deklaracji ministra Soy lu, media niemieckie zaktywizowały się znówu na odcinku „uchodźczym”, meldując, że liczba imigrantów docierających do europejskich wybrzeży... podskoczyła.

► „Faszystowska Europa”

Jeszcze zanim padły groźby ze strony tureckiej, w Niemczech już zaczął się ferment stawiający pod znakiem zapytania współpracę militarną z Turcją. 12 marca CSU, bawarska siostra CDU, zażądała wycofania żołnierzy Bundeswehry stacjonujących w bazie lotniczej NATO Incirlik w tureckim mieście Adana. Najbardziej zagorzałym fanem takiego posunięcia był Florian Hahn, a jego propozycja spotkała się z poparciem samej Sahry Wagenknecht, lwicy postkomunistycznego Die Linke, która dodała, że Niemcy powinny wycofać z Incirlik myśliwce wielozadaniowe Tornado oraz zaprzestać inwestowania w infrastrukturę bazy i jej uzbrojenie. To, że postkomuniści domagają się demontażu NATO i nie przepuszczają żadnej okazji, by wcielić plan w życie, choćby i częściowo, nie zdumiewa, ale że CSU w ten sposób się bawi, już może niepokoić. Ci ludzie jednak współrządzą Niemcami. A Ankarę szybko podejmuje decyzje, zwłaszcza gdy czuje się jak przepędzany przez „faszystowską Europę” – jak to ostatnio ujął Erdoğan – z miejsca na miejsce zwier. Zwierz zraniony w swojej dumie. Słusznie mówi się

o profitach, jakie i z tej sytuacji Erdoğan będzie zdolny wyprowadzić, przekuwając porażkę europejską w sukces wewnątrzpolityczny, ale lepiej nie zapominać, że Matka Rosja, obserwując ostatnie spięcia, uśmiecha się szelmowsko, licząc na jeszcze silniejsze poróżnienie Sojuszu z Osmanami. Czas pokaże, z na ile poważną wspólnotą interesów rosyjsko-tureckich przyjdzie nam się zmierzyć i czy w przypadku ocieplenia relacji z Zachodem Ankarą znów nie odwróci sojuszy, co zdarzało się jej przecież nieraz. Chyba że teorie Yiğita Buluta ważą więcej niż jego opowieści o morderczej telekinizie i cała strategia Ankary zamyka się w słowie „balans”... Ale o tym za chwilę.

► Szwajcarskie podejście do demokracji

Tymczasem, co do spraw NATO, od sierpnia Ankarę skutecznie blokuje ruchy Austriaków, czyniąc to nieoficjalnie w podziękowaniu za wiedeńskie „NEIN” dla kontynuacji rozmów akcesyjnych UE-Turcja. Efekty blokady, która początkowo ograniczała się do braku tureckiej zgody na zmiany kadrowe proponowane przez Austriaków, teraz zaczynają uderzać rykoszetem w innych członków Sojuszu, m.in. Szwedów, Finów, Australijczyków i Szwajcarów. Być może tych ostatnich skutki konfliktu austriacko-tureckiego dosięgają dziś z perspektywy ankarskiej „całkiem słusznie”. W końcu to szwajcarski dziennik „Blick” wydał 13 marca specjalny numer z tytułem „Powiedz NIE dyktaturze Erdoğan’a”, sformułowanym w języku tureckim. Na okładce zamieszczono list otwarty redakcji dziennika do Turków mieszkających w Szwajcarii, z wyraźną instrukcją, jak jako „kochający swobody obywatelskie” ludzie powinni zagłosować w referendum 16 kwietnia. Przy całym szacunku dla Szwajcarów, ich zegarków i czekolady, do swobód obywatelskich należy też wolność wyboru. A na marginesie, ciekawe, jak w analogicznej sytuacji na taką publikację zareagowałby na przykład rząd Angeli Merkel. Oczywiście sprawa nie mogłaby dotyczyć referendum ogólnonarodowego, której to instytucji w Niemczech od wiadomych wydarzeń nie ma, ale np. wyborów do Bundestagu. „Masz już dość uchodźców? Powiedz Merkel NIE” albo „Schulz do książek, Angela do Kanclerzamtu!”. Może Szwajcarzy przetestują ten wariant we wrześniu.

► Stróż Erdoğan – z telewizji do Ak Sarayi

Najważniejszy doradca przy boku Erdoğan’a nazywa się Yiğit Bulut. Zanim w 2013 r. dołączył do ekipy prezydenta, pracował jako analityk finansowy, publicysta i szef informacyjnej stacji telewizyjnej Habertürk TV. Już w chwili objęcia posady doradcy ujawnił swój

potencjał eurosceptyka, jego wypowiedzi dotyczące Unii Europejskiej raczej nie uchodzą uwagi Erdoğanowi. Bulut mieszkał w Europie, finanse studiował nie tylko w Turcji, lecz także na paryskiej Sorbonie, mówi po angielsku i francusku i poza dość karkołomnymi tezami (jak chociażby ta, że wrogie siły z Zachodu chcą zamordować Erdoğanowi za pomocą telekinezy) miewa i przebliski godnych uwagi prognoz.

W lipcu 2013 r. na łamach „Stargazete” twierdził, że Europa w wyniku kryzysu ekonomicznego i w warunkach tzw. nowego porządku światowego nie będzie grała żadnej znaczącej roli, więc Turcja musi znaleźć równowagę między polityką względem Rosji a Stanami Zjednoczonymi. Bulut już wtedy doradzał Ankarze szpagat między Rosją i USA oraz USA a Bliskim Wschodem, ale z zaznaczeniem, że nie może sobie pozwolić na działanie solo. Prognoza z tamtego okresu brzmiała tak: Turcja ani nie zostanie mocarstwem czysto euroazjatyckim, ani mocarstwem regionalnym zorientowanym wyłącznie na współpracę z USA. Istotą działania będzie zachowanie równowagi między Wschodem a Zachodem i rozważa w podejmowaniu działań na własną rękę, które naruszałaby balans i groziłyby obniżeniem rangi państwa. „Turcja nie zaakceptuje obcej hegemonii, sama też nie będzie grać hegemonia [...] A wszystkim krytykom uważającym, że Turcja oddala się od Zachodu w kierunku Wschodu, trzeba powiedzieć: wręcz przeciwnie. Nasz kraj zintensyfikuje swoje relacje z Zachodem, ale jedyną polityczną siłą na Zachodzie są Stany Zjednoczone. Europa nie odegra już żadnej ważnej roli” – pisał Bulut. Jednocześnie zachęcał Erdoğanowi do wystąpienia z Unii Celnej UE i dokonania zwrotu w kierunku Chin. W kolejnych artykułach Bulut coraz śmielej mówił o „naturalnej przywódczej roli Turcji”, domagał się zerwania rozmów akcesyjnych z UE.

► Kwestia niemiecka

W sposób szczególny doradca prezydenta skupia się na relacjach niemiecko-tureckich, upatrując w nich stałego, zapoczątkowanego już w XIX wieku zagrożenia dla interesów Turcji. „Początek politycznego i gospodarczego osłabienia Imperium Osmańskiego nastąpił w chwili zaciągnięcia przez Osmanów kredytów w europejskich bankach. Od 1881 r. europejskie konsorcjum zarządzało osmańskimi wpływami do budżetu. Mimo iż w XIX wieku to Francja i Anglia były w czołówce kredytodawców w Imperium Osmańskim, to Niemcy ostatecznie przejęły nad nim kontrolę. Niemcy zamierzali uczynić z całego islamskiego Bliskiego Wschodu swoją strefę wpływów. Do czasu zakończenia I wojny światowej wszystkie sektory i sfery Imperium Osmańskiego zostały do cna wyczer-

pane. W 2006 r. rząd turecki zarządził zmianę dotychczasowego kursu. Na fali afery Ergenekon pronieemieckie elementy w instytucjach państwa zostały „wykryte i wyrwane z korzeniami” – tak Yiğit Bulut zapatrywał się pod koniec 2013 r. na Niemcy. Dziś prezydent Erdoğan mówi w odniesieniu do Niemiec i samej Angeli Merkel o „metodach nazistowskich”. Retoryka się zaostrza, a Bulut raczej nie podejmował starań, by w zaciszu gabinetów Ak Saray temperować gniew swojego szefa. Zresztą z Niemiec docierał afront za afrontem, a referendum tuż-tuż i prezydent nie mógł okazać słabości. Efekt jest taki, że 21 marca Erdoğan, mimo deklaracji, że tureccy ministrowie zrezygnowali z referendalnego tournée po Europie, został w Niemczech uznany za niepożądanego gościa, imputowanie Angeli Merkel „nazistowskich metod” przebrało najwidoczniej miarkę. Tym Turkom, którzy na wiecach śpiewają mu już trzeci rok pieśń „Dombr”, gdzie jest mowa o „oczekiwanym tyle lat liderze”, żadna decyzja Berlina nie przeszkodzi go dalej wielbić. W tym sensie wojna podjazdowa z politykami holenderskimi i niemieckimi może bardziej Erdoğanowi pomóc niż zaszkodzić. Przekonamy się 16 kwietnia.

► Springer kontra Sabah

Werbalna wojna niemiecko-turecka ma jeszcze jedną odsłonę. Jej głównym bohaterem jest reporter niemieckiego dziennika „Die Welt” należącego do koncernu Axel Springer, Deniz Yücel. Reporter oczekuje na proces w tureckim areszcie, gdzie został osadzony pod zarzutem wspierania działalności terrorystycznej w lutym tego roku. Strona turecka mówi o „niemieckim agencie”, Niemcy domagają się natomiast uwolnienia Yücela, tłumacząc, że wykonywał na terenie Turcji jedynie swoją reporterską pracę. Sprawa została poruszona w liście otwartym redaktora naczelnego „Die Welt”, dr. Ulfa Poschardta, do prezydenta Turcji. Poschardt doczekał się odpowiedzi, ale nie od Erdoğanowi, lecz redaktora naczelnego tureckiego dziennika „Sabah” Serdara Karagöza. Poczajająca lektura, jest w niej tyle uszczypliwości i ubranych w kostium pochwały przytyków do niemieckich mediów, wolności słowa i generalnie państwa niemieckiego, że aż dziw bierze, że panowie jeszcze nie spotkali się na uklepanej ziemi. Na razie ze strony „Sabah” padła propozycja wspólnego panelu obu redakcji. Jeżeli springerowski dziennik przyjmie to wyzwanie, zapowiada się ciekawe spotkanie. Może i polskie media się przyłączą, na marginesie sporu niemiecko-tureckiego można by nieśmiało wspomnieć o liście pana Marka Dekana. A może i wcale nie tak nieśmiało. ■



Ryszard Czarnecki

Armenia i cień Kremla

W hotelu Stanhope w Brukseli siedzę na lunchu z prezydentem Armenii Serżem Sarkisjanem. Po prawej Niemiec, jako drugi poseł z Luksemburga, po lewej Finka, Cypryjka, na końcu Czech. Z głową państwa tego najstarszego chrześcijańskiego państwa świata rozmawiam po rosyjsku. Koledzy z Zachodu są bezradni, nie rozumieją nic a nic. Tylko czeski europoseł, były korespondent wojenny w czasie czteroletniego konfliktu zbrojnego między Armenią a Azerbejdżanem w latach 90., mówi po rosyjsku. Prezydentem jest już druga, ostatnią kadencję, ale akurat parlament w Erywaniu (nie mówmy „Erewan”, bo to rusycyzm!) zmienił system polityczny swojego kraju tak, że od 2018 r. prezydenta wybierać będzie nie cały naród, ale parlament, a realna władza przejdzie w ręce premiera. W kuluarach ormiańskiej stolicy mówi się coraz częściej, że owym premierem ma zostać właśnie... Serż Sarkisjan. Trochę to pachnie manewrem à la Rosja: „premier Putin, prezydent Miedwiediew”.

A po dwóch tygodniach jestem już w Armenii, gdzie z politykami nie tylko z Europy, lecz także USA, Australii i Izraela przyglądamy się kampanii wyborczej. Pamiętam, jak ormiański prezydent podkreślał, że dla równowagi sił w państwie konstytucyjnie zagwarantowano opozycji 33 proc. mandatów – jeśli nawet głosów padnie mniej, to specjalnie zwiększy się liczbę posłów, aby „przeciwnicy” rządu mieli godziwą reprezentację. Wynika to z systemu partycypacyjnego i jest próbą stabilizacji państwa, choć także zapewne w praktyce utrwalenia wpływów obozu władzy.

Wyżsi dowódcy wojskowi w Erywaniu po dobrej wódce mówią po rosyjsku przez zaciśnięte zęby: „Nikt tak nienawidzi Rosjan jak my”. W tym kraju już nawet dziecko wie, że, owszem, Rosja chroni granicę Armenii z Turcją, ale ta sama Rosja, wtedy jeszcze carska, oddała „świętą górę” Ararat Turkom (1915 r.). Ostatnia wizyta ormiańskiego prezydenta w Moskwie zakończyła się katastrofą – Kreml wymusił na Armenii przejście kontroli nad jej współpracą w zakresie importu i przesyłu ropy z Iranu. A ta skromna „dywersyfikacja” stanowiła w praktyce jeden z ostatnich symboli suwerenności tego 3-milionowego państwa.

W Armenii telewizja jest staroświecka. Przed najlepszym hotelem w stolicy kraju stoi rozbite auto – ot, takie

pomieszenie luksusu z siemiennością. W słońcu widać ośnieżony Ararat (jako drugi zdobył go Polak Józef Chodźko), symbol ormiańskiego narodu i państwa, ale teraz, o dolo, położony na terytorium największego wroga, czyli Turcji. To w dolinach Araratu Noe budował Arkę... Drogowskaz pokazuje drogę na Djarat, obok przejeżdża kilkudziesięcioletnia (sic!) sowiecka łada z małą przyczepką. Zwalniamy co chwilę, bo drogi jak były dziurawe, tak są nadal. Niesłychane wrażenie robi aż kilkanaście gniazd bocianich na niedługiej przestrzeni po obu stronach szosy. Przy drodze walają się też porzucone, zdewastowane auta.

**W TYM KRAJU JUŻ NAWET DZIECKO WIE,
ŻE, OWSZEM, ROSJA CHRONI GRANICĘ
ARMENII Z TURCJĄ, ALE TA SAMA
ROSJA, WTEDY JESZCZE CARSKA, ODDAŁA
„ŚWIĘTĄ GÓRĘ” ARARAT TURKOM.**

Jesteśmy na granicy ormiańsko-tureckiej i koledzy z Izraela i Islandii dziwią się, że tej granicy strzegą wojska wysłane przez Moskwę. Ormianin wspomina, że w pierwszej połowie lat 90. powszechny był w stolicy kraju brak elektryczności, gazu i w dużej mierze wody. Sklepy świeciły pustkami, a elektryczności wystarczało na dwie godziny dziennie. Mówi, że furorę robiły gazety z czasów sowieckich, bo pocięte służyły jako papier toaletowy. Wspomina też, że do każdej szkoły zachodnie fundacje wysyłały mleko w proszku – właśnie je podawano dzieciakom, które z głodujących rodzin przychodziły do szkoły, aby się nie tylko uczyć, lecz także najesć. Porcja była ściśle określona: kubek mleka, jeden mały herbatnik. Ormianin podkreśla, że mimo tych trudności właśnie wtedy z Armenii – kraju o olbrzymiej diasporze – wyjeżdżało dużo mniej ludzi niż teraz, gdy się już „poprawiło”.

Mijam kolejne domki: prawie wszędzie anteny satelitarne i suszące się na sznurkach pranie.

Polska obecność tutaj denerwuje Rosjan: muszą wtedy więcej wydać na utrzymanie ormiańskiej części strefy wpływów Rosji. Niech się zloszczą...

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

► Tajwan–USA

W wypowiedzi dla agencji Reuters jeden z urzędników administracji Trumpa zapowiedział, że USA planują duży kontrakt na dostarczenie broni Tajwanowi. Dostawy mają być znacznie większe od tych, które oferował Tajpej rząd Obamy, i obejmować m.in. sprzedaż systemów rakietowych i rakiet przeciwokrętowych. Pragnący zachować anonimowość urzędnik stwierdził, że „istnieje duża wola” ze strony prezydenta Donalda Trumpa i jego ekipy, by przystąpić do sprzedaży, ale, niestety, ustalanie szczegółów i uporanie się z wiązanymi się z tym przeciwnościami prawdopodobnie zajmie miesiące. Główną przeszkodą będzie reakcja Pekinu, który uważa Tajwan za swoją prowincję. Waszyngton spróbuje najpierw zapewnić sobie współpracę ze strony ChRL w bardziej priorytetowej w tej chwili sprawie, czyli kwestii Korei Północnej i rozwijanych przez nią programów rakietowych. Źródła w Tajpej potwierdziły Reutersowi, że rozmowy w kwestii dozbrojenia Tajwanu już się rozpoczęły. Biały Dom odmówił komentarza w tej sprawie.

W połowie marca administracja Trumpa wyjawiała, że odchodzący z urzędu Barack Obama zablokował sprzedaż Tajwanowi broni i sprzętu wojskowego o wartości 1,83 mld dolarów, mimo że wcześniej transakcja została zaaprobowana przez Departament Stanu i Pentagon. Jak zauważył w amerykańskiej gazecie internetowej „The Washington Free Beacon” Bill Gertz, ekspert do spraw bezpieczeństwa i dziennikarz, decyzja Obamy zbiegła się z rozmową telefoniczną prezydenta elekta Trumpa z prezydentem Tajwanu Tsai Ing-wen. Choć, jak dodał, trudno udowodnić, że właśnie ten telefoniczny dialog miał wpływ na decyzję Obamy. Rozmowa Trump–Tsai była pierwszą od 1979 r., czyli od momentu zerwania przez Waszyngton stosunków dyplomatycznych z Tajpej, wymianą zdań polityków obu krajów na tak wysokim szczeblu. Media w USA nieprzychylnie Trumpowi, a także amerykańscy demokraci i władze Chin nie kryły niezadowolenia z tego zbliżenia. Gertz uważa, że nowy

kontrakt dotyczący sprzedaży broni Tajwanowi zostanie ogłoszony po spotkaniu Trumpa z prezydentem Chin Xi Jinpingiem, do którego ma dojść w USA w kwietniu.

Randall Schriver, zastępca asystenta sekretarza w Departamencie Stanu USA w latach 2003–2005, twierdzi, że administracja Trumpa powinna zwiększyć sprzedaż broni Tajwanowi. „Rosnące chińskie możliwości militarne połączone z zamiarem wywierania większego nacisku na Tajwan powinny zmusić nas do poważnego przyjrzenia się kwestii zwiększenia pomocy i zagwarantowania Tajwanowi bezpieczeństwa. Powinno to także dotyczyć naszego wsparcia dla tajwańskiego programu budowy okrętów podwodnych oraz udostępniania wyspie samolotów myśliwskich” – powiedział Schriver gazecie „The Washington Free Beacon”.

► Kambodża

Pod koniec lutego parlament w Kambodży uchwalił nowelizację ustawy pozwalającej władzom na rozwiązanie każdej partii politycznej, jeśli na jej czele będzie stała osoba skazana za przestępstwo. W liczącym 123 miejsca parlamencie poprawka przeszła 66 głosami deputowanych rządzącej Kambodżańskiej Partii Ludowej (PPC). Parlamentarzyści opozycyjnej Partii Narodowego Ocalenia Kambodży (CNRP) zblokowali posiedzenie parlamentu, ponieważ uważają, że nowe prawo uderza w partie opozycyjne i jest sprzeczne z wolą obywateli Kambodży. Rządzący krajem od ponad 30 lat premier Hun Sen od dawna doprowadza do skazywania swoich politycznych przeciwników. Pod koniec zeszłego roku przywódca opozycji Samowi Rainsy zaocznie zasądzone wyrok pięciu lat więzienia za podżeganie do niepokojów w kraju, spiszek w celu podrobienia dokumentów urzędowych i wykorzystywanie fałszywych dokumentów urzędowych. Rainsy, przezywając, że może być skazany, wcześniej opuścił kraj i obecnie przebywa na uchodźstwie we Francji. Opozycja w Kambodży skarży się na nasilające się represje ze strony władz, które chcą ją zastraszyć przed mającymi się odbyć

w 2018 r. wyborami parlamentarnymi. W poprzednich wyborach w 2013 r. CNRP zdobyła aż 55 mandatów, a partia rządząca utraciła 22 mandaty z 90, które miała. Premier Hun Sen obawia się, że za rok historia się powtórzy i opozycja zagrozi rządowi jego partii PPC.

W wypowiedzi dla Nowego Państwa w 2013 r. Sophal Ear, amerykański politolog kambodżańskiego pochodzenia, tak opisał panującą w Kambodży sytuację:

„Kambodża to, niestety, nadal miejsce, w którym obywatelowie boją się rządu, ponieważ ten może odebrać im to, co posiadają, zabrać wolność, a w niektórych przypadkach nawet życie. Raport opublikowany przez międzynarodową organizację pozarządową mającą na celu ochronę praw człowieka, Human Rights Watch, zakazany w Kambodży, podaje wiele takich przypadków. W 2012 r. zastrzelono Chut Wutty, który walczył o ochronę środowiska Kambodży, a zwłaszcza lasów w prowincji Pursat. Tu wycina się ogromne połacie zieleni i buduje głównie chińskie fabryki. Udziały w tych zakładach mają wysoko postawieni urzędnicy z ministerstw spraw socjalnych i obrony. Okoliczna ludność mówiła, że strzały do Wutty oddała żandarmeria. Profesor Harvardu Jim Robinson, współautor książki „Dlaczego narody upadają”, opowiedział mi, co odpowiedział mu jeden z mieszkańców wioski w Kambodży, gdy ten zapytał, jak wygląda rozwój kraju: „Rząd buduje drogę na ziemi, którą ci zabrał”.

► Japonia

Japonia ogłosiła, że na początku maja br. wysłała do region Morza Południowochińskiego swój największy okręt wojenny-śmigłowcowiec JDS Izumo DDH-183 (okręt ma większość cech lotniskowca, ale z uwagi na japońskie uwarunkowania prawne został w Japonii sklasyfikowany jako płaskopokładowy niszczyciel). Przeznaczaniem wybudowanej w 2013 r. jednostki jest zabezpieczanie wód terytorialnych Japonii w warunkach narastającego sporu terytorialnego z Chinami.

Okręt zatrzyma się w portach Singapuru, Indonezji, Filipin i Sri Lanki, a w lipcu weźmie udział we wspólnych manewrach z USA i Indiami na Oceanie Indyjskim. Będzie to największa demonstracja siły japońskich Morskich Sił Samoobrony od czasu zakończenia II wojny światowej na Pacyfiku i niewątpliwie wyzwanie rzucone Chinom, które na Morzu Południowochińskim budują sztuczne wyspy pod bazy wojskowe. ChRL uważa, że większość wód tego akwenu należy do niej. Na Międzynarodowej Konferencji Bezpieczeństwa i Obrony w Londynie, która odbyła się w ramach targów przemysłu wojskowego Defence Security and Equipment International w 2015 r., wiceadmirał Yuan Yubai, dowódca Floty Północnej Chin, stwierdził, że „Morze Południowochińskie jest, jak sama nazwa wskazuje, obszarem, który należy do Chin”.

Ważnym elementem podróży japońskiego okrętu po Morzu Południowochińskim będzie zawinięcie do portu na Filipinach, gdzie trwa walka o wpływy pomiędzy Chinami a USA. Nowy prezydent tego kraju Rodrigo Duterte bardzo otworzył się na współpracę z Pekinem i osłabił sojusz z USA. Japonia, sojusznik Stanów Zjednoczonych, próbuje przekonać Filipiny do zmiany kursu i wystąpienia przeciwko Chinom. Według agencji Reutera Duterte został zaproszony do złożenia wizyty na Izumie, kiedy ten zawinie do amerykańskiej bazy Subic Bay na Filipinach.

► Wietnam

W Wietnamie nie ustają represje wobec chrześcijan. Pod koniec lutego agenci bezpieki porwali z lotniska dwóch pastorów protestanckich i aktywistów na rzecz demokracji i wolności religijnej. Porwanych wywieziono do lasu i dotkliwie pobito metalowymi prętami.

W ostatnim czasie także setki katolików z prowincji Nghe An były atakowane przez policję, gdy protestowały przeciw degradacji środowiska naturalnego przez jedną z fabryk.

Jak podaje Radio Watykańskie na początku lutego w mieście Hue w centrum Wietnamu funkcjonariusze policji powstrzymali grupę księży przed uczestnictwem w zaplanowanej w kościele modlitwie. Wcześniej władze rozpoczęły na nowo monitorowanie działalności katolików. Specjalny raport dotyczący sytuacji w Wietnamie w roku 2015 i sporządzony przez 24 organizacje krajowe i międzynarodowe zawierał opis licznych przypadków szykan i bezprawnych działań władz wobec opozycjonistów i działaczy praw człowieka, w tym przynajmniej 105 więźniów sumienia. W kwestii polityki wyznaniowej raport mówi o zakazywaniu zgromadzeń religijnych i brutalnych pobicich duchownych oraz niszczeniu miejsc kultu.

Open Doors, chrześcijańska organizacja wspierająca i monitorująca prześladowanych chrześcijan, w wydanym w tym roku raporcie umieściła Wietnam na 17. miejscu listy 50 państw, w których prześladowani są chrześcijanie.

„Wspólnoty chrześcijańskie doświadczają aresztowań i władze odbierają im ziemię. Ci, którzy nawracają się na przykład z buddyzmu na chrześcijaństwo, są najbardziej prześladowani, nie tylko przez władze, ale także rodziny, przyjaciół i sąsiadów”, stwierdza Open Doors.

W 2016 r. komunistyczne władze Wietnamu znóweliżowały Prawo o Wierzeniach i Religii. I jak stwierdza Raport Open Doors, choć początkowo pozytywnie odebrano to, że do opiniowania modyfikacji prawa zaproszono różne „grupy religijne – włączając w to chrześcijan”, to „patrząc na efekt końcowy ani chrześcijanie, ani żadne inne religie nie mogą oczekiwać jakiegokolwiek poprawy swej sytuacji. Rejestracja oraz prowadzenie kościołów będą co najmniej tak uciążliwe, jak w chwili obecnej, a dzielenie się swoją wiarą z całym prawdopodobieństwem pozostanie działaniem zagrożonym opresją”.



Marcin Wolski

Putin i Trzeci Rzym

W latach 90. zeszłego wieku uległem podobnej iluzji, jak Szwedzi w „Potopie” powtarzający po bitwie pod Gołębim: „Nie masz Czarneckiego!”. Uwierzyłem w rozpad Związku Sowieckiego. Tymczasem, że zacytuję bon mot Romualda Siermietiewa: „Związek Sowiecki nie tyle się rozpadł, co schował”. Oczywiście dzisiejszej Rosji Putina brak imperialnego rozmachu ery Breżniewa. Ale czy całkiem jest bez szans? Owszem, demograficznie spadła na koniec pierwszej dziesiątki państw, ekonomicznie jest postrzegana jako zapóźniony król surowcowy, a pociecha, że może świat i siebie usmażyć w atomowym piekło, to rozmówanie na poziomie Kim Dzong Una z Korei Północnej. Główną przesłanką do wystawiania światectw zgonu była śmierć komunistycznej ideologii

nem wszelkich możliwych prawic. Skoro Ameryka zaczęła się zwijać i wycofywać z roli żandarma świata, a aktywność Chin skierowała się głównie w stronę Afryki, kto może okazać się najsukuteczniejszym obrońcą Europy, zwłaszcza że ta nie może i nie chce obronić się sama?

Wbrew sztafażowi świętowanie w Rzymie 60. rocznicy powstania Unii Europejskiej kojarzyło się bardziej ze stypą niż weselem. Ale gdyby odgrzać idee Trzeciego Rzymu...?

Rosja sama skazana jest na marginalizację, razem ze zdominowaną przez siebie Europą (a wiele środowisk na Zachodzie o tym wręcz marzy) wraca do roli światowego gracza.

Czy to się uda? Wiele będzie zależało od potęg anglosaskich – USA Trumpa i urywającej się z eurołańcucha

DZIĘKI DOSKONAŁEJ PROPAGANDZIE ZACZĘTO PRZEDSTAWIAĆ ROSJĘ JAKO KRAJ
ODRADZAJĄCEJ SIĘ WIARY (NIE SZKODZI, ŻE ODBUDOWĄ CERKWI STEROWALI
WYPRÓBOWANI TOWARZYSZE Z KGB), NADZIEI NA RECHRZYSTIANIZACJĘ
EUROPY, SZANSĘ NA POSTAWIENIE TAMY SZALEŃSTWU LGBT I OKIEŁZNIANIE
ISLAMSKEGO ZAGROŻENIA.

pozwalającą tworzyć iluzję nowego, lepszego świata pod egidą Moskwy. Durniów gotowych umierać za raj na Ziemi nie brakowało, ale rosyjski imperializm to religia wyłącznie dla Wielkorusów. Jako mocarstwo wyprzedziły Rosję Chiny, wkrótce pewnie dogonią Indie... I nagle znalazł się pomysł.

Pojawili się ideolodzy w rodzaju Aleksandra Dugi-na i Putin zaczął ich słuchać. Zdiagnozowano główny powód dekadencji Zachodu, odwrót od religii i terror politycznej poprawności. Dzięki doskonałej propagandzie zaczęto przedstawiać Rosję jako kraj odradzającej się wiary (nie szkodzi, że odbudową Cerkwi sterowali wypróbowani towarzysze z KGB), nadziei na rechrystianizację Europy, szansę na postawienie tamy szaleństwu LGBT i okiełznanie islamskiego zagrożenia. Została więc przedstawiona ideowa wajcha i generalny sponsor światowej lewicy zaczął być patro-

Wielkiej Brytanii. Wprawdzie nie bardzo można liczyć na Kościół katolicki, coraz mniej stanowczy, misyjny i ofensywny, ale kto wie, co sprawi powiew Ducha Świętego na kolejnym konklawe.

I jest wreszcie wyśmiewane Międzymorze. Wielka część Europy, która nie upiła się jeszcze poprawnością, gdzie trzymają się wiara, zasady moralne, tradycja. Gdybyż zgodnie z naukami świętego Jana Pawła II udało się tutejsze narody zjednoczyć i wysłać impuls ku reszcie Europy, może rola Putina jako zbawcy zachodniej cywilizacji okazałaby się zbędna. Zwłaszcza że w naszym regionie dobrze wiemy, jak wygląda takie zbawianie. Tyle że nasza „bliska zagranica” doskonale o tym wie i zrobi wszystko, aby do takiej alternatywy nie dopuścić.

Parafrazując poetę: „Mówimy Putin, a w domyśle Smoleńsk” albo odwrotnie... ■



Tomasz Sakiewicz

Postawa obywatelska

Podstawową cechą postawy obywatelskiej jest zaangażowanie na rzecz swojej społeczności.

Bardzo dużo ostatnio pisze się i mówi o społeczeństwie obywatelskim. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o to, żeby obywatele samodzielnie zrzeszali się w organizacje, które realizują ważne cele, niezależnie od polityki państwa czy różnych instytucji partyjnych. Im większy stopień zaangażowania w takie organizacje, tym bardziej możemy mówić o społeczeństwie obywatelskim. Przejawy działalności społeczeństwa obywatelskiego widoczne w czasie manifestacji czy na publicznych spotkaniach są ważnym świadectwem czy też może efektem tworzenia się nowoczesnego narodu. Jednak podstawową cechą dojrzałości społeczeństwa jest obywatelska postawa.

Mówiono kiedyś o takich ludziach: urodzeni społecznicy. To członkowie lokalnych społeczności, którzy potrafili brać sprawy w swoje ręce, nie czekając na inspiracje instytucji odpowiedzialnych za ich załatwianie. Budzenie się postaw obywatelskich wynikało na ogół z konieczności. Upośledzenie instytucji państwowych wymuszało aktywność szeregowych obywateli. W czasie komunizmu postawa obywatelska wcześniej czy później oznaczała starcie z totalitarną władzą. „Solidarność” nie była niczym innym jak wielkim ruchem obywatelskim zainicjowanym w swoich środowiskach przez najaktywniejszych działaczy. Po raz pierwszy od lat Polacy mogli zrobić coś dla siebie bez zgody władzy i robili to z niezwykle skuteczną. Sami przekonali się, że taka postawa rodzi dobre owoce i pozwala na skuteczne działanie.

Budzenie się społeczeństwa obywatelskiego do „Solidarności” było poprzedzone przez dwa bardzo istotne wydarzenia: pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski i zimę stulecia.

Pielgrzymka papieża w 1979 r. wymuszała wręcz tworzenie się obywatelskich postaw. Potrzebne były tysiące ludzi do kościelnej służby porządkowej, organizacji tras przejazdów, dekorowania tras i miejsc spotkań. Te oczywiście dla nas zachowania w czasach PRL przekraczały dozwolone przez władze aktywności. Polacy zobaczyli, że są

w stanie podejmować działalność na rzecz innych bez udziału władzy, która co najmniej nie pomagała. Zachęta do dalszego działania była tym silniejsza, że postawa obywatelska została z mocą zalegalizowana obecnością Jana Pawła II i jego słowami. „Duch, który odnawiał ziemię”, działał właśnie przez obywatelskie postawy.

Równie silnym impulsem do działalności obywatelskiej była tzw. zima stulecia. Na przełomie lat 1978 i 1979 miało miejsce potężne załamanie pogody. Władza okazała się całkowicie bezradna i mogła jedynie apelować do obywateli o zaangażowanie. Oni rzeczywiście włączyli się w ratowanie bezradnego państwa, w swoim interesie, ale lekcja tego zaangażowania pozostała.

Oba wydarzenia nastąpiły kilkanaście miesięcy przed wybuchem „Solidarności”.

Podstawową cechą postawy obywatelskiej jest zaangażowanie na rzecz swojej społeczności. Nie wiąże się ono z bezpośrednio wykonywaną pracą zawodową czy bezpośrednimi zyskami. Oczywiście postawa obywatelska jest opłacalna również dla samego oddanego sprawie, ale w takim stopniu, w jakim zyskuje społeczność. Postawą obywatelską może być tworzenie jakichś wartości oraz protest przeciwko patologiom. Postawa taka może i powinna przejawiać się w działaniach zorganizowanej grupy, ale zaczyna się od osobistej decyzji.

Wychowanie obywatelskie jest jedną z najtrudniejszych dziedzin kształcenia człowieka i wymaga mądrego zaangażowania rodziny, państwa i instytucji kościelnych. Bez tego wyedukowania oczywiście da się przeżyć, ale człowiek staje się niezdolnym do budowania poważnych relacji egoistą. Utrudnia to nie tylko funkcjonowanie w państwie, lecz także w rodzinie. Jesteśmy zwierzętami społecznymi i to prócz duszy różni nas od naszych braci mniejszych. W każdym razie ja niechętnie głosuję na polityków, którzy w swojej przeszłości nie mieli jakiegos obywatelskiego zaangażowania. Zwykle okazuje się, że nie włączali się w działania, bo myśleli wyłącznie o swoich interesach. ■

zależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna n
zależna niezależna niezale
niezależna niezależna n



zależna niezależna niezależna niezale
niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale